

ANNA DOMAŃSKA

LOS W REKACH  
TWOICH

WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAKs” 1973

Obwolutę projektowała Barbara Olszyńska

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX”, WARSZAWA 1973

Wydanie I. Nakład 10 000+350 egz. Ark. wyd. 13.1; ark  
druk. 14,25 + 2 wklejki. Papier druk. m/gł. ki. III, 60 g,  
70X'90/32 z fabryki papieru w Kluczach. Oddano do  
składania w marcu 1973 r. Podpisano do druku  
w sierpniu, druk ukończono w październiku 1973 r.  
Printed in Poland by

ZAKŁADY GRAFICZNE W KATOWICACH

Ol. Armii Czerwonej 138, zam. 511/4/1973 M-011

Cena zł 25,—

Część I

MICHAŁ W CZEPKU URODZONY

— W czepku się urodził, będzie mu się wiodło w życiu,

— Chłopiec? — spytałam.

— Chłopak, nie widzi pani? — zaśmiał się lekarz.

Nie, nie widziałam, światło płynące od okna przeszka-dzało mi. Zresztą wszystko widziałam jak we mgle. Od-dychałam głęboko, z ulgą. Gdy rozległ się pierwszy krzyk, mojego synka, ogarnęła mnie tak wielka radość i szczęście., jakich nigdy chyba potem już nie doświadczyłam.

Stał się centralną osobą w naszym domu, ześrodkowała się na nim miłość matki, ojca i dziadków. Karmiłam sama, a mały wykazywał niezwykły wprost apetyt. Już na go-dzinę przed wyznaczonym czasem posiłku donośnym głó-sem dawał znać, że jest głodny.

Był straszny czas wojny.

Okna zasłonięte szczelnie roletami z czarnego papieru izolowały nas pozornie od niebezpieczeństw okupowanej Warszawy.

Kiedy synek zaczął się uśmiechać, lubiłam przedłużać wieczorne karmienie. Pochylając nad nim głowę przema-wiałam czule. Oczka jego miały jeszcze barwę granatową, ale zaczynały już jaśnieć. Kiedy zaczynał ssać, były jakby rozmarzone i nieobecne, ale po zaspokojeniu pierwszego głodu mały patrzył na mnie już świadomie i wydawało mi się, że mnie rozpoznaje. Pełna szczęścia uśmiechałam się do maleństwa, a wtedy i jego buzia rozchyłała się w uśmiechu. Szybko jednak znowu poważniał i ze zdwo-żoną mocą nadrabiał przerwę w kolacji.

Zastanawialiśmy się długo, jakie imię nadać synkowi..

Wybór był trudny, bo co podobało się mnie, nie podobało się mężowi, i na odwrót.

— Słuchajcie, a może Michał? — zaproponowałam, kiedy byliśmy wszyscy razem. — Zdrobniale byłoby Miś, a kiedy dorośnie, można by mówić — tu zacytowałam słowa Zagłoby z trylogii Sienkiewicza: — „Co to ja chciałem rzec? Aha, miodu, panie Michale!” — Zaśmialiśmy się wszyscy, a najgłośniej mój ojciec.

Został więc Michałem.

Karmiłam synka bardzo długo, bo nie chciałam przerwać w czasie upałów, zwłaszcza że w głodującej Warszawie niełatwo było dostać dobre, niezafałszowane mleko. Miś bardzo sobie chwalił te ranne i wieczorne posiłki, a w ciągu dnia jadł wszystko, co lekarz zalecił: i kaszki, i jarzynki, i owoce. Nie było to wówczas łatwe, ale stawał się na głowie, aby synkowi niczego nie brakowało, to też był okazem zdrowia. Ciało miał twarde, jędrne, główka osadzona na krzepkiej szyjce była w ciągłym ruchu, bystre oczka wszystko zauważały, a usposobienie i charakter od razu dawały poznać, że to chłopak, chociaż miał drobne rysy, delikatną cerę i puszyste blond włosy. Wystarczyło mu się tylko sprzeciwić, a zaraz się donośnie rozlegało: „ho-ho-ho!”

Próby chodzenia zaczął w dziewiątym miesiącu, nie zrażając się licznymi upadkami, które kwitował również owym „ho-ho-ho” lub co najwyżej mocnym stęknieniem: „eeech!”

— Ależ to dzielne chłopaczysko! Zuch! Wspaniały chłopak! — słyszałam bez przerwy i rosłam w dumę.

Tak. Miałam się czego cieszyć! Rósł jak na drożdżach, rozwijał się szybciej od swych rówieśników, rozjaśniał nasze życie swą zawsze pogodną, uśmiechniętą buzią.

Dni nasze były bardzo pracowite. Wiadomo, ile czasu pochłania małe dziecko w domu. Przy tym była nas spora gromadka do wyżywienia — często bywaliśmy głodni. Ale nie to było najgorsze. Najtrudniej było znieść powtarzające się naloty. Byliśmy niewyspani, zmęczeni, niepewni, czy za chwilę nie trzeba będzie lecieć do schronu.

Mimo wszystko trzeba było żyć normalnie. Popołudniami, kiedy mąż i ojciec wracali z pracy, zabieraliśmy Misia

6

i chodziliśmy na działkę. To nie było daleko, kilkanaście minut drogi, na Polu Mokotowskim. Był trzynasty maja 1943 roku, dzień, który zaważył na całym naszym życiu. Tatuś i Olgierd (mój mąż) kopali grządki, a ja sadiłam ziemniaki. Zapadał już mrok, kiedy skończyliśmy pracę. Wracając do domu przez pole byliśmy wszyscy bardzo zmęczeni, tylko malutki Misio spał bez troski w wózeczku.

Ojciec spoglądał na bezchmurne niebo i kręcił głową:

— Będzie „nalotowa” noc, ja wam mówię! Żebyśmy choć zdążyli zjeść kolację, bo jestem wściekle głodny.

Skręciliśmy z Raszyńskiej na Filtrową i wjechaliśmy do naszej bramy. W czasie wnoszenia wózka na drugie piętro Miś się obudził.

Po nakarmieniu małego zabraliśmy się do kolacji. Rządki, kartkowy chleb, herbata z suszonej marchwi.

— Żeby tak masło do tych rządkierek — westchnął ojciec — a tak, eech... — machnął ręką. — Niech będzie psiakrew choć słodkie — dodał z humorem, wkładając jeszcze trochę sacharyny do herbaty.

Po kolacji wyszliśmy na balkon. Miasto było całe zaćmione, puste, obowiązywała przecież godzina policyjna. W otwartych oknach widać było gdzieś ludzi tak jak my patrzących w niebo.

— Wracajmy — powiedziała do męża. — Późno już.

Czas spać.

Podeszłam do łóżeczka synka. Spał, lekko posapując, z rączkami odrzuconymi do góry. Okryłam go lepiej kołderką i zaczęłam sama szykować się do snu. Z rozkoszą wyciągnęłam się w łóżku i czekałam, aż mąż zgasi światło.

Olgierd siedział na brzegu tapczana rozbierając się. Zdjął skarpetkę i wyciągnął rękę, aby ją położyć na krześle. Widziałam ruch jego ręki i pochylony tors w momencie, gdy nagły ogłuszający wybuch dosłownie wyrzucił mnie z łóżka. Instynktownie chwyciłam dziecko, biegnąc w kierunku drzwi. Jednocześnie z drugim wybuchem ciężkiej bomby lotniczej zawyły syreny. Posypały się szyby i silny prąd powietrza rzucił mnie o ścianę.

«—», Prędsiej z dzieckiem do schronu! — Ktoś otworzył drzwi, chyba mama, i znalazłam się na schodach.

Trzeci wybuch oślepił mnie i ogłuszył. Zasypana szkłem, nie słyszałam i nie widziałam nic, usiłowałam tylko utrzy-

7

mać wyrywające się z moich ramion dziecko. Miś przeraźliwie krzyczał, cały wygięty do tyłu, napięty i sprężony do ostatnich granic.

Dom chwiał się i sypał się tynk. W najwyższym przeobrażeniu przebiegłam przez zakręt schodów koło rozwalonego okna i wpadłam do ciemnej głębi piwnicy.

Dziecko ciągle płakało i w żaden sposób nie mogłam go uciszyć. W piwnicy schronili się lokatorzy z całego domu, zszedł z parteru nawet inżynier Raczkowski, który zazwyczaj podczas ataków lotniczych pozostawał w swym mieszkaniu ze względu na chorą nogę. Ze świdrującym w uszach gwizdem spadały nowe bomby. W ciemnościach piwnicy rozlegał się przeraźliwy płacz małego. Wreszcie wpadłam na pomysł, aby go zacząć karmić. Powoli się uspokajał.

Ssał, a ja skulona nad nim pochylałam się coraz niżej i niżej przy każdym gwizdzie spadającej bomby, usiłując zapanować nad przerażeniem, czy się coś dziecku nie stało poważnego...

Naraz poczułam, że otaczają mnie ramiona mojej mamy, i doszedł mnie cichy szept jej modlitwy. Alarm trwał.

Na lato udało nam się dostać pokój z werandą w Radości, odległej od Warszawy o dwadzieścia minut drogi pociągiem. Olgierd przeprowadził tam pewne roboty elektryczne i za to mogliśmy spędzić lato na świeżym powietrzu. Domek znajdował się w lesie sosnowym, wokół cisza i spokój, cieszyłam się myślą o swobodzie i odprężeniu po ..warszawskim piekle.

Były tam trzy mieszkania, każde po jednym pokoju z kuchnią; w pierwszym mieszkali gospodarze ze swoim rocznym synkiem Jackiem, w drugim nasi przyjaciele z Wojtusiem w tym samym wieku, a w środku my z Miś-

Z naszej werandy widziało się obie pozostałe, a na nich Wojtusia i Jacka grzecznie siedzących ha rękach swoich piastunek, podczas gdy ja uganiałam się bez przerwy za moim roczniakiem, który niezmordowanie pokonywał trzy betonowe schodki prowadzące z werandy na ziemię, pokrytą suchym igliwem. •

8

Wieczorem wracał z pracy Olgierd, bawił się z synkiem, ja mogłam zająć się czymś innym. Na sobotę i niedzielę, czasem zaś i w środku tygodnia przyjeżdżali moi rodzice, a wtedy na widok dziadka Miś wyrywał się z każdego

objęć. Wędrowali wspólnie na długie spacery; dziadek pokazywał tyle ciekawych rzeczy: zbierali szyszki, zrywali kwiatki i razem naśladowali głos kukułki. A kiedy już była pora spać, dziadek brał Misia na ręce i usypiał go chodząc między sosnami. Przemawiał do niego poważnie, pochylając swą piękną głowę o regularnych rysach i patrząc w utkwione w siebie oczka. Przy ostatnich słowach: „... i niech ci się przyśni truskawka, posypana cukrem, taka duża jak twoja głowa...” oczka się przymykały i Miś zasypiał. ;.

Gdy odprowadzaliśmy na stację ojca lub dziadków, mały aż piszczął z uciechy. Ogromnie lubił patrzeć na pędzące pociągi. | .

— Pocio! Pocio jedzie! — zadziwiał wszystkich swoimi umiejętnościami. Jedynym jego zmartwieniem było, kiedy padał deszcz, bo wtedy trzeba było siedzieć w domu. ^7-  
Deść pada! — mówił odsuwając nosek od okna i patrząc na mnie ze smutkiem.....!;

Na szczęście lato było pogodne i deszcz nie padał zbyt często. W ogóle były to wakacje udane dla wszystkich, i z żalem wracaliśmy do Warszawy.

## CIOS

— Miś! Miś! Misiu! — wołałam, ale nie odwracał się i biegł szybko alejką naprzód.

Czy on nie słyszy, czy po prostu nie zwraca uwagi? — myślałam goniąc go, bo oddalił się już znacznie i zbliżał do ulicy.

Po powrocie do domu powiedziałam w czasie obiadu:

— Muszę pójść z Misiem do lekarza, żeby zbadał mu słuch. Wydaje mi się, że nie zawsze reaguje na głos.

— Ee, co też ty opowiadasz, nic mu nie brakuje, taki żUch chłopaczek. — Dziadek podniósł Misia i posadził go sobie na kolanach. — Ale do doktora pójść nie zaszkodzi, będziesz przynajmniej spokojna — dodał po chwili, gładząc dziecko po głowie i całując puszyste włoski.

•Minęło jeszcze parę tygodni, zanim wybrałam się do ośrodka zdrowia. Był dwudziesty piąty czerwca, dzień pogodny i jasny. Siedząc w gabinecie trzymałam na kolanach synka, który patrzył z zainteresowaniem na laryngologa. Zaczęło się badanie, które nie trwało długo. Lekarz przykładając stroiki do głowy Misia, a ten znieruchomiawszy poruszał oczkami w prawo i w lewo w dziwnym skurpieniu.

— Dziecko jest głuche. Nie słyszy — padło lakoniczne orzeczenie.

— Co robić? — usłyszałam swój obcy głos.

— Nic. Poczekać do siedmiu lat i wtedy można go będzie oddać do szkoły dla głuchoniemych, gdzie go nauczą zawodu.

Mocno trzymając przytulone do siebie dziecko wracałam pieszo do domu. Mały siedział cichutko na rękach, może wyczuwał, co się działo we mnie.

Powoli weszłam po schodach. Słyszając moje kroki, mała otworzyła drzwi.

— No i co? — zapytała z niepokojem, ale akurat za-

10

dźwięczał telefon. Podniosła słuchawkę mówiąc: — Ne-tuśka właśnie weszła, zaraz... to ojciec — powiedziała, oddając mi słuchawkę.

— Tatusiu — zaczęłam — tatusiu, doktor powiedział, że Miś jest... głuchy! — i rozplakałam się.

Nie, nie, nie! To niemożliwe! On się na pewno omylił. Nie mogłam w to uwierzyć. Ojciec też w pierwszej chwili zawołał, że to bzdura, że trzeba iść do innego lekarza. Olgierd umilkł, przestał się odzywać. Mama zrobiła się jeszcze bledsza, cichsza. Każdy starał się uporać z własnym bólem i niepokojem. Każdy z nas wracał myślą do tej strasznej nocy, do tego nalotu, kiedy Misio tak rozpaczliwie płakał i nie mogliśmy go uspokoić.

Wuj męża, który był lekarzem, radził mi:

— Pójdź do doktor Burskiej. Ona od wielu lat jest laryngologiem przy szkole głuchoniemych, tu, na placu Trzech Krzyży. Na jej diagnozie możesz polegać. To dobry lekarz, a przy tym uroczy człowiek. Możesz powołać się na mnie.

Siedząc w gabinecie u doktor Burskiej uspokoiłam się nieco. Patrzyłam na jej delikatne, subtelne rysy i mimo woli myślałam o tym, jak bardzo piękna musiała być za młodu. Po zbadaniu dziecka spojrzała na mnie z ujmującym, dobrym uśmiechem.

— To jest jeszcze bardzo małe dziecko i badając można się pomylić. Muszę się oprzeć na tym, co pani mi o nim opowiada. Jeżeli synek powtarza, jak pani mówi, dźwięki, to znaczy, że słyszy. Możliwe, że ma słabszy słuch, że nie dosłyszysz, że jest wada słuchu, ale to trudno teraz stwierdzić. Proszę ćwiczyć słuch za pomocą zabawek, takich jak trąbka, bębenek i cymbalki.

Pojechałam jeszcze z Misiem do doktora Pęskiego. Stary laryngolog mieszkał w Komorowie pod Warszawą. W jego willi była mała sadzawka okolona kwitnącymi irysami, a w niej pływało stadko małych, żółtych kaczuszek. Na ten widok Miś wpadł w zachwyt, usiadł w kucki nad wodą i nie odrywał wzroku od pływających ptaszek. Trudno mi go było namówić, aby poszedł dalej ze mną, wzięłam go wreszcie na ręce i zaniiosłam do gabinetu doktora.

U

Niestety, i tu po badaniu nie dało się więcej powiedzieć ponad to, co już wiedziałam, choć jednak...

— Ale miałem jeden taki wypadek — kontynuował doktor rozmowę — że pacjent nagle odzyskał słuch. Po prostu któregoś dnia obudził się, bo usłyszał rankiem pianie koguta. O ile sobie przypominam, miał on wtedy osiemnaście lat. — Tu stary laryngolog spojrzał na moją nagle ożywioną twarz i dodał ostrożnie: — Tylko, widzi pani, to był jedyny przypadek w ciągu całej mojej praktyki...

Życie toczyło się dalej, pozornie nic się nie zmieniło, a przynajmniej każdy z nas usiłował udawać, że nic się nie stało.

Bezustannie obserwowaliśmy Misia i próbowaliśmy różnych sposobów, aby wywnioskować, czy reaguje na głos, na wołanie, na dźwięki. Każdy w tajemnicy przed innymi.

Na klaskanie w dłonie odwracał się, trzaśnięcie drzwiami czy upadek czegoś ciężkiego na podłogę zdecydowanie słyszał, ale zupełnie nie reagował na wołanie, jeżeli szedł przed siebie, a wołano go z tyłu. Chodziłam jak we śnie, opanowana jedną myślą: a jeżeli to prawda? Jeżeli to głuchota? Dziecko nie wymawia żadnych nowych słów! Nie chciałam jeszcze w to uwierzyć, choć podświadomie czułam już, że to prawda i że będę musiała się z tym pogodzić.

Teraz byłam od tego daleka. Bunt był we mnie, poczucie krzywdy i rozpacz. Dlaczego spotyka to właśnie mnie? Za co? W różnych wariantach te słowa przewijały się przez moje

myśli. Pracując w domu, rozmawiając z ludźmi czy wychodząc z małym na spacer byłam opanowana, lecz ani na chwilę nie opuszczał mnie ból nie do zniesienia, troska o los mego dziecka, jeśli to okaże się prawdą.

Miś ogromnie lubił oglądać auta. Godzinami mógł pa-trzeć z nie słabnącym zainteresowaniem, a my wszyscy z równie nie słabnącą energią usiłowaliśmy go nauczyć wyrazu „auto”. I przy zabawie w domu, i przy obserwo-

12

waniu ruchu ulicznego wszyscy powtarzaliśmy zależnie od okoliczności:

— Auto jedzie! Patrz, auto! Jakie ładne auto...

Przypominaliśmy sobie, że tak niedawno jeszcze mówił w Radości: „Pocio jedzie”. Teraz patrzył, uśmiechał się, podskakiwał wydając podniecone okrzyki, ale nie powta-rzał za nami: „auto”.

Gdy Misiek miał dwa latka, spędziliśmy wakacje w Ko-morowie. Drewniany parterowy budynek ukryty był między drzewami, naokoło sosny wysokopienne, a na zie-mi pełno igliwia. Trawa rosła tylko na skraju pola, za którym w odległości osiemnastu kilometrów była Warsza-wa i bezsenne, pełne bomb i grozy noce.

Nasz małeńki pokoiłk znajdował się na stryszku. Zmieś-ciło się w nim żelazne łóżko dla mamy, a my, to jest Ol-gierd, Miś i ja, spaliśmy na słomie w miejscu, gdzie scho-dził się sufit z podłogą. Dla tatusia postawiliśmy polowe łóżko pod ażurowym dachem, już na samym strychu; bar-dzo sobie chwalił świeże powietrze i gwiazdy nad głową, choć bał się zapalić papierosa, żeby „chałupy nie puścić z dymem”.

Ranitko, zaraz po obudzeniu się, po karkołomnych drewnianych schodkach Miś gramolił się na dół. Ze stra-chem asekurowałam go, ale wtedy dzieciak zaczynał wrze-szczyć, dając tym do zrozumienia, że pomocy nie potrze-buje.

Tego dnia był ruch od samego rana, między sosnami pełno różnych pojazdów wojskowych: ze wschodu na za-chód cofała się dywizja zmotoryzowana, tabor ciężkich samochodów niemieckich. Jakżeż tu upilnować dzieciaka! Chodziłam za nim krok w krok z wyciągniętymi rękami. Na chwilę tylko przysiadłam na progu, a już mały sko-rzystał i pobiegł w kierunku najbliższego samochodu. Wi-dząc, że od strony drogi wjeżdża pędem pod osłonę drzew nowa maszyna, rzuciłam się biegiem po przekątnej — między nią a dziecko. Zdażyłam i złapałam synka na ręce. Przestraszył się. Nie odwracając oczu od mijającego nas samochodu trzymał się kurczowo mojej szyi. I nagle wy-powiedział:

— Apo! Apo! Apo!

— Tak! — uradowałam się. Nareszcie wymówił no-we słowo, choć zniekształcone. —

Auto! Duże auto! Uwa-

li

żaj, auto jedzie prędko, nie wolno uciekać od mamy!

Między drzewami wśród suchego igliwia trafiały się szy-szki, a Miś biegał boso. To bardzo boli, jak się nadepnie, a cóż dopiero kiedy się ma miękką, aksamitną stopkę!

Raz, kiedy go pocieszałam, w parterowym oknie nasze-go domku pojawiła się znajoma pani, która zaczęła żywo gestykulować i wabić Misia do siebie. Dziecko podbiegło do niej, a ona dając mu cukierek i dotykając palcem swo-ich ust pokazywała na migi, jakie to jest dobre.

Nie padło przy tym ani jedno słowo! Krew uderzyła mi do głowy i ja też podbiegłam do okna.

— Dlaczego pani nie mówi do Misia?!

— Przecież dziecko nie słyszy...

— Ale my wszyscy do niego mówimy i... on rozumie!

— Nieee, on nie słyszy, a więc i nie rozumie. A jak jest głuchy, to po cóż do niego mówić?

Było mi niewymownie przykro, ale jakżeż miałam przekonywać tę kobietę. My przecież wszyscy w domu mówiliśmy do niego, jak gdyby nas słyszał, a on patrzył na nas uważnie, tak, jakby nas rozumiał. I może dlatego właśnie udało mu się powiedzieć „apo”.

## TUŁACZKA

A kiedy za nami została płonąca Warszawa i umysł nie mógł już ogarnąć tego, co się tam działo, osobisty dramat został zepchnięty na drugi plan.

Nie było dachu nad głową i nie było ciepłego ubrania. Pięćsetzłówek nikt nie chciał zmienić na skutek krążącej plotki o ich wycofaniu, a prosić o jedzenie nie było łatwo.

Było nas pięcioro i pan Stanisław, staruszek inwalida z naszego domu na Filtrowej. Bocznyimi drogami, unikając głównych tras, uciekaliśmy na południe. Udało mi się sprzedać pierścionek i dzięki temu mogliśmy wynajmować konie i jechać od wsi do wsi.

Miś był w swoim żywiole. Siedząc u mnie na kolanach, tuż obok woźnicy, szeroko otwartymi oczkami obserwował wolno przesuwany się krajobraz. W czasie noclegów w wiejskich stodołach szalał podskakując na sianie i z wielkim smakiem zajadał każdą dodatkową pajdę chleba, jeżeli go ktoś poczęstował.

Wyładowaliśmy wreszcie w dużym powiatowym mieście.

Po kilku noclegach u dobrych ludzi przenieśliśmy się do drewnianego baraku, w którym mieściła się przedtem sala parafialna. Cieszyliśmy się bardzo, że mamy własny kąpiel, i byliśmy wdzięczni młodemu księdzu Edwinowi, gdyż dzięki jego wstawiennictwu uzyskaliśmy zezwolenie na to mieszkanie.

Barak miał małe kwadratowe okienka, długi stół na skrzyżowanych nogach, pod ścianą ławy, a w tyle, na drewnianym podium stał stary, zepsuty fortepian. Z desek tego podium zrobiliśmy prycze, na których zupełnie dobrze się spało. Z początku okoliczni ludzie przynieśli trochę żywności, a po kilku dniach mąż jako elektryk zaczął pracować w elektrowni, a ojciec jako prawnik... przy

15

wyładowywaniu wagonów na stacji. Nie wystarczyłoby to na życie, ale pojawiły się przydziały: mąż otrzymał węgiel, a ojciec worek zboża.

Niedaleko od nas znalazłam wytwórnię, gdzie tłoczyli świeży rzepakowy olej, i któregoś wieczoru Miś wzbudził sensację swoją kolacją. Okienka były jeszcze nie zasłonięte i przed nimi nieraz przystawali ludzie. Na nieheblowanym drewnianym stole stały blaszane miski i właśnie na kładłam do nich gorące kartofle. Miś siedział grzecznie przed swoją miską i czekał, niecierpliwie powtarzając: „ap, ap”, co miało oznaczać, że jest bardzo głodny. Na kapiasto nałożone kartofle położyłam sporo plasterków surowej cebuli i polałam obficie brunatnym, świeżym olejem. Ledwo skończyłam, mój dwuletni Misio zaczął zapałem pałaszować i nie odłożył łyżki, aż wszystko do czysta zjadł.

Trzeba było w tych ciężkich czasach zdobywać się na pomysłowość i zaradność, uczyć się wielu nowych rzeczy, aby przetrwać. Mroźnym rankiem załadowałam więc na stary dziecienny wózek worek zboża, na nim usadowił się Miś i powędrowaliśmy za miasto do młyna. Była zamrznięta gruda i moje nogi w sandałkach potykały się co chwila, wózek się kolebał i kółko spadało, a zatarta ośka skrzypiała tak przeraźliwie, że aż przechodząca kobieta zwróciła mi uwagę:

— Trzeba posmarować, bo to dziecku zaszkodzi na uszy.

Ale Misiowi to, niestety, nie przeszkadzało i był w cudownym humorze. Musiał się tylko mocno trzymać, bo na worku nie siedział zbyt pewnie.

Póki załatwiałam w młynie formalności związane z przemiałem, Miś zdążył wszędzie zajrzeć i ze wszystkimi się zapoznać. Wlaź do budy złego psa, do którego nikt się nie zbliżał, i

wylazł nie naruszony; zajął do studni, pobiegł za kotem, szczególnie zainteresował się królikami, a ja przy tym kupiłam tanio jedną skórę, Miś-siowi na kapturek.

Z workiem pięknej mąki i skórą króliczą wracaliśmy triumfalnie do domu. Miś przyjechał w pełnej formie, a ja ostatkiem sił.

Wytrzeszczając oczka, z przejęciem starał się odtworzyć wszystko, co przeżył: gładził skórę i skakał jak królik,

16

dotykał paluszkami mąki i głaskał się rączką po brzuchu wołając swoje „ap! ap!” Kojarzył sobie najwyraźniej, że z tej mąki upiekę pyszny chleb, ciepły, pachnący, z chrupiącą skórą. Gdy zasiadaliśmy do posiłku, taki dwukilo-wy bochenek zniknął w jednej chwili.

Zima była mroźna i choć paliliśmy w żelaznym piecyku, w nocy woda zamarzała w wiadrze. Mama zachorowała na zapalenie płuc, stan był ciężki. Leżała cichutka, a ja siedziałam przy niej na słomie czuwając bez przerwy i błagając Boga, żeby jej jeszcze nie zabierał.

Troska o Misia spadła na ojca i dziadka. Chodzili z nim na długie spacerki, a trasę mieli już ustaloną. Na końcu ulicy był przejazd kolejowy i często przejeżdżały pociągi. Trzymając się poważnie za ręce dwulatek i sześćdziesięciolatek wyczekująco spoglądali na siebie.

Poprzeczka przejazdu opuszczała się z ostrzegawczym dzwonieniem. Dziadek unosił palec do góry i powtarzał: „bam-bam--bam!” A potem przejeżdżał pociąg i poprzeczka się podnosiła. Miś mógł stać przy tym przejeździe długo i trzeba było czymś odwrócić jego uwagę, żeby wreszcie pozwolił odejść.

Po powrocie do domu starał się wszystko to opowiedzieć mi za pomocą mimiki, gestów i inscenizacji. Tańczył z mozołem i przestawiał ławy, ze szczotki robił poprzeczkę, potem stawał obok i wołał: „pam-pam-pam!”, a potem: „uuu!” na znak, że pociąg jedzie.

Nie można było wówczas przechodzić. Ja co prawda przechodziłam, kiedy mi się bardzo śpieszyło, ale wtedy synek patrzył porozumiewawczo na ojca lub dziadka i rozkładał ręce na znak, że wiadomo, mama, tu się już nic nie poradzi. Kiwał głową i mówił: „Maama, maama!” Kiedy ojciec mój wracał po pracy do domu, już przy drzwiach z całą ceremonią witał się z wnuczkiem. Zdejmował czapkę i kłaniając się z uśmiechem mówił:

— Dzień dobry!

Miś biegł wówczas szybko po swoją czapkę—iOgte-wał w odległości około dwóch metrów; patząc bystro reaa-dziadka naśladował wiernie jego ruchy i,4 takim samym • pochyleniem głowy, z uśmiechem uchylając czapkę od- \*

& &

— Jekopy! — Wszyscy wpadaliśmy w ^cmJyr~f %<fena^ -

powtarzała się po kilka razy. ', L

2 \*— Les w rękach twoich \*! 1T^

Głównym traktem szły ciągle wojska niemieckie — na zachód. Zbliżał się front.

Zupełnie inne było to już wojsko — nie takie jak na początku wojny; u wszystkich jednakowy wyraz twarzy, zmęczony, obojętny, ani śladu dawnej buty. Niewidzące oczy przesuwają się po nas, stojących na chodniku.

Trzymając Misia za rękę szłam wykupić chleb na kartki, bo miano zamknąć sklepy: front był tuż. W powrotnej drodze ledwie niosłam plecak wypełniony czerstwym chlebem; czternaście kilo to było dla mnie dużo, a tu Miś podskakiwał, że i on chce na ręce.

Nigdzie nie można było dostać mleka. Pieniądzy nikt już nie chciał, a gosposia, u której przedtem kupowałam, zażądała za pół litra dwadzieścia pięć kilogramów węgla.

Pod wieczór miasto było jak wymarłe, ludzie wybierali się spać gdziekolwiek, byle nie w mieście. Krążyły paniczne plotki o tym, co się będzie działo w nocy. My postanowiliśmy



zostać w naszym baraku. Męża nie było, nie zdążył wrócić z sąsiedniego miasta, a pociągi już nie cho-  
dziły.

Nikt z nas nie spał i na wszelki wypadek nie rozbie-  
raliśmy się. Miś pokazywał, że mu niewygodnie, chciał się rozebrać, wreszcie zasnął.

Noc wydawała się bardzo długa, wokół panowała złowróżbna cisza. Nad ranem przetoczyły się z ogłuszają-  
cym hałasem czołgi i znów zapanowała cisza. Kiedy się roz-  
widniło, wyszliśmy na ulicę i zobaczyliśmy już inne czołgi. Ogromne, z długimi lufami, a na nich niedbale wspar-  
ci na rękę leżeli żołnierze Czerwonej Armii. Czapki z na-usznikami mieli odsunięte na tył głowy. W tym pędzie, na taki mróz!

Patrzyliśmy szeroko otwierając oczy. Niemców już nie było. Był siedemnasty stycznia 1945 roku.

Z początkiem lata zdecydowaliśmy się wyjechać na Zie-  
mie Odzyskane. Pociągiem towarowym, w wielkim upale i niewygodach wleliśmy się cały tydzień. Miś dostał ży-  
wą kurę i sześć maleńkich kurcząt od znajomego lekarza, a ja — starego, bardzo złego ogromnego brytana, "który całe życie spędził na łańcuchu i na widok każdego zbliża-  
18

jącego się doń człowieka groźnie warczał. Do mnie na-  
tychmiast przywiązał się i nie odstępował na krok.

— Ty to każde bydło potrafisz obłaskawić i rozpuścić — żartował mąż, kiedy gładziłam psa. U obcych Wierny budził respekt i bardzo nam się przy-  
dał w czasie tej nie kończącej się i niezbyt bezpiecznej podróży. Czas był bowiem bardzo niespokojny, a strefa przyfrontowa. Wyszliśmy w Opolu, pociąg dalej nie szedł. Po kilku dniach postoju mężowi udało się zdobyć ciągnik, który nas zawiózł do Brzegu. Miała to być nasza przystań na kilka lat.

## NARASTA TROSKA

Miasteczko było ładne, ale bardzo zniszczone działaniami wojennymi. Zamieszkaliśmy najpierw w jednorodzin-  
nym domku za torem kolejowym, skusił nas piękny ogród. Dojrzewały właśnie ogromne morele i była piękna alej-  
ka srebrnych świerków, którym ktoś bezlitośnie pościnał wierzchołki. Ale choć włożyliśmy mnóstwo pracy w uprzątnięcie wnętrza domku, niedługo postanowiliśmy się przenieść bliżej śródmieścia, gdzie gwarancją bezpie-  
czeństwa wydawał się nam gotycki budynek mieszczący Polski Czerwony Krzyż. Placówką zarządzali dwaj chłop-  
cy, a każdy z nich miał dwadzieścia lat i karabin. Były to bardzo miłe chłopaki, po dłuższym stażu w le-  
śnej służbie, drwiący z każdego niebezpieczeństwa i po trochu z siebie samych.

— Jakże będziemy teraz żyć w spokojnych czasach, kiedy przyzwyczajeni jesteśmy wszystko rozstrzygać ka-  
rabinem? — mówili półżartem.

Niedaleko Czerwonego Krzyża wyszukaliśmy opuszczony dom, który miał co prawda wielką dziurę w dachu po bombie, ale pierwsze piętro nadawało się do zamieszkania. Sprawę skomplikowało to, że znaleźliśmy w jednym po-  
koju ogromny obły pocisk leżący właśnie pod tą dziurą w dachu. Niewypał? Dobrze, ale jak mieszkać w takim sąsiedztwie, zwłaszcza mając synka, który wszędzie wlezie i wszystkiego musi dotknąć? Odłożyliśmy więc decyzję przeprowadzki.

Pewnego dnia wędrowałam z Misiem w stronę miasta, gdy minął nas powozik zaprzęzony w parę koni i mały zaczął się wrywać wołając: „Tata! Tata!” Obejrzałam się i zobaczyłam, że był to rzeczywiście Olgierd i ci dwaj z Czerwonego Krzyża. Pomachałam ręką, a konie zawróciły w naszym kierunku.

— Siadajcie, przejedziemy się do nowego domu! — po-

wiedział Olgierd i dodał: — Chcieliśmy obejrzeć ten nie-wypał.

Zanim się zdecydowałam, Misiak już siedział na kozle i usiłował odebrać bat od woźnicy. Chłopcy mieli rogatywki włożone junacko na bakier, obydwaj weseli, z humorem dowcipkowali. Kiedy zatrzymaliśmy się przed domem, powiedziałam, że my z Misiem poczekamy przy koniach, tak będzie lepiej.

Mężczyźni poszli na górę. Nie było ich dość długo, tak że nawet poczułam się trochę niespokojna, choć pilnowałam Misia, aby nie wlaź pod kopyta koni, nie dawało mi czasu na myślenie o czymkolwiek innym. Wreszcie zobaczyłam ich: szli śmiejąc się.

— No, już w porządku — powiedział komendant. — Może się pani przeprowadzać.

— A bomba? — zapytałam.

— Nie ma już bomby — zaśmiał się drugi salutując na pożegnanie.

Po chwili, kiedy powozik znikł za zakrętem, zaczęłam wypytywać męża:

— No opowiadajże! Co z tą bombą?

— Ależ to chłopaki, niech ich! Wyobraź sobie, obejrzeni pocisk, popatrzyli po sobie i jeden do drugiego mówi: „Jeżeli ten pocisk przebił dach, upadł na podłogę i nie wybuchł, to chyba nie jest groźny”. „A jak będziemy go nieść po schodach na dół, to... ciężka bestia i wypaść też może”, powiada ten drugi. Ja słucham, a oni już porozumieli się wzrokiem i taszcą pocisk w stronę okna! No, to pomogłem im. Wyjrzeni tylko, czy na dole nikogo nie ma, i buch bombę na podwórko!

Nie zagrzałam jednak miejsca i w tym domu. Przeprowadziliśmy się do dużej kamienicy, zajmując mieszkanie na parterze ze względu na chore nogi mamy i łatwość dopilnowania Misia na podwórku. Budynek nie był zniszczony, parter od frontu ocieniony był bzami. Stare lipy wzdłuż ulicy kryły ślady wojny. Za podwórkiem był ogród, w którym rosły wiśnie, grusze i jabłonie, a nawet jeden orzech, a wszystko to na tle ogromnego parku miejskiego, którego wysokie drzewa pełne były ptasiego świergotu. Wydawało nam się to oazą spokoju po przeżyciach frontowych i późniejszej tułaczce.

Dla Misia najważniejsze było podwórko, tyle w nim było

21

ciekawych rzeczy, tajemniczych schowków i zakamarków! Trzymaliśmy też tam w kurniku kury, Wierny miał swą budę i był to w ogóle wspaniały teren do zabaw. Poza tym do oficyny przylegał parterowy garaż, na którego dach można się było wdrapać po żelaznej, połamanej drabinie... tylko należało bardzo uważać, żeby mama nie zobaczyła.

Na podwórko to przychodziły dzieci z sąsiednich domów i bawiły się wspólnie. Rozpiętość wieku była duża, od lat trzech do dziesięciu, a czasem i więcej. W kontaktach Misia z nimi specjalnych trudności nie było. Dzieci traktowały głuchotę małego rzeczowo, jako coś, co się zdarza i nie jest niczym nadzwyczajnym. Wystarczyło, że raz tylko wyjaśniłam, żeby nie wołać na niego z daleka, bo się nie odwróci, i że musi widzieć mówiącego. Dzieci w porozumiewaniu się z nim pomagały też sobie gestykulacją. Misiak bardzo szybko chwycił sens jakiejś zabawy, a jeżeli zdarzało się, że nie rozumiał, o co chodzi, to już samo naśladowanie ruchów starszych dzieci i to, że był wśród nich, sprawiało mu żywą radość.

Spędzał cały czas z nimi, a jeżeli czasem zdarzały się nieporozumienia, to wołał głośno:

„Mama, maaaa!”, wiedząc, że wtedy ja się pokażę. Na mój widok wskazywał paluszkami winowajcę i gestami, mimiką, wydając podniecone okrzyki wyjaśniał, o co chodzi.

Bardzo się starałam, nieraz wbrew sercu, nie brać jego strony w konfliktach z dziećmi, być — chociaż pozornie — bezstronną. Nie zawsze mi się to udawało. Nieraz z gniewem wołałam z okna:

— Tak nie można! Ustąp mu, przecież on nie słyszy!

Ale potem zaczęłam się zastanawiać i doszłam do wniosku, że Miś powinien już teraz zacząć uczyć się współżyć z innymi i dawać sobie radę — sam.

Starłam się więc nie wtrącać do zabaw, ale ukryta za firanką uważnie patrzyłam, jak sobie daje radę. Nieraz byłam zdumiona widząc, jak on, najmniejszy przecież, a stara się dzieciom przewodzić. Czasem jednak było mi ciężko widzieć, jak dzieci wykorzystywały głuchotę Misia, szczególnie w grze w chowanego. A on bardzo lubił tę zabawę i ciągle po swojemu dopraszał się o nią.

— Uważaj, uważaj, on jest przy tobie! — wołały dzieci uprzedzając schowanych. Kiedy indziej znów: — Baśka! leć prędko! On się odwrócił! — I długie dziesięcioletnie nóżki

22

wygrywały bezapelacyjnie. Miś oczywiście nie mógł za nimi nadążyć.

Wtedy mi było najtrudniej poprzestać na roli obserwatora.

Codziennie przekonywałam się, jak ważne jest to, że mieszkamy na parterze, wysokim wprawdzie, ale umożliwiającym szybkie zejście na podwórko. W ciągu minuty mogłam znaleźć się przy małym i on często przybiegał do mnie. Poza tym mama mogła z moją pomocą wolniutko, opierając się na lasce, przechodzić do ogródka na ławeczkę. Kwitły właśnie drzewa i białoróżowe płatki opadały na koc, którym przykrywałam kolana mamy. Ogród, choć zapuszczony, był cały w kwiatkach, zwłaszcza piękne papuzie tulipany mieniły się wszystkimi kolorami. Otwartą przez nas furtką wbiegały dzieci, a za nimi pojedynczo, jedna za drugą wkradały się kury. Korzystając, że wszyscy są przy mnie, kopałam grządki pod pomidory, a Miś w lot oceniał bystrymi oczkami sytuację i po chwili sapiąc tańczył złapaną kurę. Kuczał przy mnie i namawiał ją po swojemu do zjadania dżdżownic pełzających w wilgotnej, spulchnionej ziemi. „Ua, ap, ap!” mówił po swojemu.

Gdy nadchodził zmrok, Miś również gorliwie pomagał w zapędzaniu kur do kurnika. A potem był już zmęczony i senny, przychodził do mnie i wyciągając w górę ręce żądał: „Mama op, op!”

Podnosiłam go, a on obejmował mnie za szyję i opierając bródkę o moje ramię przytulał się mocno. Nóżkami trzywał mnie za boki i jakby siedział na moich splecionych rękach.

Chodziłam z nim po pokoju śpiewając, a on mruzczał cichutko, jakby do wtóru: „mm-mm-mm-m-mm...”

To był trudny okres te pierwsze lata po wojnie. Pracowaliśmy od rana do nocy, a pomimo to nieraz byliśmy głodni. Mąż pracował w starostwie, ale pensje wówczas nie wystarczały na zaspokojenie najprymitywniejszych potrzeb. Proponowano mi posadę w sądzie z możliwościami szybkiego awansu ze względu na mój magisterski dyplom prawnika, ale jakże mogłam zostawić Misia samego? Byłam pewna, że nikt mu mnie nie zastąpi.

Mama była ciężko chora na serce, wyniszczona głodem i przejściami lat okupacji, traciła władzę w nogach, ból

2:?

stawów dolegał jej bardzo, a Miś był jak żywe srebro, ruchliwy, szybki, ani chwili nie posiedział spokojnie. Stał ruszek inżynier, który wędrował z nami od powstania warszawskiego, sam z trudem się poruszał i też wymagał opieki. Pieniądzy wciąż brakowało. W tej sytuacji wpadłam na pomysł robienia tortów. W Brzegu były dwie restauracje i obie stale przepełnione ludźmi, którzy przyjechali tu celem łatwego wzbogacenia się. Zrobiłam na próbę pierwszy tort i zaniiosłam. Udało się, kierownik lokalu skinął aprobująco głową i powiedział, że mogę codziennie jeden przynosić. Kręciłam więc krem prawą ręką, lewą powstrzymując Misia od wsadzenia rączki do miski. Pracowaliśmy oboje naprawdę z wysiłkiem. Po pewnym czasie Miś zrozumiał, że po skończeniu roboty otrzyma swój

plasterek tortu, no i miskę z resztkami kremu, toteż w czasie pracy już nie walczył ze mną, a raczej asystował cierpliwie.

Codziennie wędrowaliśmy z synkiem przez miasteczko odnosząc tort. Uważnie omijaliśmy zarysowane ściany na wół zburzonych domów, przechodziliśmy ostrożnie przez ulice, po których mknęły wojskowe ciężarówki. Zwracałam uwagę synka, mówiąc:

— Auto jedzie, uważaj, Misiu!

— Aj, bibi! — odpowiadał z przejętą miną. Rozumiałam, co chciał wyrazić, że auto może potrącić

i wtedy będzie bolało, czyli: aj, boli.

Na swoje cztery lata chłopiec był duży. W czasie tych spacerów wiele ludzi zwracało uwagę na niego i uśmiechało się, bo dziecko było miłe, miało jasną buzię i bystre oczka.

Wystarczyło jednak, by odezwało się po swoim, a stawaliśmy się ośrodkiem mniej miłego, natrętnego zainteresowania. Ludzie przystawali i patrzyli, a ten i ów podchodził i pytał: „Ma ciężką mowę?” Albo gorzej: „Taki ładny chłopczyk, a niemowa. Biedne dziecko!”

Czy ci ludzie muszą się nami tak interesować? O ileż łatwiej byłoby, gdyby nic nie mówili, myślałam z goryczą. Odpowiadałam im grzecznie, ale odnosiłam dziwne wrażenie, że to zainteresowanie ludzi, ich ciekawość, a przede wszystkim litość w niezrozumiały dla mnie sposób dochodzą do świadomości dziecka. Instynktownie strzegłam się, aby nie odczuł mojego przygnębienia, starając się szybko skierować jego uwagę na coś innego.

24

Zadziwiła mnie spostrzegawczość Misia. Któregoś dnia pod bramą naszego domu zatrzymała się platforma z meblami sąsiadów z drugiego piętra. Brama była masywna, żelazna i stale zamknięta. Kilku robotników Niemców z białymi opaskami na rękawach krzątało się bezradnie, nie mogąc jej otworzyć. Miś stał obok i uważnie obserwował. Nagle podbiegł, kucnął i wyciągnął jakiś żelazny kolek, następnie podbiegł do środka bramy, podskoczył, uwiesił się na kłamce i ku /dziwieniu wszystkich ciężkie / ni w< irzyły się. 80 kleine Bube? Das Lat unmdglich! •— zagadali Niemcy.

Taki mały, a wypatrzył swoimi bystrymi oczkami, jak to się otwiera. I teras cieszy się i podskakiwał przy mnie, onale zdając sobie sprawę / tego, że się go chwali i rjesl przedmiotem podziwu.

A więc tak .samo zdaje sobie sprawę z tego, że budzi zaciekawienie ludzi i ich współczucie, kojarzyłam sobie. Niechże Bóg broni, by rósł w poczuciu krzywdy!

Oboje z mężem staraliśmy się, aby w domu było pogodnie, usiłowaliśmy też głęboko ukryć uczucie żalu czy rozpacz, nawet przed sobą, Miś nie widział mnie płaczącej czy smutnej, choć Bóg tylko wie, ile mnie to nieraz kosztowało i jakie były moje noce. Staraliśmy się, aby synek nie odczuwał swojej „inności” i traktowaliśmy go normalnie, mówiąc do niego, jak gdyby był słyszającym dzieckiem, a on kilka wyrazów wymawiał zrozumiale.

Najlepiej brzmiało „tata” i „mama”, bo to były słowa, które mówił najwcześniej, jeszcze przed stwierdzeniem głuchoty. Akcentował na ostatniej zgłosce. To się zresztą zmieniało zależnie od okoliczności. Kiedy na przykład wołał na alarm, chcąc, żebym szybko przybiegła, to wychodziło z akcentem na ostatniej sylabie: „mamaa!” A kiedy gładząc mnie rączką po twarzy mówił pieszczotliwie: „ma-ama, maama”, przeciągając pierwszą zgłoskę, wiedziałam; że wyrażał swoją miłość. Wymawiając jedno słowo mógł nam powiedzieć wiele. Trzeba tylko było rozumieć, znać „sposób mówienia” i konkretną sytuację. Biorąc teczkę ojca do ręki, mówił: „taata! taata!”, co równie mogło oznaczać, że teczka należy do taty, jak i to, że tata poszedł do biura a nawet, że tata zaraz wróci i zabierze Misia na spa-

25

cer. Można się było domyślić, o co mu chodzi w danej chwili. Jeżeli zaś ja coś robiłam, a on uważał na przykład, że lepiej to zrobi ojciec, to wołał gniewnie: „tata! tata!” — i odciągał mnie. Inne wyrazy były bardzo niezrozumiałe; mam tu na myśli, że były niezrozumiałe dla innych, bo my rozumieliśmy się dobrze. Na przykład: „puje pat” znałczyło pójdziemy na spacer, „siuej” — cukierek, „bu” — boli, „ap” albo „am!” — jeść, „bau” albo „babuuu!” — pada lub upadło, „typi-typi” wołał na kurczątko, a zarazem nazywał tak wszystko, co miało skrzydła i biegało po podwórku czy fruwało. Mógł w ten sposób dużo opowiedzieć, a jeśli dodać jeszcze żywą mimikę i parę gestów, to nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

Był wesoły i często się śmiał. Zauważyłam kiedyś, że patrząc na mnie podciąga kącik warg do góry i uśmiecha się połową ust. Zastanowiło mnie to. Podeszłam do lustra i zobaczyłam, że przy wymawianiu pytania: „Pójdziemy na spacer?” identycznie podnoszę lewą stronę ust do góry. Nie było to może ładne, ale nie taki wniosek wyciągnęłam z tych oględzin swej twarzy w lustrze. Zaczęłam uważać bardziej na mimikę. Jeżeli on jest aż tak spostrzegawczy... Mówiąc do niego odnosiłam wrażenie, że prawie wszystko rozumiał. Uważnie patrzył i wychwytywał sens. A może innym, wyostrzonym w zastępstwie słuchu zmysłem odbierał to, co mu chciałam powiedzieć?

Ludzie dziwili się, że my się tak rozumiemy. Pewnego dnia, obserwując nas podczas podwieczorku, jedna z naszych starszych znajomych powiedziała ze współczuciem: — Biedne dziecko, matka jest dla niego jedynym łącznikiem ze światem, tłumaczem, wszystkim... Co by ono bez niej robiło!

Uśmiechnęłam się grzecznie; udało mi się ukryć stan moich uczuć. Choć mówiła z dobrego serca, nie było to delikatne z jej strony. Przy tym trafiła oczywiście w sedno. Teraz dla małego Misia najważniejsze jest, że my, najbliźsi, rozumiemy go, a on nas. Ale później w życiu będzie cierpiał nad tym, że jest inny.

O Boże, myślałam, o Boże, czy uda mi się doprowadzić do tego, żeby Miś mówił? Żeby go ludzie rozumieli i on ich? Żeby był taki jak inne dzieci?

26

Pamiętając o dawnych wskazaniach doktor Burskiej starałam się nieustająco, choć bez większego przekonania w skuteczność, ćwiczyć słuch Misia. Wieczorem, kiedy było już zupełnie ciemno i cicho, brałam dziecko do siebie do łóżka i mówiłam bliźutko, w samo uszko prawie: „ma-ma! ma-ma!”

Podobało mu się to, śmiał się. Przysuwałam swoje ucho do jego warg, ale on wtedy tylko dmuchał, a kiedy ja cofałam gwałtownie głowę, cieszył się. Zaczynałam więc cierpliwie od początku to samo, czasem mówiąc „tata” lub „baba”; po kilku razach zrozumiał, że czekam od niego powtórzenia i wymówił „pa-pa-pa”. Kiedyś udało się, że powiedział prawidłowo ten sam wyraz, co ja. Czy to był przypadek, czy usłyszał? Nie wiedziałam.

Nie byłam pewna, czy to jest dobry sposób, próbowałam więc także innych. Miś lubił bawić się bębenkiem, cymbałki sprawiały mu mniej przyjemności, choć potrafił i na nich narobić wiele hałasu. Traktowaliśmy i to jako ćwiczenie słuchu, choć czasem myślałam, że w ten sposób można raczej zniszczyć i te znikome resztki, które być może pozostały...

Niestety, na nasze wątpliwości nikt nie mógł dać odpowiedzi. Pozostawieni byliśmy samym sobie. Lekarze kazali czekać do lat siedmiu, a w wychowaniu dziecka w domu nie mieliśmy żadnej fachowej pomocy.

Sprzątałam pokój mamy. Okna były otwarte i z ulicy dochodził hałas przejeżdżających aut. Przed domem rosły duże krzaki perskiego bzu i przez nie nic nie było widać. Grzało słońce, powietrze przesycone było kwietnym aromatem, namawiałam więc mamę, żebyśmy posiedziały trochę na balkonie.

Prześcielałam łóżko i właśnie zaczęłam podnosić mamę, gdy nagle usłyszałyśmy tuż przy naszym domu zgrzyt hamulców i jednoczesny krzyk: „Misiu, auto! Auto!”

Rzuciłam się pędem do drzwi i po schodkach wypadłam na ulicę. Przed domem stał samochód ciężarowy, a chłopiec z sąsiedztwa trzymając oburącz Misia bronił go przed kierowcą wołając:

— Nie wolno go bić! To głuche dziecko! A pan za szybko jechał! Nie wolno!

27

A było tak: kilkoro dzieci z sąsiedztwa wybiegło przez bramę na ulicę, a mój mały za nimi. Dzieci usłyszały nadjeżdżające auto i zdążyły uciec na drugą stronę, natomiast Miś nie wiedząc, że z tyłu coś nadjeżdża, nie przyspieszył biegu. Tulony teraz przeze mnie trząśnięty cały, a ja przez mgłę łez widziałam jego zbielełą, przerażoną buzię.

Od tej pory, gdy tylko wychylił się za bramę, patrzył w lewo i w prawo, tak jak go uczyłam wielokrotnie, a na widok przejeżdżającego samochodu podnosił ostrzegawczo paluszek do góry i mówił: „Auto! Auto!” Ten wyraz, którego kiedyś nie mogliśmy go zupełnie nauczyć, wypowiadał teraz bardzo wyraźnie.

Będąc już teraz bardzo ostrożnym na ulicy, na podwórku pozwalał sobie za to na karkołomne wyczyny. Co pewien czas, gdy mi się wydawało, że już za długo nie widzę Miśka, wychodziłam sprawdzić, co on robi. Jeśli nie było go widać na podwórku, szukałam w ogrodzie. Często znajdowałam go na dachu garażu przyległego do oficyny. To było moje utrapienie ten dach.

Nieraz udawało mi się przyjść na czas i ściągnąć go za nogę, kiedy akurat wybierał się na górę. Przeważnie jednak był już na górze i nie widział mnie. Ponieważ wstąpienie nie odniosłoby skutku, musiałam sama włączyć po drabinie na płaski dach garażu.

Pół biedy, jeżeli był tylko tam, bo czepiając się żelaznych uchwytów można było wleźć jeszcze wyżej, na dach oficyny. Tam też ku swemu przerażeniu ujrzałam go pewnego dnia. Stał na samym szczycie i jedną rączką trzymając się komina, drugą wrzucał doń cegły. Co to robić, myślałam gorączkowo. Jeżeli zobaczy mnie zniecierpliwiona, może przestraszyć się i spaść. Zaczęłam więc powoli chodzić w zasięgu jego wzroku, a kiedy po wrzuceniu kolejnej cegły podniósł głowę i zobaczył mnie, uśmiechnęłam się i tajemniczym ruchem położyłam palec na ustach.

Z udaną obawą oglądałam się za siebie i kiwałam ręką, pokazując zejście. Domyślił się, o co mi chodzi, spojrzał na mnie porozumiewawczo i równie tajemniczo skradając się zaczął schodzić.

Otóż w oficynie mieszkała pani K. odznaczająca się kłótliwym usposobieniem. O byle co był krzyk i wymyślenia i dlatego każdy dla świętego spokoju jej unikał.

28

Misiek zdawał sobie z tego sprawę i jak zobaczył, że pokazuje ręką na jej okna, sam szybko zszedł z dachu. Jak para spiskowców przedfilowaliśmy przez podwórko.

W domu naturalnie starałam się wytłumaczyć dziecku, że łażenie po dachu jest niebezpieczne i że nie wolno absolutnie nic wrzucać do komina. Tłumacząc ilustrowałam wszystko gestem, a Miś kiwał potakująco głową na znak, że rozumie.

Nazajutrz od samego rana na podwórku rozlegał się głos pani K. donośnie skarżące się sąsiadce:

— Te kominy, moja pani, to są do niczego. W ogóle nie ma ciągu, ino dymi się i dymi!

— Jakież to jest trudne dziecko — mówiłam do mamy. — Niedobry chłopiec... —

Byłam bliska płaczu i pochyliwszy się zbierałam rozrzucone po całym pokoju zabawki.

— Nie, Netuśku, to dobry chłopczyk. Na pewno dobrzy — powtórzyła mama.

Podaliśmy jej kule i pomogłam podejść do okna. Przez krzewy kwitnącego bzu widać było sztachetki dzielące zarosnięty ogródek od ulicy. Stojąc przy oknie i podtrzymując mamę

zauważyłam, że chodnikiem idzie doktorowa W. ze swoją córeczką. Spozregła nas i przystanęła.

— Dzień dobry! Niech pani posłucha, jak moja Urszulka ładnie już mówi! — zawołała i pochyliła się do maleńkiej. — Powiedz ładnie pani: „marmolada!”

Dziecko uniosło buzię i wyraźnie powiedziało:

— Marmolada!

— Ładnie, prawda? — cieszyła się matka. — Ma tylko dwa lata, a „marmolada” to jest trudny wyraz.

— Bardzo ładnie! — pochwaliłam ze ściśniętym gardłem. Obie z mamą patrzyłyśmy, jak doktorowa z córeczką poszły dalej.

Głośne trzaśnięcie drzwiami i tupot nówek oznajmiły Misia. Wleciał jak burza, wyrzucił tacekę naładowaną zabawkami na środek pokoju, wyciągnął szufladę i zaczął w niej czegoś szukać. Wytracona z równowagi od rana, dotknięta do żywego przez doktorową, zaprotestowałam gwałtowniej niż zwykle, na co mały się rozwrzeszczał:

— E, e ue, ue! — krzyczał, ale tym razem nie rozumiałam, o co mu chodzi.

21?

Zaraz, zaraz, muszę się najpierw sama uspokoić. Tak nie można. Przestałam odrywać rączki małego od szufladki, przysiadłam obok niego i starałam się wnikać w sprawę.

Dziecko też się uspokoiło, a raczej jakby stonowało swoją żywość. Patrząc na mnie ufnie starało się wytłumaczyć mi, że coś w tej szufladzie schowało.

— Tu? — pytam pokazując ręką — tu Misio schował?

Pokiwał głową, odsunął głębiej różne swoje drobiazgi i z samego końca szuflady wyciągnął metalową łyżkę do butów.

— Ue! Ue! — zawołał z triumfem, włożył łyżkę do taczki i z hałasem wybiegł.

— Musisz mieć więcej cierpliwości — odezwała się mama zwracając ku mnie swoją bladą, delikatną twarzą, — To dobry chłopczyk, ale jemu jest trudniej niż innym dzieciom.

— Mnie jest też trudniej zdobyć się na cierpliwość, bo wiesz, jaka zawsze byłam. Nie każdy jest taki jak ty. Nie pamiętam, abyś kiedykolwiek podniosła na mnie głos, choć nie należałam do grzecznych dzieci, chyba wprost przeciwnie! — uśmiechnęłam się do wspomnień.

To była prawda. Mama uczyła przykładem, była zawsze cichutka, łagodna, spokojna. A ja... niepotrzebnie gniewałam się na dziecko.

Drzwi wejściowe miały górną część oszkloną, tak że widać było, kto za nimi stoi. Szybki były zabezpieczone żelazną kratą, a oprócz tego można było zamykać je łańcuchem. Do tych drzwi stale się dobijał Misio i na wysokości klamki widać było jego spłaszczony na szybie nosek. Czy to pracując w kuchni, czy będąc przy mamie, stale musiałam biegać i otwierać, ale powstrzymywałam zniecierpliwienie, gdyż sprawy, z którymi przychodził, były ważne. Na podwórku zawsze się coś działo, był ciągły ruch; przebywając wśród dzieci, zwierząt i przyrody mały Miś zbierał doświadczenia, poznawał świat.

Razu pewnego dzwonek zadzwieczał mocniej niż zwykle, a gdy nie otworzyłam natychmiast, dzwonenie przeszło w łomotanie nogą do drzwi. To już był prawdziwy alarm. I rzeczywiście, wypadek był nagły: Misio trzymał na rękach młodego koguta ze złamaną nogą.

30

— Typi-typi aj-bibi! — wołał, a podniesione na mnie oczka były pełne współczucia i prośby.

Zastanawiałam się, co robić. Najłatwiej byłoby dobić kurczaka, żeby się nie męczył, a przy tym byłaby rozwiązana sprawa obiadu. Ale w tym wypadku... Nie, inaczej zrobimy.

— Zaraz kogutkowi pomożemy — zapewniłam synka.

Z całą powagą przeprowadzaliśmy skomplikowany zabieg chirurgiczny, polegający na złożeniu złamanej nogi i unieruchomieniu jej między dwoma cienkimi drewniankami. Miś trzymał ją słuchając moich zapewnień, że złamana nóżka już nie boli. Potem umieściliśmy pacjenta w koszyku pod stołem w kuchni.

Po trzech tygodniach noga wspaniale się zrosła, kogutek nawet nie kulał, tylko na jasnożółtej skórcie pozostał różowy ślad, jakby dookoła była zawiązana nitka. Moja siostra jako lekarza została ugruntowana i odtąd, gdy się ja-kieśmuś dziecku z podwórka coś przydarzyło, Miś mówił uspokajająco: „Maama, maama” i ciągnął delikwenta do mnie.

W tym czasie mój ojciec otrzymał posadę radcy prawnego w „Społem” we Wrocławiu. Przyjeżdżał jednak do nas w soboty, zaraz po pracy. Misia łączyła z dziadkiem wielka miłość i obopólne zrozumienie. W każdą sobotę mały tkwił przy bramie i nawet na posiłki nie chciał przychodzić do domu.

Dziadek wprawdzie ogromnie rozpieszczał Misia na wszystko mu pozwalając, ale z chwilą jego przyjazdu mogłam odetchnąć i zająć się czymś innym, bo Miś go nie odstępował. Traktowali się bardzo po koleżeńsku, począwszy od tego, że... mówili sobie po imieniu. Tak, Miś nazywał dziadka „Wacio” i chociaż to nie brzmiało zbyt wyraźnie, ale rzybną było zrozumieć.

Ojciec nie mógł niczego odmówić Misiowi, podejrzewałam, że sam nieraz nie jadł obiadu, ale Miś miał i czekoladę, i cukierki, i zabawki, które go olśniewały na wystawach. W stosunku do mnie synek nie pozwalał sobie na te metody, które stosował wobec dziadka. Ciągnął biednego „Wacia” do okna sklepu i namawiał po swoje-

31

mu, mówiąc przymilnie: „Wacio, Wacio! Oou, oou!” A jak dziadek się bronił, namawiał go coraz głośniejszym i bardziej stanowczym głosem, potem zaczynał tupać nóżkami i podskakiwać wrzeszcząc, aż otrzymywał wreszcie to, o co walczył.

Czasem jeździłam z Misiem do ojca, do Wrocławia. Poeciąg chodziły nieregularnie i nieraz zdarzało się, że nasza podróż trwała sześć godzin, chociaż odległość wynosiła czterdzieści kilometrów. Pomimo to zabierałam zawsze z sobą dziecko, sprawiając tym wielką radość zarówno jemu, jak i dziadkowi.

Tym razem we Wrocławiu spotkaliśmy tatę i razem z „Waciem” i Misiem wylądowaliśmy w sklepie z zabawkami. Duża drewniana ciężarówka z przyczepą, pomalowana na czerwono i żółto była bardzo efektowna, ale stanowczo za droga dla kieszeni dziadka, więc Olgierd widząc rozjarzone zachwytem oczy syna zadeklarował wspólne pokrycie kosztów. Nie zdobyłam się na opozycję, choć wiedziałam, że to ja z Misiem i tym dużym samochodem będę wracać do Brzegu.

Po załatwieniu wszystkich spraw wracaliśmy, idąc w kierunku dworca. Mały ciągnął za sobą na sznurku auto. Przyczepa turkotała po chodniku, to znów zaczepiała się o coś i przewracała. Miś ją pieczołowicie naprostowywał, równał sznurek, wstawał i szliśmy dalej w tempie żółwia.

Przy próbie pociągnięcia Misia za rączkę, żeby szedł prędzej, ten podnosił na mnie oburzone oczka i wołał:

— Auto! Auto babuuu!

W czasie jednego z takich sporów usłyszałam znajomy głos:

— Moje uszanowanie pani!

Odwróciłam się. Za nami stał znajomy prokurator i z uśmiechem zdejmował kapelusz.

Idąc z nami, jak zwykle przy spotkaniach, zaczął mnie pytać:



— Kiedyż pani zacznie u nas pracować, pani Anno?  
Uśmiechnęłam się.

— Wciąż nie mogę się zdobyć na decyzję. W mojej sytuacji to nie takie proste wyjść z domu na osiem godzin.  
Tak, nie proste...

32

Pod koniec lata pojechaliśmy znów do Wrocławia, nie wiedząc, jaka nas czeka niespodzianka. Nie wiem już, drogą jakich wyrzeczeń ojciec mój kupił mały dwukołowy rowerek dziecienny. Był w bardzo dobrym stanie, pomalowany na czerwono, z błyszczącą, niklowaną kierownicą i dzwonkiem. Radość obydwóch była ogromna, Miś szalał, a dziadek promieniał. Drogę powrotną odbyliśmy stojąc w korytarzu pociągu, tuż przy drzwiach, i Miś nie pozwolił, żebym mu pomagała trzymać rower.

Nie trwało i pół godziny, kiedy w asyście dzieciaków, ale zupełnie samodzielnie, Miś opanował „technikę jazdy” na rowerze. Teraz każdy dzień zaczynał się od jazdy dookoła podwórka.

A kiedy Olgierd z podróży służbowej do Jeleniej Góry przywiózł mi okazjnie kupioną „damkę”, rozpoczęliśmy w trójkę nasze niedzielne wycieczki na rowerach do lasu. Brzeg miał piękne okolice, a las był zupełnie blisko. Po śniadaniu wyprowadzaliśmy rowery i pierwszy jechał tata, potem Miś, a ja na końcu. Budziliśmy sensację przejeżdżając przez miasteczko, ludzie przystawali z uśmiechem na widok maleńkiego rowerzysty pracowicie kręcącego pedałami.

Jechaliśmy polami, mijaliśmy stawy, na których pływały stadka kaczek. Co chwila któraś nurkowała i z wody wystawał jedynie kuperek. Miś na ten widok zaśmiewał się perliście i pokazywał mi rączką ruch zanurzania się, pochylając w dół złożone paluszki.

— Typy-typy-tiopatie! — wykrzykiwał radośnie.

W tym pozornie niezrozumiałym „tiopatie” odnajdywałam wyrazy „kapać się”, powtarzane po wielekroć przy każdej kąpieli od czasów niemowlęcych i być może zapamiętane przez synka.

Luy ciągnęły się na przestrzeni wielu kilometrów w stront. Poznania, a my wypuszczaliśmy się coraz dalej, wyszukując najpiękniejsze zakątki. Mech był poryty przez dziki, a jadąc leśną dróżką nieraz widziało się płowy cień sarny umykający przed nami. Raz pojechaliśmy trochę za daleko i była obawa, że zbłądzimy. Olgierd patrzył z niepokojem na zachodzące słońce i na Misia, czy da radę powrócić. Nie pozwalał mi zsiadać z roweru na widok dośrodkowych maślaków, które jak na złość zabiegały nam drogę.

3 — Los w rękach twoich

33

— To jest strata czasu! — wołał odwracając się w: moim kierunku. — Patrz na słońce! Musimy się spieszyć:

Podziwiałam małego, że tak wytrwale ciągnie na swoim rowerku, nie skarżąc się na zmęczenie. Był na swój wiek bardzo silny i sprawny. Przydały się „treningi” i zwycięstwa podwórkowe, którymi zwykle tak cieszyli się obydwaj z ojcem.

Z wycieczki wracaliśmy zmęczeni, ale zadowoleni i pełni wrażeń. Wjeżdżaliśmy do domu przez bramę, zachowując taki sam porządek jak przy wyruszaniu do lasu. Każdy z nas wnosił swój rower po schodkach i stawiał na miejscu; nie odpoczywaliśmy jednak jeszcze, bo trzeba było nakarmić i zapędzić kury do kurnika.

— Typy-typy-typy — wołał Misio i sypał karmę, a po-tem we trójkę zaganialiśmy kury. Miś łapał je i wsadzając paluszek w pióra mówił do mnie: — Typy-typy-tiauto! — że niby ta kura ma jajko.

— Puść, Misiu, jajko będzie jutro — perswadowałam próbując jednocześnie namówić synka, żeby powiedział wyraźniej „jajko”. Ale mały wyrwał mi się i popędził w stronę psa podwórkowego, dając mi do zrozumienia, że trzeba go nakarmić. Ogromnie lubił Wiernego, ale zupeł-nie nie udawało mi się go nauczyć, aby powiedział „pies”, chociaż przy każdej okazji powtarzałam mu ten wyraz. Wiedziałam, że rozumiał, co to znaczy, odpowiadał mi bo-wiem „au, au!”, nie chciał jednak spróbować powiedzieć inaczej.

Teraz, po tej wycieczce, kiedy przygotowywałam jedze-nie dla Wiernego, Miś stojąc jak zwykle obok wsadził na-gle paluszek do miski i wymówił:

— Pietę! Pietę! Ap!

— Tak — ucieszyłam się. — Piesek będzie jeść. Ta ko-lacja dla Wiernego.

— Feke! Feke! — bystre oczka patrzyły na mnie. Zasta-nowiłam się: „Feke” — to może „Wierny?”, a może 'za drugim razem zamiast „pietę” wyszło „feke”?

W czasie karmienia psa jeszcze raz powiedziałam:

— Pies, piesek je! — moja twarz była na poziomie twa-ry dziecka, bo pochyliłam się obejmując małego. Miś nie spuszczać oczu ze mnie powtórzył: „-,piete, pietę!” Po-kiwałam głową potakująco, z uśmiechem go chwalać. By-łam zadowolona, że nareszcie wypowiedział coś podobnego

34

do „pieska”, ale dziwiło mnie, dlaczego nie wymówił „5”, przecież na cukierek mówił „siuej”, potrafił też powie-dzieć „sieola” (czekolada), a tu wychodziło jakieś „pietę”. Nie rozumiałam, dlaczego.

Pewnego dnia przyjechał stryj męża z Bystrzycy Kłodz-kiej i opowiadał, że niedaleko nich, w Polanicy, mieszka sławny podobno neurolog Niemiec, i radził zawieść do niego Misia na badanie. Proponował, żeby skorzystać z okazji, że jest tu autem, i przejechać się z nim teraz, tym bardziej że ów lekarz miał niedługo wyjechać z Pol-ski.

Tego samego dnia wybrali się więc w podróż; z Misiem pojechał Olgierd, a ja zostałam.

Po powrocie słuchałam szczegółowego sprawozdania

. | ,

Lesz, doktor zwracał szczególną uwagę, czy nie. by-ło u Misia zaburzeń równowagi, kazał mu iść prosto od drzwi do siebie, a potem opukiwał go młoteczką.

- No, jak każdy neurolog — wtrącałam.

— .Tak, ale potem mi powiedział, że miał w Hamburgu, e był dyrektorem kliniki dziecięcej przed wojną, kił-podobnych przypadków i, ciekawe, powiedział, że po 111 do siedmiu lat zdarza się, że funkcje uszkodzonych ów jednej półkuli mózgowej obejmuje druga półkula.

Elobi] nadzieję, że w przypadku Misia jest to całkiem mo-liwc Rozumiesz? To znaczy, że po dojściu do siedmiu li MI będ iza] i mówił! O, dał nawet takie orze-M;iz wyciągną! złożoną kartkę.

[otyckim pismem bez-miałałam serca rozwiać Olkowych „na-

., e prawie trzy lata! — powiedzia-- Cóż, poczekamy. — I spojrzałam na Misia, przy nas w kucki suwał pracowicie autko po. podłódze przy akompaniamencie cieniutkiego „uuuuuuu”. Wszyscy, jakby się zmówili, kazali czekać do 1at. sie-dmiu. I lekarze tu powtarzali, że

nauka w szkole specjal- zaczyna się dopiero od siedmiu lat, i ten neurolog w Polanicy, nawet te babiny z sąsiedztwa, kiwające głowa- mi nad dzieckiem, że ma „ciężką mowę”, ale trzeba po-

::•

35

czekać, to po siedmiu latach mu przejdzie... Ale ja nie miałam cierpliwości.

Na co mam czekać? Mam założyć ręce bezczynnie? A może później się już tych lat nie odrobi?

Nie. Nie będę czekać.

Na razie nie wiedziałam jednak, co począć. Wszystkich pytałam, zanudzałam lekarza w ośrodku zdrowia, ale on tylko rozkładał ręce bezradnie i zapisywał... witaminy. Tymczasem Miś rósł i był jak żywe srebro. Najmilszą zabawą było skakanie po wszystkim, po czym się dało, a wskutek tego łóżka, kanapy czy tapczany miały spręży- ny wystające i rozchwie- rutane, krzesła nie były pewne i trzeba było na nie ostrożnie siadać.

Gniewaliśmy się o to często, ale upilnować było trudno i nie wszyscy w domu postępowali tak stanowczo jak ja. A dzieciak był uparty, złościł się i krzyczał, jeśli mu kto w tej zabawie przeszkadzał. Przy mnie wiedział, że nie ustąpię i że nie uda mu się przeprowadzić swojej woli. Po kilku próbach pogodził się z tym i nauczył się być mi posłuszny. Widząc na przykład, jak kiwam przecząco głó- wą lub patrzę ze zdziwieniem i naganą w oczach, gdy usiłował zmusić mnie do pójścia w wybranym przezeń kierunku lub wejścia do sklepu, żeby kupić, co on chciał, nie nalegał więcej i zmieniał kierunek zainteresowania.

Ogromnie lubił wszelkie mechaniczne zabawki, szcze- gólnie pojazdy. A w sklepach było tego dużo. Na wysta- wach przyciągały wzrok nie tylko maluchów, ale i doro- słych śliczne, nowoczesne zabawki poniemieckie: nakre- cane modele samochodów, elektryczne pociągi, latające samoloty. Nieraz stojąc przed wystawą sklepu komisowego i trzymając za rączkę Misia, który patrzył rozjarzonymi oczkami na pełny skład pociągu pędzącego po „prawdzi- wych” szynach, walczyłam sama z sobą. Z całego serca chciałoby się kupić tak piękną zabawkę, nawet kosztem wielkich wyrzeczeń... żeby małemu sprawić radość, żeby mu choć trochę wynagrodzić jego trudności życiowe.

Ostatecznie, pomimo braków finansowych, mogłabym to zrobić, choćby sprzedając swój łańcuszek. Ale czy to by- łoby słuszne? To znaczy, czy byłoby słuszne ze względu na dziecko?

Jak to było u mnie, za moich lat dziecinnych? •— zasta- nawiałam się. Chociaż byłam jedynaczką bardzo kochaną

36

i rozpieszczaną, wiedziałam, że nie można mieć od razu wszystkiego, czego się tylko zapagnie, a znając skromne możliwości rodziców nie napierałam się niepotrzebnie, nie chcąc im sprawiać przykrości.

Jeśli będę teraz wszystko, o czym tylko zamarzy, dawać synkowi, nie uodpornię go przeciw późniejszym trudnoś- ciom, których chyba on właśnie będzie miał więcej orł innych. A czy mi teraz nie chodzi również o to, żeby są, bie |prawić przyjemność? Bo to nawet jest do pewnego ,i.i egoistyczne i wygodne takie kupienie pięknej za- bawki dziecku: miałoby się spokój, dziecko nie napierało- by sit; więcej, bawiłoby się spokojnie... Ale czy dla nie- g 0, Ol dłuższą metę, byłoby to dobre?

/. pewności.!! nie.

Jui terai mój Ojciec nie może mu odmówić i kupuję • .Indycze w czasie każdego spaceru. Miś doskonale wie o tym, że dziadek mu się nie oprze, i potrafi to wykorzystać.

Tak rozważając upewniłam się w słuszności swojego rozumowania i łatwiej mi było pozostawać w roli stanowczej matki. I choć na pozór wydawałoby się, że dziecko nie rozumie, tłumaczyłam mu spokojnie, że nie mogę kupić tej zabawki, której tak pragnie. Brałam synka na ręce tuląc do siebie, i poważnie, tak jakby słyszał i rozumiał co mówię, wyjaśniałam sprawę. On widział mój spokój, czuł miłość i ulegał stanowczości. W oczach innych ludzi takie mówienie wydawało się niepotrzebne, ale okazywało się potem, że właśnie mnie synek najlepiej rozumie bo ja najwięcej z nim rozmawiam. To był odbiór, powie-działabym, najpierw sytuacyjny, bo poszczególnych słów połączonych w zdania nie rozumiał, nie umiał jeszcze przecież aż tak dobrze odczytywać z ruchu warg, ale chwycił sens tego, o czym mówiłam do niego, tylko ci o niego.

Że tak jest naprawdę, przekonałam się po pewnym czasie. Otóż moje polecenia Miś wypełniał bezbłędnie a w stosunku do innych ludzi, na przykład sąsiadów, ja musiałam być tłumaczem. Musieli oni w rozmowie z matką posługiwać się gestami.

Synek rozumiał jeszcze swego ojca i dziadka, może nawet więcej dziadka, bo miał sposób mówienia podobny do mojego, ale już mieszkającego z nami pana Stanisława

17

w ogóle nie rozumiał; po pierwsze dlatego, że ten mało zwracał się do niego, a po drugie — staruszek miał wąsy i brodę, a to już było przeszkodą nie do pokonania.

Poza tym mało było nowych słów, a te wyrazy, które wymawiał, były zupełnie niezrozumiałe dla ludzi. Martwiłam się tym bardzo. A najgorsze było to, że Miś przestał reagować na klaskanie w dłonie, nie odwracał się już. Nie podnosił też głowy, kiedy przelatował samolot. A potem przyszedł bardzo trudny dla mnie okres. Było jasne, że życie mojej mamy już się kończy, a ja z przerażeniem i rozpaczą uświadamiałam to sobie. Na świecie była piękna wiosna, ogródek tonął w kwiatkach, a przez otwarte okna wlewały się fale kwiatnych zapachów.

Był brzask, kiedy po kolejnym, ciężkim ataku serca mamy wyszłam na balkon i oparta o drzwi walczyłam ze łzami dławiącymi gardło. Wspaniały wiosenny świat budził się do życia i na tle ptasiego chóru dochodzącego z parkii na pobliskim drzewie śpiewał szpak.

Jego czysty głos sławiący piękno nowego dnia nie wpłynął na mnie kojąco, na odwrót, pomyślałam, że cały ten świat dźwięków pozostanie zamknięty przed moim dzieckiem. I jak mamy nie mogę zatrzymać przy sobie ani ulżyć w jej cierpieniach, tak i tu jestem bezradna, bo nie wiem, jak synkowi pomóc, i nikt, nikt nie umie ani mi doradzić, ani pokierować.

Ostatni miesiąc starałam się nie odstępować od łóżka mamy. Obie wiedziałyśmy, że nasze wspólne dni się kończą, ale nie mówiłyśmy o tym. Raz tylko, klękawszy przy niej, spytałam:

— O czym myślisz, mamusku, powiedz?

— Modlę się, żebyś nie rozpacziała bardzo po mojej śmierci — odrzekła.

Pamiętałam o tym, kiedy zegnaliśmy ją leżącą wśród róż i jaśminów. Pamiętałam i później, starając się uczucia swoje przestawić z rozpacz na miłość i wdzięczność za jej całe życie i za przykład, jaki mi dawała.

A w pięć miesięcy potem, zupełnie nagle, umarł mój ojciec. Tu już nie potrafiłam opanować rozpacz, do której

:?8

dołączyła się jeszcze świadomość nieodwracalnej straty dla Misia. Ojciec tak kochał go przecież, tak go rozumiał... I dziecko bardzo go kochało.

I. arz ii' ii mężowi wyjazd na leczenie do Kudowej, r.dw UNI.-IIMU' przejścia 11 u  
!• ;y ,i ii )tu;ly i jego zdrowie. Za-  
nia sercowe. Wyjazd po-  
i, więc Olgierd wystarał się  
ml/uine. ...

mieszkali przeważnie  
; i pracy łaknęli spokoju  
przekreślała i jedno,  
. dzieciak biegnąc przez  
|x>śladrk poważną, starszą na-  
itura.

Kod i ' Mision na dalekie spaceru.  
i by) wyjątkowo ciepły i na szarych po-  
i zieleniła się trawa. Pomału, stopnio-  
l im.i i odwracała się od przeżytych nieszczęść.  
i!.H' e marnuję siły i energię na rozpacz, a na  
nic mogę pozwolić. Rozpacz osłabia, a ja właśnie  
być silna, mówiłam sobie, bo któż ma pomóc  
l nie matka? Zdałam sobie sprawę, że Misio  
po swojemu śmierć dziadków, i zrozumiałam,  
M było nii równe jego usposobienie z ostatniego  
I; byłam la!; smutna, rozklejona i słaba, dzie-  
u!n nprucia A" mnie, a tym samym zatracalo  
nie rozumiejąc, co  
i o do mnie, a nie  
lo tyi acone z równowagi do  
• !;;

powiedziałam sobie, weź się w garść, od twojej postawy będzie zależał los dziecka.  
chciał koniecznie obejrzeć Wystawę Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. Uważał, że dobrze  
będzie, jeżeli i ja ją zwiedzę, a ponieważ nie można było zostawić Misia samego w domu,  
pojechaliśmy we trójkę.

Perony wrocławskie były pełne podróżnych potracających się i śpieszących W różnych  
kierunkach. Trzymałam  
39

mocno rączkę Misia, żeby się nie zgubił. Po wyjściu z dworca wsiedliśmy do tramwaju. Trasa  
była długa i krąta, ale Misio się nie nudził, siedział przy oknie i obserwował ulice.  
Wystawa obejmowała duży teren, była ciekawa, z rozmachem obrazowała rozwój Ziem  
Odzyskanych w okresie pierwszego planu trzyletniego. Zwiedziliśmy ogromną halę, w której  
był pokazany przemysł maszynowy. Olgierda to bardzo interesowało, ale my z Misiem  
szybko się zmęczyli. Oglądaliśmy potem wszystko, co Ziemie Odzyskane mogły nam  
pokazać, a więc kulturę, sztukę i zabytki. Duża część była eksponowana w rysunkach i  
planszach, przystanęliśmy więc przed gablotą z fotografiami i wówczas powiedziałam do  
męża:

— Popilnuj Misia, a ja za chwileczkę wrócę.

Nie było mnie dosłownie parę minut i wróciwszy zastałam męża w tym samym miejscu.

— A gdzie Miś? — zapytałam.

— Przecież za tobą pobiegł!

Rozejrzałam się, ale nie zobaczyłam małego w pobliżu. Rzuciliśmy się szukać go na  
wszystkie strony. Teren Wystawy był bardzo rozległy, ale przecież Miś dopiero co

odszedł, musi być gdzieś niedaleko. Coraz bardziej gorączkowo przetrząsaliśmy wszystkie możliwe zakamarki, przeszukaliśmy nawet krzewy i zarośla przy ogrodzeniu. Na próżno. Ściemniło się wreszcie i coraz mniej prawdopodobne здавало się odnalezienie zagubionego dziecka. Głośniki radioowe nadawały skoczne melodie, rozbrzmiewające dźwięki poza teren wystawy, tłumy zwiedzających beztrudnie przechadzały się, ludzie ze zdziwieniem patrzyli na nas, ja!c biegaliśmy potrącając ich. W pewnej chwili przystanęłam i łapiąc oddech powiedziałam do Olgierda:

— Trzeba pójść do tego radiowozu i poprosić, aby p\*zez radio nadali komunikat. Ja posiedzę na ławce, nie rnam już sił.

Po chwili nad naszymi głowami z głośników popłynęły słowa: „Zaginął głuchoniemy chłopczyk, blondynek, ubrany w jasny płaszcz i czapkę”. Siedzieliśmy w milczeniu na ławce, usiłując ukryć zderwienie. Wyobrażenia podsuwała nam przerażające migawki tego, co się mogło stać z dzieckiem.

— Słuchaj — wykrztusiłam z trudem przełykając ślinę —  
40

mam takie absurdalne przecucie, że Miś jest na Dworcu Głównym.

— Tak daleko przecież nie zaszedł, to drugi koniec miasta, trasa skomplikowana i mosty po drodze. Siedzieliśmy znów milcząc, czas upływał.

„Zaginął głuchoniemy chłopczyk, ubrany w jasny pł\*szczyk...” brzmiało co pewien czas nad nami. Otrząsnęłam się z odrętwienia i zaczęłam prosić męża:

— Olku, proszę cię, pójdz do budki telefonicznej i zadzwoń na dworzec. Zrób to, idz, ja tu poczekam...

Poszedł bez przekonania, a ja zamknęłam oczy i błagałam Boga, aby się moje małe odnalazło. Byłam tak zatoniona w modlitwie, że drgnęłam, gdy Olgierd powiedział:

— Nie mogę się dodzwonić na dworzec, a w innych komisariatach milicji nic nie wiedzą. Pójdę, poszukam, a ty tu czekaj.

— Dobrze, jedz.

Na dworcu po prawej stronie u wejścia były drzwi z napisem „MO — Milicja Dworcowa”. Wewnątrz na ławce siedział sobie grzecznutko Miś. Na widok ojca wstał i podał mu rączkę. Milicjant powiedział, że dziecko zostało zatrzymane w momencie, kiedy usiłowało przedostać się na perony.

Miś cichutko czekał, póki Olgierd załatwił formalności, i dopiero kiedy zatrzasnęły się drzwi taksówki, przytulił się do ojca i chowając głowę w jego marynarkę wybuchnął płaczem.

Gdy auto zatrzymało się przed wystawą i wysiedli, Miś na widok znajomej bramy cofnął się gwałtownie.

— Nie bój się, chodź! — mówił Olgierd, ale dziecko przecząco potrząsało głową i opierało się mocno. Dopiero po pewnym czasie, kiedy ściskając go mocno za rączkę zapewnił, że przecież tata jest razem, że go mocno trzyma, że tam jest mama, Miś zgodził się i poszedł.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy nic o tej fatalnej wędrówce naszego synka. Dziwiliśmy się tylko obydwójce z mężem, jak dostał się on na dworzec. Bywał tu wprawdzie ze mną często, bo przecież odwiedzaliśmy we Wrocławiu dziadka. Może zapamiętał tę drogę? To prawda, że zawsze potrafił poprowadzić nas tą samą ścieżką z każdego spaceru. Przy-pominaliśmy sobie, jak kiedyś znikł nam na długo na plaży nad morzem. Gdy mąż go odnalazł, postanowił się przeko-

nać,- jak to jest z tą słynną orientacją przestrzenną u głuchych. Kazał się więc prowadzić synkowi do domu. Chłopiec szedł pewnie, jak gdyby tą drogą podążał już nie pierwszy raz. Gdy zbliżali się już, ojciec pytał: „Czy to tu?” Dziecko spojrzało i pokręciło głową. „A może tu?” pokazał mu następny dom. Kilka było bliźniaczo podobnych, ale Michał ani chwili się nie zawahał i wszedł do właściwego. Było to w pierwszym dniu naszego pobytu w tej miejscowości.

! Kiedy Miś miał pięć lat, chorowałam ciężko, a potem czułam się bardzo osłabiona. Olgierd znów otrzymał skierowanie na wczasy i przeforsował wyjazd całej naszej trójki do Zakopanego.

W drodze nie było kłopotów z Misiem, bo nie odstępował od okna, zawsze znajdując za nim coś ciekawego. Wreszcie zmęczył się, znużył i zasnął. Do celu dojechaliśmy dopiero wieczorem, za to sankami aż poci drzwi wejściowe Bristolu. Było mroźno i ostre powietrze tamowało oddech.

!Hotel był luksusowy, z centralnym ogrzewaniem, rzęsis-te światła i schody wyłożone czerwonym dywanem. Było mnóstwo ludzi i Miś oszołomiony ruchem, podróżą i wieloma wrażeniami natychmiast zasnął, kiedy tylko wróciliśmy z kolacji do swego pokoju.

; Zaráż następnego dnia przy śniadaniu zawarliśmy znajomości z gronem młodych jak i my wczasowiczów. Całym towarzystwem wybraliśmy się na Gubałówkę. Miś z wielkim przejęciem taszczył swoje małe narty, a gdy tylko wysiedliśmy z kolejki, przypiął je i zaczął ćwiczyć na „oślej łączce”.

— Popatrz, jak daje sobie radę! — cieszył się tata.

Małe narty były nie posmarowane i nie niosły zbyt szybko, byłam więc spokojna, tym bardziej że Olgierd czuwał bez przerwy nad synkiem, ucząc go, jakie ruchy są prawidłowe i jak najlepiej ćwiczyć. Miał podobne ambicje jak kiedyś z rowerem: Michał musi być sprawny jak inni młodzi chłopcy. To mu pozwoli uniknąć wielu kompleksów. - Po kilku dniach synek jeździł zupełnie swobodnie. Choć-ciaż na swoje pięć lat był duży, to jednak na tle dorosłych narciarzy komicznie wyglądała jego mała figurka, gdy sunął w dół po stoku, cały otoczony śnieżnym pyłem.

42

Narciarze uśmiechali się widząc, jak ambitnie mały próbuje im dotrzymać kroku.

W naszym towarzystwie był młody pan Roman K., który świetnie jeździł, świetnie tańczył i świetnie... flirtował. Oprócz tych wszystkich zalet, lubił dzieci i on to ujął się za Misiem, kiedy ten zaczął się napierać, że zjedzie razem z nim z Gubałówki aż na sam dół.

— Niech państwo będą spokojni — mówił.—Będę jechał naprzód i asekurował go, a śnieg dziś dobry, nic się nie stanie.

Pan Roman miał miłą twarz i wciąż się uśmiechał. Stali teraz bok siebie, gotowi do zjazdu: mężczyzna o twarzy rozpieszczonego chłopca i dziecko z buzią wyrażającą mocne postanowienie zwycięstwa i najwyższą radość.

— Będziemy wolno zjeżdżać, tak że państwo nas zobaczą — powiedział pan Roman, a ja pobiegłam szybko do kolejki, żeby zjechać na dół razem z nimi.

Stałam w wagoniku z przylepionym nosem do szyby, ale ną razie przede mną przesunęły się tylko wierzchołki ośnieżonych świerków.

—!- Tu nic nie zobaczysz, chodź na drugą stronę, zaraz za mostkiem będzie garb i duży zjazd, tam będą zjeżdżać !— mówił Olgierd, więc szybko przepchnęłam się do drugiego okna.

Ludzie zaczęli na mnie sarkać, ale im wytłumaczyłam, że zaraz będzie jechał mój synek.

— Jest! Jest! — krzyknęłam.

Na ośnieżonej pochyłości stał narciarz w białej wia-trówce i patrzył w górę. Jego śladem zjeżdżał Miś, jak mała kulka, wzniecając chmurę śnieżnego pyłu. Pochylny, kijki trzymał prawidłowo za sobą, a że stok był stromy, płużył. Ten widok wzniecił we mnie taki entuzjazm, że aż Olgierd musiał mnie hamować. Pasażerowie patrzyli z za-interesowaniem i też się dziwowali.

— Ależ to kropeczka! — rozczuliła się pani w przycia-snym kożuszku.

— Ma ziipełnie dobrą postawę, będzie dobry narciarz z niego — mówił starszy pan do Olgierda, który udawał, że patrzy bezstronnym okiem na jazdę synka.

Wieczorem po kolacji miała być zabawa i tańce. Miś widział te przygotowania i dawał mi do zrozumienia, że

«

też pójdzie. Wy tłumaczyłam mu, że to będzie zabawa dla dorosłych, a takie małe dzieci muszą spać o tej porze, i że wszystkie dzieci, które tu mieszkają, będą spały.

— Mama? Mama? — zapytał, a w słowach tych zawarte było pytanie, czy ja pójdę, oraz lęk przed zostaniem pier-wszy raz samemu w pokoju, w obcym miejscu. Dotąd nigdy nie zostawał sam w domu.

— Mama tu, razem z Misiem — powiedziałam z uśmie-chem.

Mały siedział w łóżku i przenosił wzrok ze mnie na ojca. Po całodziennym przebywaniu na ostrym górskim powietrzu policzki mu pały i buzia nabrała przyjemnego zdrowego wyglądu.

— Mama pawis — oczka patrzyły na mnie badawczo.

— Tak, mama lubi bawić się i tańczyć — zaśmiałam się na samą myśl o tym.

— Msio uuu! — synek zrobił ruch naśladowy jazdy na nartach. — Mama pawś, Msio tiu! — pokazał palu-szkiem łóżko.

— Bardzo ładnie! — wtrącił się mąż i pogłaskał synka po głowie. — Masz rację, Misio jeździ na nartach, bawi się, trzeba, żeby i mama miała przyjemność!

Ucieszyłam się. Całując synka tłumaczyłam, że będę tu w czasie zabawy zaglądać i że on nie będzie długo sam; dałam mu jeszcze swoją torebkę, żeby się nią zaopieko-wał, i położyłam ją obok, w łóżku. Misio pokiwał głową, że rozumie i dopilnuje.

Bawiliśmy się świetnie, duża sala o dobrej posadzce, orkiestra, towarzystwo miłe, kulturalne i doskonale tań-czące, tak że dopiero po dobrej godzinie pobiegłam do pokoju na górę zobaczyć Misia.

Spał. Oburącz trzymał moją dużą torebkę leżącą obok na poduszce. Miarowy oddech unosił lekki koc, którym był przykryty. Przez lekko uchylone okno wpadało rześ-kie górskie powietrze, ale w pokoju było ciepło, przytul-nie.

## Część II TRUDNA DECYZJA

Pobył w Zakopanem świetnie nam wszystkim zrobił, a ja się wzmocniłam i łatwiej mi było dbać o dobrą at-mosferę w domu. Pamiętałam, że Miś zawsze mocno reagu-je na mój smutek czy przygnębienie, i starałam się uni-kać tego jak ognia.

Tymczasem wśród papierów ojca znalazłam kartkę z wydrukowanym alfabetem palcowym dla głuchonie-myh. Przyglądałam się jej zaskoczona. Uprzytomniło mi to, że pomimo unikania rozmów o głuchocie Misia każ-dy z nas chciał znaleźć jakąś drogę wyjścia i przeżywał to w sobie, na zewnątrz nie okazując.

Ale problem dojrzał. Cóż z tego, że dziecko fizycznie rozwijało się normalnie, wypełniało polecenia, rozumiało sens tego, co do niego mówiłam, a nawet potrafiło, po swojemu



oczywiście, wszystko mi opowiedzieć, skoro mó-wić, mówić tak, aby go wszyscy rozumieli, nie umiało.

Dziecko było ufne i śmiało w stosunku do ludzi, garnęło się do towarzystwa, a nieraz, kiedy rozmawialiśmy w większym gronie, siadało obok na kanapie i jakby dając do zrozumienia, że bierze udział w naszej rozmowie, zało-żywszy nogę na nogę zaczynało poważnie i szybko powta-rzać naśladując mowę- " „pijapijapijapija!"

Nie było to zabawne. Przypominało nam, że nie można dłużej czekać. Dziecko do mówienia było przygotowane, trzeba je tylko uczyć, ale już, teraz, i nie odkładać dłużej.

Mówiono mi, że w Lublińcu jest zakład dla głuchonie-myh, i postanowiłam pojechać zobaczyć, jak tam jest. Połączenie kolejowe nie było wygodne, ale jak tylko zro-biło się nieco cieplej, zdecydowałam się wybrać tam z Mi-siem. Trzymając synka za rączkę, żegnałam się z mężem.

45

— No więc, jak myślisz? Zostawić go tam? — pytałam w rozterce.

— Zorientuj się, przyjrzyj i postanów sama. Jestem pewny, że zadecydujesz właściwie — mówił Olgierd.

— Nie wiem, kiedy wrócę, i nie wiem, co zrobię.

Miś oczywiście nie orientował się zupełnie w naszych problemach. Podróżować bardzo lubił, ale w czasie jazdy pociągiem ani chwili nie siedział spokojnie: usiłował otworzyć okno, wlaził na ławkę, patrzył badawczo na uchwyt hamulca, a kiedy go przytrzymałam za pasek, wrzeszczał. Wreszcie wsadził nogę między ławkę i kalo-ryfer i nie mógł jej wyciągnąć. Towarzysze podróży-pa-trzyli na nas z dezaprobatą. Po paru godzinach wysiedliś-my wreszcie. Na stacji w Lublińcu dowiedzieliśmy się, że zakład dla dzieci głuchych znajduje się za miastem, poszliśmy więc we wskazanym kierunku.

Podróż nas zmęczyła i dlatego może droga wydawała się długa. Wreszcie po prawej stronie zobaczyliśmy duży ogrodzony teren. Z dala widać było drzewa, ale wysoki mur nie pozwalał zajrzeć. Zatrzymaliśmy się przed bra-mą. Między betonowymi słupami, u góry, rozpościera! się duży napis: „Zakład dla Głuchoniemyh w Lublińcu".

Stałam przed tą bramą, trzymając mocno synka za rącz-kę. Wreszcie zadzwoniłam.

Właściwy budynek był nieco cofnięty od wejścia. Szliś-my wąskim chodnikiem, ale widocznie trwały lekcje, bo nie spotkaliśmy nikogo. Weszliśmy przez główne drzwi i zawahałam się przez moment, któredy dalej iść; skręci-liśmy w korytarz na prawo. Był pusty, ale spoza, białych ścian z różnych kierunków dochodziły głosy: pojedyncze i chóralne, wysilone, niezrozumiałe, jak gdyby -czysty dźwięk usiłował z ogromnym trudem dopiero się wytwo-rzyć. Miałam, wrażenie, że te głosy przechodzą przeze mnie, rosną i wypełniają sobą wszystko.

Miś patrzył na mnie ze zdziwieniem, dlaczego ;stoimy i nie idziemy dalej. Wtem zza zakrętu korytarza wyszła szybkim krokiem jakaś pani i zatrzymała się obrzucając nas uważnym spojrzeniem. ...;...

— Pani do nas? Czym możemy służyć? — Twarz sto-jącej przed nami była rozjaśniona dobrym, szczerym uśmiechem, niebieskie oczy pełne iskierek, nad czołem jasne loczki, wszystko razem sprawiało wrażenie życzi-

46

wości i dobroci. Wyciągnęła ręce do Misia: !— To pani synek? Mooje ty cudo! No, chodź!

Miś przywitał się grzecznie. Po chwili siedząc w pustym pokoju rozmawiałyśmy z sobą. Pani Walenta była kierow-

nikiem pedagogicznym tego zakładu, a zarazem uczyła dzieci. •

Umożliwiono mi obejrzenie zakładu i pozwolono być na kilku lekcjach w różnych klasach. Widziałam dzieci duże i małe, a wszystkie miały bystre, ciekawe oczka, tak jak mój synek; nie robiły wrażenia smutnych czy stęsknionych za domem, były wesołe i żywe jak każde normalne dziecko.

Z podziwem słuchałam i patrzyłam, jak z pomocą nauczycielki dzieci wypowiadają zrozumiale poszczególne wyrazy. Błyszczące oczy utkwione z napiętą uwagą w twarzy nauczycielki śledziły ruchy jej warg, starając się je naśladować. Pani Walenta cieszyła się razem z nimi z każdego dobrze powiedzianego słowa i wyciągając rękę w moim kierunku — chwaliła:

— Widzi pani, jak pięknie mówi? Cudo ty moje! —  
gładziła po głowie kolejnego ucznia.

Przyjrzałam się, jak mozolna i trudna jest tu praca nauczycieli, ile wysiłku i cierpliwości wymaga. Zauważyłam, z jakim zapałem i oddaniem pracują i z jaką serdecznością odnoszą się do dzieci.

Potem rozmawiałam dość długo z dyrektorem zakładu. Niewysokiego wzrostu, tęga wy, o ciemnych oczach i niewymuszonym uśmiechu, odpowiadał mi na każde pytanie prosto, w sposób budzący zaufanie i świadczący o dobrej woli. Miłe było, że mówiąc patrzył prosto w oczy.

Jeżeli chodziło o naukę Misia w szkole, to był jeszcze za mały. Przyjmowano dzieci od lat siedmiu. Zadałam pytanie, czy dzieci pozostawione tu przez rodziców przyzwyczajają się szybko do otoczenia i czy nie tęsknią do domu. Pokiwał głową.

— Różnie bywa. Choć dokładamy wszelkich starań, aby dzieci czuły się u nas dobrze, niektóre dopiero po kilku miesiącach przyzwyczajają się, a już zwłaszcza te, których związek z rodzicami, był mocny. A przecież — uśmiechnął się — dziecko w jakikolwiek sposób ułomnie zawiązane bardziej będzie związane z matką, to naturalna rzecz.

47

A więc zdarza się, że płaczą po nocach, nawet starają się uciec.

. — Ach, to dlatego mur taki wysoki!

— Niestety. Ale, jak zresztą sama pani widziała, po pewnym czasie osuwają się z nowymi warunkami, są wesołe i zadowolone. Mogę przy tym z satysfakcją stwierdzić, że zespół pedagogiczny dobrał się szczęśliwie, pracuje dobrze.

Było już późno, umożliwiono mi więc uprzejmie przenocowanie w zakładzie, na co z radością się zgodziłam.

Malutki gościnny pokoik miał wąską kanapkę, na której położyłam się razem z synkiem. Miś natychmiast zasnął i szeroko rozrucił rączki po posłaniu. Zsunęłam się na sam brzeg, zresztą wiedziałam, że nie zasnę.

Wrażenia dnia przesuwają się w chaotycznych obrazach przez zmęczony umysł. Lekcje, nauczycielki, wesoła, miła twarz pani Walenty i uważne, wpatrzone w nią buzie, dzieci duże i małe.

Nagle wyobraziłam sobie synka leżącego wśród innych dzieci w sali sypialnej i płaczącego żałośnie z tęsknoty za mną. Obraz był tak sugestywny, że aż wstałam i przeszłam się po pokoju.

Przecież go jeszcze nie oddaję, bo za mały, a może później będzie bardziej samodzielny — włączyłam myśl, przywołałam rozsądek. Ale zaraz napłynęły wspomnienia z moich lat

dziecinnych; radosne, pogodne dni i spokojne noce pod troskliwą, pełną miłości opieką matki. Czy mnie kiedykolwiek rodzice zostawili samą na noc? Czy mam jakieś bolesne wspomnienia z dzieciństwa? Nie! Różnie w domu bywało, były okresy biedy i dobrobytu, losy były zmienne, ale pewna i stała była miłość rodziców. Ścisnęło mi się serce na wspomnienie o nich.

Misiek westchnął przez sen i odwrócił się na bok. Ostrożnie usiadłam obok.

Ale jakie jest wyjście? Przecież nie mam zielonego pojęcia o pedagogice specjalnej! Ależ nawet o pedagogice w ogóle! Samej się uczyć? Jak? Żebyśmy chociaż mieszkali bliżej jakiegoś dużego ośrodka! A tak, zostawić dom i pojechać do Warszawy — kto wówczas zaopiekuje się Misiem i skąd wziąć na to wszystkie pieniądze.

No, a jeżeli oddam dziecko tu, do zakładu...

Wróciłabym do swojego zawodu, aplikanturę szybko

48

bym zrobiła, sędziów teraz brak; ubralibyśmy się, pożylibyśmy trochę bardziej po ludzku, przecież jesteśmy młodzi i też się nam coś od życia należy.

I wyobraziłam sobie dom bez Misia... Jakże byłby pusty... O, moje małe! Co chwilę przybiega do mnie, patrzy na mnie oczkami pełnymi ufności. Ze wszystkim do mnie się zwraca, o wszystkim przeze mnie się dowiaduje...

Wstałam, ścisnęłam skronie rękoma. Nie potrafię rozdzielić się z synkiem. To moje dziecko, chcę je wychowywać, patrzeć, jak rośnie i rozwija się, brać udział w formowaniu jego osobowości. Nie chcę zrzucić całego ciężaru wychowania na innych ludzi, na zakład, na państwo. Na pewno nie będzie łatwo, wiem, ale spróbuję.

Napływały nowe myśli.

A dziecko? Co jest lepsze dla dziecka? Zakład? Więc nie dość jest głuche i czeka je życie niełatwe, że będzie pokonywać wiele trudności, takich, że teraz nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak można z nich wybrnąć, to jeszcze do tego wszystkiego ma być pozbawione Da co dzień macierzyńskiej opieki i troski? Czyż to jest sprawiedliwe? A cóż jest temu wszystkiemu winne ono, biedactwo?

Najbardziej oddany, ofiarny wychowawca nie zastąpi matki i jej miłości, tak bardzo potrzebnej we wczesnym dzieciństwie. To jasne.

W tym zakładzie, sama widziałam, opieka jest dobra, troskliwa, nauka daje wyniki, ale czy dla mojego synka dobre okaże się takie zamknięcie wśród dzieci głuchych? Czy nie lepiej mu zostać wśród słyszących rówieśników, gdzie jeżeli chce uzyskać cokolwiek, musi do nich mówić?

To pewne, że nam byłoby łatwiej go tu zostawić. Ale czy wszystkie łatwe drogi są dobre?

Czy nie należy spróbować trudniejszej? Och, jak trudno wybrać, myślałam, choć dziś jeszcze nie musiałam podjąć decyzji. Znow wstałam i przeszłam się po pokoju.

Zatrzymałam się przy śpiącym synku. Korzystając, że mnie nie ma, rozłożył się szeroko na kanapce, a spokojny oddech unosił miarowo kocyk, którym był przykryty.

Żal i obawa na myśl, jak cierpiałby z powodu rozłąki, znow boleśnie mi ścisnęły serce. Och, nie, nie, jeszcze się dość wycierpi w życiu, niechże ma teraz szczęśliwe dzie-

4 — Los w rękach twoich

49

ciństwo, póki mu je zapewnić możemy. Lata okupacji dowiodły, że nawet głód i bieda nie są takie straszne, jeżeli się jest wśród najbliższych. Że będzie ciężko? Pewnie, jedyna pensja

męża to mało, to bardzo mało, ale potrafię go – podarować skromnie, a wszystko inne jest nieważne w porównaniu z tym, co najważniejsze: dziecko i jego los.

Tak. Zrobię to, co mi dyktuje serce i sumienie... Pożostanie w domu i wówczas, gdy skończy siedem lat. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby ułatwić mu ciężką walkę z życiem. Spróbuję. Nie umiem? To się nauczę.'

Myśli powoli ucichły, zostawał spokój i pewność wybranej drogi.

Nazajutrz patrzyliśmy oboje z Misiem, jak dzieci szły parami na wycieczkę. Prowadził je młody wysoki człowiek o rudej czuprynie, z uwagą obrzucając wzrokiem dalsze szeregi.

Dzieci żywo gestykulowały, zdawało mi się, że mówią rękoma, choć niektóre wydawały przy tym krótkie okrzyki.

Miś patrzył z ogromnym zainteresowaniem, ale kiedy go zapytałam, czy chce iść z nimi, i zrobiłam zachęcający ruch ręką, stanowczo i szybko potrząsnął głową, że nie, i mocniej przytrzymał moją dłoń.

Żegnając się, zapytałam dyrektora, jaki jego zdaniem byłby najlepszy sposób nauki dziecka: w zakładzie czy w domu? Oczywiście najlepszy dla dziecka — dodałam. Odpowiedział mi z uśmiechem:

— Naturalnie, że dla każdego małego dziecka dom jest najbardziej właściwym miejscem i w domu się najlepiej czuje. Idealnym wyjściem byłoby uczenie dziecka przez fachowca w domu. Dobrze by było zaprzyjaźnić się z nauczycielem, zaprosić go do siebie i stworzyć warunki do nauki w domu. Ale to są mrzonki, proszę pani. Obecnie, po wojnie, mamy za mało nauczycieli pedagogiki specjalnej, a ci, którzy poświęcają się tej pracy, żyją tu jak w zakonie! Widziała pani sama, daleko od miasta, stale tu razem ze sobą i z dziećmi.

Wracaliśmy dwoma pociągami, z przesiadką. W drodze, o ile tylko Miś mi pozwalał, przypominałam sobie sposób, w jaki nauczycielka uczy wymowy, ale ciężko mi to szło. Za dużo naraz widziałam, byłam przy tym wytrącona z równowagi i poplątało mi się wszystko.

Krystalizowało się jedno, że choćby nie wiem jak było

50

trudno, będę uczyć się razem z synkiem, ze wszystkiego zrezygnujemy, wszystkiego się wyrzekniemy, ale on musi mieć szczęśliwe dzieciństwo i dom, swój dom. I tak też po powrocie powiedziałam Olgierdowi.

Do Warszawy pojechałam już bez Misia. Udałam się do Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych na placu Trzech Krzyży. Miałam nadzieję, że uda mi się namówić którąś / nauczycielkę na przyjazd do nas na wakacje, do Brzegu. Gotowa byłam do wszelkich wyrzeczeń, byle tylko zdobyć, fachową pomoc i wskazówki.

Ale tu okazało się, że sprawa jest beznadziejna. Każda z nauczycielek chciała w czasie wakacji odpocząć po wyczerpującej całorocznej pracy i nie zgadzała się brać na siebie żadnych dodatkowych obowiązków. Chodziłam od jej do drugiej, zbywana i odsyłana słowami: „Może koleżanka się zgodzi”.

Jeszcze jedna rozmowa, jeszcze trzeba spróbować!

— Nie, bolą mnie stawy, muszę jechać do Iwonicza i wziąć serię masaży — tłumaczyła mi pani w średnim wieku.

— U nas w Brzegu jest bardzo ładnie, odpoczęłaby pani, okolice są malownicze, można chodzić na spacer... a maśaże... to może ja... Bardzo bym chętnie to robiła, proszę mi wierzyć, że potrafię, pielęgnowałam chorą na reumatyzm matkę — namawiałam, ale na próżno.

Zrozpaczona, schodziłam na dół po schodach. Niepowodzenia ostatnich dni zwiększyły ciężar leżący mi stale na sercu, ciężar, który w tej chwili wydawał się już nie do zniesienia. Za co nas właśnie to wszystko spotyka? Dlaczego to mój jedyny synek jest głuchoniemy?

Zatrzymałam się, bo po schodach szło dziecko, małe dziecko, wyciągając przed siebie rączki, po omacku szukając poręczy. Z bladej buzi uniesionej ku mnie w górę wyzierały puste oczodoły.

Nie mogłam się ruszyć z miejsca, moja własna rozpacz została zmieciona gwałtowną falą współczucia..

To był chyba punkt zwrotny, bo choć nieraz potem było mi ciężko i smutno, nie dopuszczałam do siebie rozpacz.

Z nową energią ponowiłam starania, by nakłonić którąś

51

z nauczycielek do wyjazdu. Dowiedziałam się, że za godzinę kończy lekcję pani J., i do niej, do ostatniej już z mojej listy, chciałam się zwrócić. Zeszłam do ogrodu i usiadłam na ławce.

Czekając obserwowałam, jak niewidome dziewczęta uczyły się samodzielnie chodzić.

Alejką posypaną drobnym żwirem szła przystojna dziewczyna o jasnych włosach spadających na ramiona, a towarzyszyła jej nauczycielka, ale nie pomagała jej iść, nie dotykała. Dziewczyna swobodnie rozmawiając i śmiejąc się stawiała pewnie kroki.

Na ławce obok mnie przysiadła jedna ze sprzątaczek. Idąc za moim wzrokiem powiedziała:

— Ładnie już chodzi, a jeszcze trzy miesiące temu to wszyscy pilnowali, żeby oknem nie wyskoczyła.

— Piękna praca tych nauczycielek — szepnęłam w zamysleniu.

Kilkoro głuchych dzieci bawiło się obok. Moją uwagę zwróciła dziewczynka może ośmioletnia, z wysoko obciętą prawą rączką, przy samym ramieniu. Zapytałam o nią.

— Ta mała? Ona jest u nas stale. Znaleziono ją pod trupem matki po powstaniu. Rączkę trzeba było uciąć, bo już wdała się gangrena, a potem okazało się, że jest głuchoniema. Ma ojca, ale założył sobie drugą rodzinę, a małą oddał do nas.

Dziecko odczuło, że mówimy o nim, i podeszło bliżej. Siedząca obok mnie kobieta pogładziła dziewczynkę po głowie, a ta szybkim ruchem przytuliła się do niej.

— Widzi pani, jakie to spragnione pieszczoty?

Rzeczywiście, na twarzy małej ukazał się pełen rozmarzenia uśmiech.

Ale właśnie lekcje się skończyły i mogłam zobaczyć się z panią J.

Była to pani około pięćdziesiątki, dość tęga, o bladej twarzy i życzliwym uśmiechu. Moje długo trwające i żarliwe namowy wywarły skutek. Obiecała przyjechać na lipiec. Z wdzięcznością przyjąłem jej zgodę. Omówiliśmy warunki i pełna nadziei wróciłam do domu. Siedliśmy przy stole we trójkę. Miś na krześle naprzeciwko nauczycielki, która pedantycznie zawijała kraj

52

sukni, aby przypadkiem nie pobrudziła jej niesfornie machająca noga. W wykrochmalonej, jasnej sukni, życzliwa i uśmiechnięta rozpoczynała pierwszą lekcję.

— Paa! — powiedziała robiąc okrągły ruch ręką, całą twarzą i gestem zachęcając zaciekawionego Misia do naśladowania jej.

Powtórzył to natychmiast kopiując buźką wyraz twarzy pani J. tak komicznie, że właściwie powinno by to było mnie rozśmieszyć, ale przejęta i nastawiona na chłonięcie każdej wskazówki siedziałam bez ruchu.

— Pięknie! — pochwaliła pani. — Jakie to zdolne dzieci

ko — zwróciła się w moją stronę.

W zeszycie zostało napisane słowo „pa”, a potem przešliśmy do następnych. „Tata” i „mama” to były wyrazy tiane i nie przedstawiały trudności w wymowie, ale już irzy wyrazie „kot” oboje z Misiem ze zdumieniem przešliśmy się, że język należy przesunąć do tyłu.

Okazało się, to niełatwe. Dziecko wymawiało najpierw „titia”, potem „toty”, ale dźwięk „k” ani rusz nie chciał wyjść. Miś patrzył na mnie wyraźnie nie rozumiejąc, ku nu zmierza nasz wspólny wysiłek, i już zaczynał zsu-się bokiem z krzesła. Przytrzymałam go delikatnie, stanowczo, a nauczycielka owinęła szpatułkę wata z zachęcającym uśmiechem chciała pokazać, jak należy

łąć język, aby wymówić „k”. Miś gwałtownie się cofnął i z oburzeniem popatrzył na innie.

— Może pani to spróbuje zrobić sama — powiedziała

i J.

I rzeczywiście pomysł okazał się zbawienny. Mały zgo-n.i przeprowadzenie przeze mnie tej niezrozumia-o manipulacji w swojej buzi. Cofając szpatuł-jcgo język, poprosiłam go, żeby powiedział „kot”. Wy-szło! Ucieszyłam się, a na widok mojej radości synek zgo-dził się jeszcze trochę poćwiczyć. Pani zaznaczała, że „t” kończące wyraz „kot” ma być wymawiane cicho, kładła przy ustach palec, a potem przykładała rączkę dziecka do swojej szyi, żeby wyczuło dotykiem brak drgań głosowych.

Pół godziny to było tak mało, żeby się czegoś nauczyć, ale dla Misia to było bardzo długo i kiedy go zwalniałyś-my, wylatywał jak z procy.

53

Mimo to pani J. nie mogła się nadziwić, że Misio tak szybko chwyta jej wskazówki.

— To wyjątkowo zdolne dziecko — mówiła. — My nie-raz w szkole specjalnej mamy duże trudności z przeła-maniem oporu dziecka w wywołaniu dźwięku w ogóle, a on reaguje natychmiast.

Rada byłam z tych pochwał, ale dopiero po latach, kie-dy sama się zetknęłam z dziećmi przywożonymi do porad-ni — rozumiałam, na czym polegała cała łatwość: oto Miś był po prostu przygotowany do nauki artykulacji przez to, że traktowaliśmy go jak normalnie słyszające dziecko, mówiliśmy do niego całymi zdaniami, a on umiał patrzeć na usta, na twarz mówiącego, rozumiał sytuację, sens ogólny tego, o czym się mówiło, i jego mały rozumek rozwijał się pomimo kalectwa.

Lekcja trwała trzydzieści minut i ja bardzo żałowałam, że tak krótko. Chciałabym więcej się dowiedzieć z tajni-ków wywoływania dźwięków, ale pani J. tłumaczyła mi, że takie małe dziecko nie może uczyć się dłużej.

Lekcje zaczynały się rano. Ciągnęłam Misia do pokoju nauczycielki za rączkę, używając przy tym wszelkich ar-gumentów. Traktował to jako ciężki dopust, że bez wzglę-na pogodę, nawet jak świeciło piękne słońce, musi siedzieć i łamać sobie język, nie wiadomo po co. Był jeszcze mały, niemożliwe było wytłumaczyć mu, że lekcje te są celowe i konieczne. Za to ja siedziałam obok chłonąc każdy ruch nauczycielki i obserwowałam reakcje synka.

Tego dnia wstałam wcześniej niż zwykle, dom był je-szcze uśpiony i podwórko puste.

Otworzyłam klapkę w drzwiach kurnika i przeszłam do ogrodu pozbierać tro-chę opadłych jabłek na szarlotkę.

Trawa była wilgotna od rosy i jabłka mokre. Spoza drzew parku słońca jeszcze nie było widać, na wschodzie niebo było różowe. Wyszukałam w trawie kilka stokrotek na przybranie stołu i wróciłam do domu. Krzątałam się cichutko w kuchni, chcąc jak najszybciej uporać się z pie-czeniem ciasta, póki wszyscy śpią. Roboty było więcej niż zwykle, bo w tym dniu przypadały moje imieniny.

Ze smutkiem myślałam, że w tej skromnej rodzinnej

54

uroczystości przy stole nie będzie moich rodziców. Pie-kłam, kroiłam i szykowałam w pośpiechu, nie zdając so-bie sprawy z płynącego czasu.

W pewnej chwili usłyszałam trzaśnięcie drzwiami, po-tem chwila ciszy, tupot biegnących nóżek i znów cisza. Umyłam szybko ręce, ale nie zdążyłam jeszcze powiesić ręcznika, kiedy do kuchni wbiegł Miś, a za nim weszła uśmiechnięta pani J. Miś trzymał w rękach bukiet goź-dzików, stanął przede mną, spojrzął jeszcze na nauczyciel-kę, a kiedy ta skinęła zachęcająco głową, podniósł na mnie oczka i z przejęciem, powoli powiedział wyraźnie:

„Mama, kocham!”

Pochyliłam się nad nim, gwałtownie usiłując powstrzy-mać Izy wzruszenia, zaskoczenia i radości. Nie może dziec-ko zobaczyć moich łez w takiej chwili, musi widzieć tylko radości Całując synka, dziękowałam za kwiaty, chwaliłam, że tak pięknie wypowiedział swoje „powinszowanie”.

Dziękowałam również pani Jadwidze za przygotowanie niespodzianki i nauczenie słowa „kocham”.

Dzień w czarodziejski sposób odmienił się; odpłynęły smutne wspomnienia, wypełniła go radość.

## IMPROWIZACJE

Po odjeździe nauczycielki zaczął się okres usilnej pracy. To, czegośmy się nauczyli oboje, było za mało, żeby sa-modzielnie kontynuować naukę. Artykulacji nie zdążyliś-my przerobić i na pewno umknęło naszej uwadze mnóst-wo zasadniczych spraw, ale i tak byłam wdzięczna loso-wi, bo miałam już ogólne, ramowe pojęcie. Otwierało się przed nami pole do indywidualnych odkryć, trzeba było teraz samemu szukać i próbować.

Ponieważ nie mieliśmy żadnego podręcznika, kupiłam normalny elementarz i zaczęliśmy się nad nim mozolić.

Rozumiałam, że nie ma sensu męczyć synka zbyt dłu-gimi lekcjami, ale w ciągu pół godziny niewiele udawało się zrobić. Te pół godziny Miś traktował jako bardzo ciężką powinność i tylko z miłości dla mnie zgadzał się na nią. Nie będąc fachowcem na pewno robiłam mnóstwo błędów, choć brak umiejętności starałam się wyrównać zapałem i z prawdziwą pasją usiłowałam nauczyć dziecko mówić.

Lekcje nasze były hałaśliwe i dramatyczne.

Jak tylko siadaliśmy przy stole, rozkładając pomoce na-ukowe w postaci zeszytów, ołówków, obrazków i elemen-tarza, pierwszy z pokoju wychodził pan Stanisław, pośpie-sznie stukając laską i powłócząc chorą nogą. Niedługo po nim pod byle jakim pretekstem wychodził mąż, nie wy-trzymując nerwowo.

Póki oglądaliśmy obrazki i rysowaliśmy, wszystko było dobrze, jednakże z chwilą, kiedy przechodziliśmy do kon-kretnej artykulacji, Miś szybko tracił cierpliwość i po paru minutach robił się nieuważny, zerkał na okno, zsuwał się jedną nogą z krzesła, a ja wpadałam w rozpacz, że mi to tak trudno idzie.

Będąc z natury żywego usposobienia, zawsze robiłam wszystko szybko i nie mogłam się pogodzić z wolnym

56

tempem nauki. Zdawało mi się też, że nie widać rezulta-tów. Chciałam, żeby od razu „wychodził” trudny wyraz, a jeśli pomimo wysiłków dziecko nie potrafiło go wymówić, nie umiałam ukryć rozczarowania. To z kolei zniechęcało Misia, który zdecydowanym ruchem zsuwał się z krzesła i chciał się wymknąć. Łapałam go szybko, on zaczynał złościć się i płakać, a wtedy i mnie nie zawsze udało się opanować. Bywało, że nieraz sama zaczynałam płakać.

Synek gramolił mi się wówczas na kolana i rozmazując pakiszkami łzy na twarzy wymawiał ze zrozumieniem:

— Mama — Msio — dwa! — Kiwał głową i uśmiechał się pocieszająco.

Musieliśmy jednak sami uporać się z trudnościami, nie było u kogo zasięgnąć rady i pomocy. Siedząc więc u mnie na kolanach, przykładął rączkę do mego gardła, a czasem otwierając mi usta zaglądał, jak jest ułożony język w czasie wymawiania opornego wyrazu. • Nieraz w czasie lekcji brałam arkusik papieru i dla za^ bawy pisałam na nim dużymi literami, mówiąc przy tym:

— Miś to mały chłopiec, ale duży łobuz!

Synek brał wtedy ołówek i starannie wszystko zamazywał. Podnosił potem na mnie swoje błyszczące oczka i wy-1 powiadał:

— Msio toany!

— Miś jest kochany — potwierdzałam poprawiając jednocześnie — ale — rozkładałam ręce i znów pisałam nr-łobuz! . .

A on znów zamazywał i powtarzał swoje.

A gdy udawało mi się nauczyć synka prawidłowej wy-» mowy tego, co właśnie opracowywaliśmy na lekcji, pisałam, że Misio jest kochany, i chwaliłam go, a on to przyj-mował poważnie i z zadowoleniem.

Kiedy była ładna pogoda, uczyliśmy się na balkonie. Sąsiadki patrzyły bez zrozumienia na moje wysiłki i nieraz nawet któraś wzruszając ramionami mówiła:

— Pani to dobrze, siedzi sobie pani na balkonie, a ja mam tyle roboty w domu!

Inna znów się dziwiła:

— Że też pani ma czas tak siedzieć. .

Oj, z tym czasem to nie było za dobrze. Wstawałam o świcie i późnym wieczorem kładłam się do łóżka komT 5?

piętnie wyczerpana. W domu było mnóstwo pracy, ale wszystko zeszło teraz na drugi plan, wszystkie inne sprawy były mniej ważne. Najważniejsza stała się nauka mowy.

Nie przeciągałam czasu lekcji, nie dałoby się zresztą, bo dziecko szybko się nużyło i wysiłki stawały się daremne. Ale świadomość moja bez przerwy była napięta i nastawiona na to, by Misia jak najwięcej nauczyć. W ciągu dnia powracałam do przerobionego materiału, choć już w zupeł-nie innej formie.

Próbowaliśmy wszelkich metod, każda była dla nas dobra, jeżeli udawało się dzięki niej zrobić krok naprzód. Idąc z dzieckiem do sklepu kupowaliśmy właśnie te przed-mioty, o których mówiliśmy rano; spacerując z nim zwracałam uwagę na omawiane przedtem sytuacje, a starałam się przy tym zawsze zaciekawić go, rozbawić, postawić przed koniecznością wypowiedzenia tego nowego słowa czy krótkiego zdania. Chwaliłam go często, nawet jeśli to, co mówił, nie wychodziło zupełnie ładnie. A wieczorami popisywaliśmy się przed tatą.

Improwizowaliśmy. Czasem wystarczył jeden ruch, spoj-rzenie, wyraz twarzy, oczu. Czasem przy obopólnym moc-nym napięciu uwagi udawało się uzyskać jakby przeskok myśli: Miś okazywał zrozumienie czegoś trudnego od razu, w jednej chwili.

Cokolwiek byśmy robili, łączyło nas wspólne zaintereso-wanie i największa, wewnętrzna bliskość. I dlatego za-pewne Miś okazywał coraz mniej niechęci do nauki.

Pracując tak co dzień nie zdawałam sobie sprawy, że osiągamy poważne wyniki. Czasem uprzytamniały mi to zdumione spojrzenia mieszkańców naszego domu.



Kiedyś karmiłam z Misiem kury na podwórku, rozmawiając z sąsiadką. Naraz mały ciągnąc mnie za rękę powiedział:

— Słońce świeci!

Sąsiadka wykrzyknęła zdumiona:

— Co? On zaczął słyszeć?

Rano ćwiczyliśmy te wyrazy rysując w zeszyte uśmiechnięte słońce na jednej stronie, a na drugiej chmury i deszcz. Mówiłam jeszcze, że nie pójdziemy do miasta, bo nie ma słońca.

Więc teraz, kiedy staliśmy na podwórku i zrobiła się ładna pogoda, Miś przypominał mi, że możemy

5S

już iść. Lubił się popisywać, jak każde dziecko, i teraz właśnie powtórzył te dwa wyrazy ku podziwowi sąsiadki. Nie mogła jednak zrozumieć, że on to wymawia nie słysząc, że jest to wynikiem naszej codziennej pracy.

I tak, zdawałoby się niepostrzeżenie, Miś zaczął coraz częściej posługiwać się mową zrozumiałą dla innych.

A ja dalej, co wieczór modląc się, prosiłam Boga, aby moje dziecko mówiło i było takie jak inne dzieci. Prosiłam o siły dla siebie i o wytrwałość.

Bo choć widziałam efekty swej pracy, miewałam i chwile załamania. Czasem wydawałam się sobie tak nieudolna, mała i pozbawiona wszelkich możliwości, że nie mogłam sobie wyobrazić, jak podołam temu, co zamierzyłam. Ogrom pracy, który — wiedziałam o tym — nas jeszcze czeka, przerażał mnie i starałam się nie wybiegać myślą w przyszłość. Ale nie było to możliwe, bo w miarę prowadzenia nauki z synkiem wyłaniały się coraz nowe trudności.

Byłam wtedy odosobniona w swoich wysiłkach, bo w tym okresie powojennym ludzie mało się orientowali w możliwościach kształcenia dzieci głuchych poza zakładem zamkniętym. Brakowało informacji w tej dziedzinie i w swojej pracy zdana byłam tylko na siebie i swoją intuicję. Ta zaś mówiła mi, że absolutnie nie mogę czekać i, że trzeba dołożyć wszelkich wysiłków, aby Misia już uczyć mowy. Wykorzystywałam więc, póki miałam świeżo w pamięci, wskazówki i rady przekazane mi przez nauczycielkę z Warszawy, nie tracąc ani chwili. Nieraz widząc, jak usiłuję nauczyć synka jakiegoś nowego wyrazu, ludzie patrzyli na nas z ciekawością, ale i z wyrazem powątpiewania na twarzy, ćwiczyliśmy bowiem w każdym miejscu, na gorąco, gdzie tylko występowała potrzeba użycia danego słowa, nie zważając na obserwatorów i ich reakcje. Czułam, że muszę tak robić.

Niepostrzeżenie dla siebie, a przecież wielkim wysiłkiem woli przestawiłam się zupełnie i cel, ku któremu dążyłam, stał się dla mnie najważniejszy. Rano układając włosy przed lustrem nie patrzyłam, jak dawniej, czy oczy mają blask, i nie przyczesywałam brwi w trosce o ich linię, ale usiłowałam dopatrzeć się w twarzy wyrazu stanowczości. Patrzyłam krytycznie, czy starczy tej młodej kobiecie sił, rozumu i umiejętności, by wytrwać na obranej drodze.

59

Miś był ufny, bardzo towarzyski i nie bał się obcych. Może dlatego, że rósł w atmosferze miłości i bezpieczeństwa, którego pewność dawał mu dom. Do tego domu zapraszał wszystkich przyjaciół, dzieląc się z nimi zabawkami i bawiąc się w słotne dni, kiedy podwórko go nie ciągnęło.

Często przychodził mały Wacus z pierwszego piętra, któremu odważny Miś imponował i ostatnio byli nierozłączni.

Po zabawie, kiedy obydwoj byli zmęczeni, Miś podchodził do mnie trzymając Wacusia za rączkę i zaczynał prosić:

— Mama, mów, mów!

Udawałam, że nie wiem, o co chodzi, ale wtedy zaczął podskakiwać i wyjaśniał:

— Nol-Mol!

Wówczas nie mogłam już więcej udawać, że nie wiem, bo oczywiste było, że chodzi o bajkę o królikach.

Siadałam więc przy stole, a Miś i Wacusz zajmowali miejsca naprzeciw mnie. Miś był prawie dwa razy większy od Wacusia, ale rozjarzone ciekawością oczka były u obydwóch jednakowe. Zaczynałam opowiadać o parze maleńkich królików i o ich przygodach w lesie, do którego poszli lekceważąc zakaz mamy.

Na czas opowiadania bajki sama stawałam się królikiem i z przejęciem odtwarzałam jego przygody, stany emocjonalne, a nawet wygląd. Unosząc dłonie nad głowę, niby nastawione uszy, wyrażałam czujność, kładąc zaś po sobie — chowałam się przed kotem, w którego zaraz potem się przeistaczałam. Dla umknienia pomyłek, uprzedzałam mówiąc:

— Kot-kicia, kicia-miau!

Chłopcy kiwali głowami, ale Miś jeszcze szybko zwracał się do Wacusia: „Titia!” — w trosce, żeby i on zrozumiał.

Słyszący trzylatek poważnie mu potakiwał, jeszcze bardziej rozszerzając swoje oczka z zawiniętymi jak u dzieciny rzęsami.

Po szczęśliwym ominięciu kociego niebezpieczeństwa para królików znajdowała na swojej drodze dużego muchomora i tu zaczynała się „najpiękniejsza” część bajki. Zdjąwszy czapkę grzyba królik mierzył ją na swej głowie, ale, niestety, uszy były za wysokie i kapelusz nie chciał się trzymać. Pokazywałam więc, jak braciszek mu pomaga

60

zwijając oporne ucho w obarzanek, jak mu wkłada kapelusz, i uśmiechałam się z zadowoloną miną w imieniu królika.

A potem nagle ucho odskakiwało jak sprężynka: pam! — i czapka wylatywała w powietrze. Po salwie śmiechu dzieci uspokajały się, ale po to, żebym musiała jeszcze raz to pokazywać, aż do znudzenia (mojego, oczywiście).

W czasie tego opowiadania-inscenizacji pomagałam sobie rysunkiem; wychodził z tego mały komiks, wzbogacony moją grą i słowami.

Musiałam rysować: grzyby, ptaszki i zwierzątka, każdemu nadając odpowiedni „wyraz twarzy”. Dodawałam jeszcze pod spodem nazwę, a potem wymawiałam ją wyraźnie. Miś powtarzał to zniekształcając, np. „yp” zamiast grzyb, a inne słowa, nie mogąc ich wymówić, powtarzał bezdźwięcznie, układając tylko wargi podobnie do moich. Martwiło mnie to wtedy, ale starałam się tego nie okazywać. Nieraz Wacusz przychodził z pomocą i podnosząc błyszczące oczka na przyjaciela mówił wyraźnie:

— Misiu, wie-wiór-ka!

Miś bardzo lubił, kiedy wspólnie rysowaliśmy. Moje rysunki w oczach dzieci uchodziły za artystyczne i maluchy z wielkim zainteresowaniem śledziły każdy ruch ołówka i wyłaniające się kontury zwierząt, ludzi lub przedmiotów. Zgadywały, co ja rysuję, i tym samym nazywały to, wypowiadały nazwy. Te beztróskie dziecinne zabawy nie tylko zacieśniały kontakt między mną i Misiem, nie tylko ściągały do domu przyjaciół Misia. Kształciły jego wyobraźnię, były jednocześnie i odprężeniem, i okazją do nauki.

Cieszyłam się też widząc, jak mój synek opiekuje się swoim małym przyjacielem. Rozumiał to, że jest większy i silniejszy, i czuł cały ciężar swojej odpowiedzialności przeprowadzając Wacusia po schodach na podwórko lub do domu, a także pomagając mu wejść na belki leżące pod płotem.

Przez Brzeg prowadziła trasa Wyścigu Pokoju. Ludność miasteczka wyległa na ulice i my naturalnie musieliśmy też to obejrzeć. Miś od kilku lat jeździł z wielkim zapałem na rowerze, urządzał wyścigi z kolegami, a teraz oglądając

flagi na udekorowanych ulicach i tłumy krzyczące na widok przejeżdżających kolarzy zapalił się ogromnie do sportu kolarskiego i wszelkich zawodów. Mieliśmy nowy temat do naszych lekeji-zabaw z moim dużym, ośmiolet-nim już synem.

Odtąd, jak tylko były audycje sportowe, siadaliśmy oboje przy radiu i ja starałam się powtarzać najważniejsze wiadomości w skrótach i w sposób zrozumiały dla synka.

Z czasem biegłość Misia w odczytywaniu mowy z ruchu moich warg stała się wprost zdumiewająca. I ja więc na-uczyłam się tak prędko przekazywać to, co mówi spiker, że mówiliśmy prawie jednocześnie. Przy tym ja mówiłam bezgłośnie, żeby nie przeszkadzać sobie samej w słuchaniu tego, co nadawało radio.

Oczywiście, że tylko ja to mogłam robić, że mnie rozu-miał najlepiej. Wspólnie uczyliśmy się przeciw artykulacji a przy tym od urodzenia nie rozstając się ze mną przywykł do mojego układu warg i szybkiego sposobu mówienia.

Z czymkolwiek zwracałam się do niego, starałam się to przedstawić z pełnym zaangażowaniem, ilustrując mi-miką twarzy, gestem i wyrazem oczu. Zaangażowanie mo-je udzielało się jemu i wiedział, że ilekroć podnosi na mnie oczy, coś się będzie działo.

Mieliśmy zawsze do „omó-wienia” coś ciekawego, dzieliliśmy się wrażeniami. By-liśmy jak para konspiratorów mogących się porozumiewać ze sobą, choć inni tego nie rozumieli. W każdej sytuacji skierowywał na mnie wzrok, aby otrzymać wyjaśnienie, i weszło mu to w nawyk. Patrząc na mnie uważnie był bardzo odbiorczy i nieraz odnosiłam wrażenie, że sens zdania lub trudnego wyrazu przeskakuje do jego świado-mości jakąś inną drogą. Czasem tłumacząc trudne słowo powtarzałam je po kilka razy, pragnąc mocno, aby zrozu-miał, i za którymś razem widziałam nagle błysk zrozu-mienia w jego uważnych oczach.

To idealne porozumienie między nami ułatwiało przej-ście od tłumaczenia trudnych wyrazów do łatwiejszych pojęć abstrakcyjnych. Dzięki sugestywnemu, frapującemu sposobowi podania „wchodził” w zagadnienie pozornie niezrozumiałe; ćwiczył się w ten sposób i rozwijał jego umysł. A mówił już teraz ku mojej radości zdania!

## DO KRAKOWA PO POMOC

Michał rósł i zdawaliśmy sobie sprawę, że powinniśmy być bliżej ośrodków, gdzie łatwiej byłoby go uczyć. Po długich naradach postanowiliśmy się przenieść do Kra-kowa.

Wiedziałam, że znajdę tu i nauczycieli, i odpowiednie podręczniki, i pomoce.

Żał było odjeżdżać ze spokojnego, pełnego zieleni Brze-gu, żał było zostawiać mogiły rodziców, ale decyzja prze-prowadzki była słuszna i konieczna.

Mąż pojechał do Krakowa i z miejsca otrzymał posadę przy budowie kombinatu Nowej Huty. Na razie zatrzy-mał się w hotelu, ale obiecano mu, że w krótkim czasie będzie mógł sprowadzić rodzinę. Po miesiącu postanowi-łam odwiedzić męża i obejrzeć proponowane mieszkanie w nowym budownictwie. W ciągu jednego dnia nie dała-byłam rady wrócić, najwcześniej mogłabym przyjechać nazajutrz, powstał więc problem, co zrobić z Misiem- czy zabrać go z sobą? Nie, to by nie miało sensu: tłuc się po-ciągami z dzieckiem sześć godzin w jedną stronę po to, żeby być w Krakowie parę godzin. Rozmawiałam o swo-ich kłopotach z panem Stanisławem, choć wiedziałam, że on się na opiekuna nie nadaje w żadnym przypadku, mi-mo najlepszych swych chęci. Miś zrozumiał, o czym mó-wimy i nieoczekiwanie sam zadecydował.

— Msio śpi Wacusi! — i podniósł paluszek do góry po-kazując pierwsze piętro. Było to na podwórku i przecho-dząca właśnie matka Wacusia, młoda, ładna kobieta za-śmiała się słysząc to.

— A pewnie, niech go pani zostawi. Taka para przyja-ciół, i tak są cały dzień razem!

Spokojna o dziecko, pojechałam więc sama. Z Krakowa przywiozłam chłopcom wspaniałe, wysokie czapki ułańskie. Natychmiast je włożyli i znikli. Wydawało mi się, że zbyt długo ich nie widać, wyszłam więc z domu i za-

63

częłam szukać. W ogródku ich nie było, obeszłam więc jeszcze wszystkie zakamarki podwórka i obejrzałam dachy, a potem poszłam w kierunku bramy. Stali obydwaj na chodniku przed domem w tych amarantowych czapkach, w postawie na baczność, salutując na widok każdego przechodnia w mundurze. Ludzie mijali ich obojętnie, aż wreszcie przechodzący oficer lotnictwa radzieckiego na widok dwóch malców podniósł rękę do daszka i z całą powagą odsalutował. Chłopcy na chwilę zastygli w zachwycie, ale pierwszy Wacusiś nie wytrzymał i zaczął skakać z radości. Popatrzyli jeszcze na siebie z dumą, zawrócili i pobiegli do domu. Miś zaczął po swojemu, skrótami opowiadać:

— Pan wojsko Msiowi tak! — i ilustrował to mimiką i gestem. — Msiu Wacusiś tak!

Prezent się udał, bo następane dni chłopcy twardo wystawali przed domem pełniąc wartę, a myśmy mieli spokój, mogąc się zająć pakowaniem.

— Jedna przeprowadzka to pół pożaru — mówił ponuro pan Stanisław, kiedy na wprost żywi ze zmęczenia siadaliśmy do stołu.

Zgadzałam się z nim w duchu. Czekala nas ciężka droga, bo Brzeg leżał na bardzo uczęszczanej trasie Szczecin—Przemyśl i w owym czasie pociągi były stale przepełnione. W związku z przesiedlaniem się na Ziemię Odzyskane, ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód wędrowały tłumy ludzi nieraz z całym dobytkiem gładzącym i kwiczącym. Likwidując gospodarstwo miałam niemało kłopotu. Kur już nie hodowaliśmy, ale pozostała jeszcze psia sprawa. To nie było proste. Mieliśmy teraz dwa psy. Gdy stary brytan Wierny skończył życie, małemu było smutno i mąż przyniósł do domu sześciotygodniowego szczeniaka. Był to rasowy szary owczarek niemiecki o dużych łapach i wielkim apetycie. Bawiąc się z nim Miś przemawiał czule:

— Pietę, piętę, peluty...

— Malutki-peluty, niechże więc zostanie Pelut, zaproponowałam i tak zostało.

Później Misiś znalazł w ruinach opodal domu zabiedzo-

64

nego, chorego psiaka. Odchowaliśmy go, odżywiliśmy, nie mieliśmy serca wypędzić. Próbowaliśmy nieraz oddać go w dobre ręce, ale zewsząd uciekał, wracał i witał się jak szalony.

— To psisko zawsze przyjdzie z powrotem; choćby się go nie wiem gdzie oddało, zaraz przyjdzie.

— Taa-psi — powtarzał poważnie Misio ostatnie moje słowa, a ja nazwałam psa Taps i postanowiliśmy, że zostanie z nami.

Wyrósł na pięknego wilczura o smolistym pysku i wspinałym, puszystym, lisim ogonie, przez płowy grzbiet szła czarna pręga. Przywiązałam się do niego, a on „uśmiechał się” do mnie unosząc górną wargę i nie odstępował na krok.

Teraz jednak trzeba było rozstrzygnąć! Postanowione było, że Pelut pojedzie z nami do Krakowa, ale Taps?

W końcu powiedziałam chytrze:

— Może jednak weźmiemy i Tapsa do Krakowa, tam łatwiej będzie mu znaleźć nowego opiekuna...

— Jak chcesz — powiedział Olgierd, popatrzył na mnie i pokiwał głową. — Ale kłopot będzie, bo sama wiesz, że mieszkanie w Krakowie jest małe.

Pociąg osobowy miał duży skład, ale był tak natłoczony, że władowaliśmy się z najwyższym wysiłkiem. Nie-możliwością było przepchnąć się chociaż na korytarz, sta-liśmy więc ściśnięci jak sardynki tuż przy wejściu, tyle tylko że udało się zamknąć drzwi.

Cieszyłam się, że przy-najmniej pan Stanisław siedzi wygodnie w... ubikacji. Ze swoją chorą nogą nie mógłby zupełnie stać.

Miś zachowywał się dzielnie, stojąc przyciśnięty do mnie i wysuwając do góry głowę, aby zaczerpnąć oddechu. Ciągnął mnie za paltó, a kiedy pochyliłam się ku niemu, zapytał z niepokojem;

— Mama, Pelut, Taps, żyje?

— Żyje, kochanie, żyje i Pelut, i Taps, im jest wygodnie w wagonie bagażowym, tam jest więcej miejsca niż tu! Masz, zjedz — wetknęłam mu jabłko, żeby nie nudził.

Tymczasem Olgierd skorzystał, że komuś udało się otworzyć drzwi, i niespodziewanie wysiadł. Nie wracał dość długo. Zaczęłam się niepokoić, czy się nie pogubimy

5 — Los w rękach twoich

65

w tym tłoku, bo jak wtedy wysiąść w Krakowie? Pociąg stoi niedługo, a tu trzeba i samym się wyładować, i ode-brać psy z bagażowego. Mijały kolejne stacje, a męża wciąż nie było. Że też zawsze musi się zgubić, irytowałam się w duchu.

— Tata? tata? — dopytywał Miś.

Wreszcie w czasie biegu pociągu zobaczyłam, że Olgierd stoi na stopniach i stuka w szybę, żeby mu otworzyć.

— Wszędzie taki sam tłok — powiedział tylko i jakoś dziwnie zwiotczał; gdyby nie ludzie stojący głowa przy głowie, byłby osunął się na ziemię.

Zaczęłam wołać o miejsce dla niego, ale wtedy się ocknął, spojrzął na mnie i rzekł z niespodziewaną mocą:

— Nie rób alarmu, ja tylko złamałem palec.

Zaczął się więc nowy etap w naszym życiu.

Mieszkaliśmy na Grzegórkach, na ulicy Daszyńskiego. Nasz dom przylegał do fabryki cukierków „Wawel” i czę-sto wiatr nawiewał w nasze okna słodkie fale zapachów cukierniczych.

Mieliśmy dwa małe pokoiki, ale z wszelkimi wygodami. W jednym rezydował pan Stanisław, starszy inżynier mieszkający z nami od powstania — jak go Miś nazy-wał „pan Broda” — a w drugim byliśmy my, czyli tata, mama i Misio.

W przedpokoju przy drzwiach wejściowych miały roz-łożone swoje legowiska Pelut i Taps, nasze dwa wilczury. W tych warunkach nie było potrzeby zamykania drzwi na klucz, gdyż przy najlżejszej próbie poruszenia z ze-wnątrz klamką powstawał tak nieopisany hałas, że nikt niepowołany nie odważyłby się wejść.

W mieszkaniu był ciągły ruch, oba psy nie odstępowały mnie na krok, a że ja musiałam szybko się uwijać, żeby zdążyć ze wszystkim na czas, tworzyły się korki: w cias-nym przedpokoju trudno było się wyminąć, Wlatywały więc nieraz na psy, a one w popłochu cofały się tyłem. W końcu doszły w tym do wielkiej wprawy i ruch zaczął się odbywać bez większych zakłóceń.

Po południu na małym kwadracie wolnego miejsca w pokoju odbywały się harce.

Siedzieliśmy z mężem na kanapce i obserwowaliśmy walkę psów na niby. Miś czę-

66

sto nie wytrzymał w roli widza i włączył się do tej radośnej zabawy.

Ale któregoś dnia nie włączył się.

Nic go nie interesowało, siedział cichutko i patrzył przed siebie oświałym wzrokiem.

— Co ci jest, kochanie? — zapytałam, kiedy udało mi się złapać jego wzrok. — Czy cię coś boli?

— Niewm... — mruknął niewyraźnie — fala w głowie... bool...

I tak się zaczęło.

Zawsze poznawałam, kiedy Michał był chory; był wtedy wyjątkowo cichutki, łagodny, i co chwila się pokładał. Zapewne zdrowy instynkt skłaniał go do snu. Od najwcześniejszego okresu, kiedy tylko zaczął porozumiewać się słowami, chociaż skrótowo sygnalizował mi chorobę: „Mama, fala w głowie!” — albo jeszcze prościej: „fala — głowa”. Czasem po namyśle dodawał: „mało”, co znaczyło, że tych „fal” nie było za wiele.

I rzeczywiście, duża czy mała, ale zawsze była wówczas temperatura.

Na szczęście nie chorował często. Tym razem też poszedł zaraz spać, ale w nocy budził się i skarżył, że go boli, pokazując ręką miejsce nad pośladkiem. Był tam lekki obrzęk.

Temperatura rosła.

Lekarz z ośrodka nie rozpoznał choroby i skierował do ambulatorium szpitala. Ostry dyżur miała tak zwana chirurgia czerwona przy ulicy Kopernika. Był późny wieczór, kiedy przywieźliśmy tam chorego Misia.

Badali go długo.

— Panie doktorze — mówiłam do pochylonego nad synkiem lekarza — myśmy niedawno byli na wycieczce w Zakopanem i on jeździł na nartach, a potem czekając na autobus pośliznął się i upadł do tyłu. Trochę go bolało, ale wkrótce przeszło, może to ma jakiś związek z dzisiejszą chorobą?

— Proszę pani, zatrzymamy go tutaj, trzeba będzie zrobić zdjęcie rentgenowskie.

— Ma zostać tu?... — przeraziłam się.

—• Tak. To jest konieczne.

Mąż zbliżył się do mnie i stał obok. Patrzyłam na niego z rozpaczą. Jakże Misia zostawić samego? Nigdy w życiu nie rozdzielaliśmy się, a tu jeszcze taki chory. Czy oni bę-

67

da go rozumieli? czy on ich zrozumie? O Boże, Boże, co zrobić?

— Trudno, nie ma innego wyjścia, trzeba, żeby został w szpitalu — powiedział Olgierd.

Zaczerpnęłam tchu, postąpiłam jeszcze chwileczkę i uklęknęłam przy ławce, na której leżał Misio. Pochyliłam twarz nisko nad nim, tak by światło padało na moje usta i żeby nie musiał podnosić głowy, aby zobaczyć, co mówię.

Uśmiechając się pogodnie, mówiłam wyraźnie:

— Miś jest chory, boli bardzo, pan doktor wyleczy prędko.

Smutne oczka patrzyły na mnie z ufnością, więc ciągnęłam dalej odważnie:

— Mama i tata pójda do domu, a Miś będzie tu, u pana doktora. Pan doktor baaardzo mądry! Miś prędko będzie zdrowy, i pojedziemy na narty... i będzie dobrze!

— Msio sam — zapytał niespokojnie. — Mama? mama?

— Mama prędko wróci! Rano! Tak trzeba, pan doktor mówi: Miś w domu chory długo — rozłożyłam ręce — tu, prędko Miś zdrowy! — mówiłam skrótami, żeby nie męczyć chorego dziecka. — Mama przyjdzie rano — powtórzyłam.

Wracając w nocy do domu trzęsłam się od płaczu. Całe opanowanie znikło i ukrywając twarz w dłoniach dałam się prowadzić mężowi.

— Przestań płakać, słyszysz? — mówił Olgierd. — Jak możesz tak się rozklejać, ty, matka! Właśnie teraz powinnaś być mocna!

— On jest taki sam, wśród obcych ludzi, taki chory... — łkałam, ale Olgierd nie przestawał ostro mnie uspokajać i w końcu doszło do mojej świadomości, że rzeczywiście powinnam się opanować. Umilkłam i zaczęłam się modlić.

Nazajutrz wczesnym rankiem czekałam już przed salą, w której leżał Miś. Przez szparę w drzwiach widziałam szereg łóżek z leżącymi mężczyznami. Kiedy wyszła siostra, zobaczyłam go. Był taki mały na tle dużej sali i dorosłych chorych. Na mój widok zmienił się na twarzy i mocno złał mnie za rękę. Mówił, że nie spał w nocy, że bardzo go bolało, chciał, żebym została.

Nie pozwolili. ; Oczywiście wszelkimi sposobami starałam się być jak najczęściej przy nim. Jeżeli nie udawało mi się przejść

68

oficjalną drogą, wyszukiwałam inne. Diagnoza wciąż była nie ustalona, temperatura nie spadała.

Na trzeci dzień włożyłam na siebie fartuch lekarski, spod palta było widać biały rąbek i z pewną miną weszłam do szpitala.

— Chirurgia! — powiedziała mijając portiera, który chciał mnie zatrzymać.

Michał był słaby, zdjęcia jeszcze nie zrobiono. Wstąpiła we mnie dzika energia, wzięłam go na rękę, a on, biedac two, przytulił się mocno, owinęłam kocem, który leżał na łóżku i, o dziwo, nie zatrzymywana przez nikogo powędrowałam na dół, do rentgena.

Rentgen nic nie wykazał, natomiast szybko się wydało, że nie jestem lekarzem, i wyprosilili mnie.

Następnego dnia stałam długo przed drzwiami sali.

—• Proszę nie wchodzić, jest zabieg — powiedziano mi.

Kilku mężczyzn w piżamach stało na korytarzu.

— Pani jest matką tego chłopca? — zapytał jeden z nich.

— Punkcję mu robią, ale krzyczy, słyszy pani? Mocny chłopak, pięciu chłopów musi go trzymać! — dodał jeszcze.

Wyszedł wreszcie lekarz i powiedział do mnie:

— Powiem pani szczerze, nie wiemy, co mu jest. Zrobiliśmy nawet punkcję i nic nie wykazała, nic! Ale zgadzam się z panią, że na tej dużej sali, wśród dorosłych, nie jest mu dobrze, że o wiele lepiej byłoby mu wśród dzieci, cóż, kiedy nie mamy oddziału dziecięcego.

Naprzeciwko był gmach tak zwanej chirurgii białej, a przy nim długi barak dla chorych dzieci. Wypisaliśmy Misia ze szpitala i zanieśliśmy do ambulatorium szpitala naprzeciwko. W poczekalni siedzieliśmy długo. Niewysoki, o krótkich włosach i okrągłej twarzy lekarz wysłuchał mnie uważnie. Zbadał Michała i powiedział, żeby poczekać jeszcze na wizytę profesora.

Misiek leżał senny, zmęczony, oboje z Olgierdem staliśmy nad nim. Wzmógłony ruch w ambulatorium był znakiem, że nadchodzi profesor.

Przyszedł w asyście lekarzy — postawny, przystojny, bardzo poważny. Nachylił się nad Misiem i zaczął badać. Sposób badania i rzucane pytania sprawiły, że ogarnęło mnie przerażenie.

—! Suspicio ad poliomyelitis? — usłyszałam i... zrozumia-

69

łam. Prawda, przecież panowała choroba Heinego-Medina! O Boże święty, ratuj, nie dopuść! Nie, nie, to nie może być. O Matko, ratuj, zlituj się. Stałam wbijając paznokcie w dłonie, na zewnątrz spokojna.

— Chłopiec będzie u nas pod dobrą opieką — powiedział do mnie lekarz, który go pierwszy badał — ale — tu spoj-rzał na mnie bystro — zawrzemy umowę: pani mi da słowo, że nie będzie się starała zobaczyć syna poza dniami przy-jęć, to znaczy w niedzielę, a ja ze swej strony obiecuję informacje telefoniczne lub osobiste o każdej porze. Zgoda?

— Dobrze, panie doktorze.

W baraku było schludnie i czyściutko. Zza drewnianych ścian dochodziły dziecięce głosy.

— On już teraz nasz — powiedziała siostra biorąc Misia na rękę.

Spoza okularów patrzyły czarne, inteligentne oczy. Na moje obawy, czy nie będzie trudności, bo to jest głuchy chłopiec, odpowiedziała z uśmiechem:

—• Damy sobie radę, proszę być spokojną.

Poczułam zaufanie do niej i tej nocy, z mordowana, po raz pierwszy spałam.

W niedzielę można było odwiedzić Misia, przyszłam więc punktualnie i prowadzona przez siostrę weszłam do małej salki. Miś był tu najstarszy, dookoła niego leżały dzieci zupełnie małe, w małych białych łóżeczkach.

Siedział na łóżku i wyglądał raźniej. Ucieszył się, że przyszłam, ale widać było, że czuje się tu dobrze. Bóle ustąpiły i temperatura spadła. Żalił się tylko, że dzieci są malutkie i...zatykał z komiczną minką nos.

— Trudno! — zaśmialiśmy się konspiracyjnie.

Podzieliłam słodycze i poczęstowałam w imieniu Misia te dzieci, którym wolno było jeść. Uwagę moją zwrócił dwuletni może chłopczyk siedzący w łóżeczku i kiwający się jednostajnym ruchem w przód i w tył. Kiedy mu da-łam ciasteczko, zaczął cieniutkim głosikiem powtarzać w kółko:

— A do mnie nikt nie przyjedzie, a do mnie nikt nie przyjedzie, a do mnie nikt nie przyjedzie...

To było tak przykre, że zapytałam siostrę o niego.

— Tak, ten chłopczyk leży u nas już sześć tygodni, ale rodzice się nim nie interesują. Kiedy są dni odwiedzin, on

70

to bardzo przeżywa. Niestety, proszę pani, zdarzają się takie rzeczy.

Nie mogłam tego pojąć.

Po dwóch tygodniach antybiotyki podziałały, stan zapal-ny minął i można było Misia zabrać do domu.

W końcu czerwca wyjechaliśmy na letnisko.

Domek w Rabce Zarytem składał się z dwóch pokoi przedzielonych oszkloną werandą i małej kuchenki. Jeden pokój zajmowałam ja z Misiem, a drugi pani Grażyna, nasza znajoma z Krakowa, ze swoimi dwoma chłopcami. Werandkę zajęły nasze dwa psy.

Domek stał na wzgórzu, z którego roztaczał się rozległy widok na okoliczne szczyty górskie i płynącą w dole sze-rokim zakolem Rabę. Z naszego pokoju i z werandy widać było ścieżkę prowadzącą w górę przez las i pobliskie szczy-ty, aż do odległej o sześć kilometrów Rabki. Przed domem był niewielki placyk, na którym wznosił się pięciometrowy gładko okorowany maszt, przedmiot zachwyty i prób sprawności wszystkich chłopaków. On to też zdecydował o wynajęciu tego domku przez nas na lato.

Miał to być dla nas odpoczynek, ale nie można było marzyć o tym, by spuścić na chwilę z oczu nasze dzieci. Miś i Władek mieli po dziesięć lat, Przemek miał sześć i odznaczał się łagodnym charakterem, czego nie można było powiedzieć o dwóch starszych. Ci z punktu się



starli i chcieli obydwaj wleźć na słupek. Obydwaj byli zadziorni i stali oto naprzeciwko siebie nos w nos jak para kogucików. Po chwili już zajęli się czymś innym, ale ciągle trzeba było interweniować.

Rozpakowaliśmy właśnie z mężem w pokoju tobolek z pościelą, kiedy głośny wrzask zmusił nas do wybiegnięcia na dwór.

Miś zgięty w pół płakał trzymając się za brzuch, a Władek wrzeszczał, bo już jego ojciec zdejmował pasek, widoźnie w celu wymierzenia sprawiedliwości.

Byłam przerażona, że od „skórobicia” rozpoczynają się nasze wakacje, ale pan K. był nieubłagany i wymierzając sprawiedliwość przygadywał synowi, że walka musi być czysta i takich chwytów on nie będzie tolerował. Lanie pomogło. Atmosfera wyraźnie się rozładowała, chłopcy

71

pod naszym okiem podali sobie ręce i za chwile cała trójka a raczej piątka, bo i psy się dołączyły, baraszkowała na stoku.

Na niedzielę przyjeżdżali z Krakowa nasi mężowie i my matki, miałyśmy więcej spokoju, bo dzieci nie odstępowały ojców i całe towarzystwo chodziło na wycieczki. Teren był dekadny, można było obmyślać coraz inne trasy. Chłopców specjalnie intrygowały z dala widoczne wieże triangulacyjne wznoszące się na szczytach gór. Z jedną z tych wież właśnie wiąże się pamiętna przygoda.

Pan K. wybrał się z chłopcami na dłuższą wycieczkę. Urażenia miał mocne i zapewniał, że więcej nie pójdzie. Zanim się spostrzegł, Miś i Władek pędem puścili się w stronę wieży i me słuchając zakazów wdrapali się na sam szczyt, co odpowiadało Wysokością pięciopiętrowej kamienicy. Nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa zaczęli się na górze bić i wyrwać sobie mapę, ażeby skonfrontować z nią widoki. Uff... Wszystko się dobrze skończyło... A chłopcy przechwalali się, że widzieli Kraków

Pani Grażyna była mądrą matką i wiele starań wkładała w wychowanie swoich chłopców, cieszyłam się, że razem spędzamy wakacje. Uzgodniłam z nią, że zupełnie nie będziemy się mieszać w konflikty między dziećmi z wyjątkiem tych, które rzeczywiście będą wymagały interwencji dorosłych.

Prosiłam też, że lepiej będzie, jeśli Władek i Przemek ma będą ustępowali Misiowi z tej racji tylko, że on nie słyszy. Niech go traktują tak jak każdego kolegę to wyjdzie mu tylko na dobre. Starć nadal nie brakowało ale i przyjaźń była mocna, więc po nich następowała znów zgoda.

Bawiąc się tak chętnie z chłopcami, Michaś dalej przebywał dużo ze mną. Razem chodziliśmy na spacer i po zakupy. Z plecakami, wolnym miarowym krokiem wstępowałyśmy na ścieżkę widoczną z naszych okien Droga była bardzo malownicza; minawszy pierwszy na stromizno rosnący lasek wchodziliśmy na rozległą polanę górską porośniętą najpiękniej pachnącym kwieciem. Jeszcze nie było sianokosów, w górach są one zawsze później i wysokie, kwitnące zioła pokrywały wszystkie stoki. Twarda wydeptana ścieżka prowadziła na ukos przez łąki aż do

72

następnego lasu, gdzie od razu ogarniał chłód i mocny zapach wilgotnego igliwia.

W lesie po deszczu znajdowaliśmy grzyby, a na polanach przy ścieżce trafiały się poziomki. Dużo ich zwłaszcza było koło brzoźki rosnącej na środku drugiej polany. Jeżeli było po deszczu, to przechodząc przez las spotykaliśmy sala-mandry. Miś nigdy ich przedtem nie widział i bardzo mu się podobały. Były rzeczywiście takie ładne, błyszcząco czarne z pomarańczowymi plamkami.

Z leśnego mroku i chłodu wychodziliśmy na skwarne, zalane słońcem łąki. Przed samą Rabką nie było już cienia i to był najgorszy odcinek drogi. Raz szliśmy ścieżką mając po prawej stronie pole rzadkiego owsa, a po lewej zalesiony stok, gdy idący przede mną Miś podskoczył i odwrócił do mnie pobladłą, przerażoną buzię.

Na ścieżce pełzała żmija.

— Ukąsiła? — zapytałam szybko, śmiertelnie przerażona, ale dziecko bez słowa potrząsnęło przecząco głową, więc przyjrzałam się dokładniej i zobaczyłam po obu stronach głowy rzekomej żmii dwie wyraźne, żółte islamy. — Wi-dzisz, synku, to nie żmija, to zaskroniec! On nie jest groźny! — dodałam uspokajająco.

Gdy dziecko ochłoneło, skorzystałam z okazji, żeby dokładniej o wężu opowiedzieć. Przyjemne łączyło się z pożytecznym. Takie lekcje-wykłady prowadzone podczas wy-cieczek najgłębiej wrażały się w pamięć i nieraz po latach przekonywałam się, że Miś wszystko pamiętał. ;

Dwudziestego dziewiątego września przypadający imieniny Michała, a ponieważ koło jego przyjaciół po wakacjach pokaźnie się powiększyło, postanowiliśmy urządzić przyjęcie, takie „męskie” przyjęcie.

Zaproszonych było dziesięciu kolegów, wszyscy w równym wieku, to znaczy mniej więcej po lat dziesięć. Przygotowałam starannie stronę techniczną, czyli trzy torty, kanapki i napój o szlachetnym, różowym kolorze, podany w małych szklaneczkach. Stół wyglądał wytwornie. Miś w ostatniej chwili przetaił podłogę do połysku i sam starannie się umył. Był bardzo przejęty, oczy mu błyszczały i co chwila podbiegał do okna patrząc, czy ktoś nie idzie. Goście przyszli punktualnie, każdy składał bardzo cere-

73

Hioniałnie życzenia solenizantowi i ofiarowywał zabawkę lub książkę z własnoręczną dedykacją.

Oboje z mężem braliśmy udział w zabawie jako „siły pomocnicze” pilnując, aby wszystko szło sprawnie i aby dzieciakom nic nie brakowało. Zaśmiewaliśmy się patrząc, jak wytwornie byli chłopcy, wszyscy w ciemnych ubrankach z białymi wykładanymi kołnierzykami. Jak dostojnie i uroczyście się czuli siedząc dookoła stołu nakrytego białym obrusem i przybranego kwiatami. To był prawdziwy „bankiet”, zwłaszcza że wypito toast za zdrowie solenizanta z wysokich wąskich szklaneczek różowym orzeźwiającym... kompotem. Gdy już nikt nie mógł w siebie wcisnąć ani kawałek tortu, zaczęła się druga część zabawy. Tata przyniósł i postawił na stole półmetrowej wielkości zabawkę, którą Miś w przeddzień otrzymał pocztą z Bystrzycy.

— Maszyna pahowa! Maszyna pahowa! — objaśniał kolegom podniecony, podskakując na krześle i obracając się na wszystkie strony. — Tata! Tata!

Ale tata już celebrował. Nalał do małego zbiorniczka wody, na wacie pod nim polał trochę spirytusu i podczas gdy dziesięć par oczu z uwagą i napięciem śledziło poruszenie jego rąk — przytknął zapalnik. Po chwili woda zaczęła się gotować i pokazał się mały obłoczek pary. Podniecenie wśród dzieci zaczęło wzrastać. Na widok pary Misiek szybko pochylił się nad stołem i popchnął palcem koło zamachowe. Maszyna ruszyła budząc ogólny zachwyt, a kiedy jeszcze solenizant nacisnął gwizdek, entuzjazm doszedł do szczytu.

— To ma dwie atmosfery! — gorączkował się.

— Gdzie, gdzie? Pokaż! — Miś pokazywał napis na podziałce i wszyscy musieli obejrzeć, chociaż nie bardzo wiedzieli, co to znaczy.

Kiedy wszyscy nacieszyli się maszyną parową, tata schował zabawkę i zaczęła się trzecia zabawa, już mniej oficjalna. Gry się ciągle zmieniały, humory dopisywały i śmiech

rozbrzmiewał prawdziwymi salwami. Chłopcy bawili się w chowanego, przy czym co sprawniejszy wykorzystywali drzwi do zawieszania się na nich. Potem były fanty i przy wykupywaniu ich tyle śmiechu i wrzasku, że przywołane nim przyszły dwie dziewczynki z sąsiedztwa, łamiąc tym męski charakter zabawy. Było

74

tak głośno, że cała okolica wiedziała, że „u Misia imię-niny”.

Ale wszystko się kończy, więc i teraz zaczęły przychodzić mamy po swoje dalej mieszkające pociechy. Zabawa się skończyła, a Miś każdemu koledze ścisnął dłoń i dziękował.

.!•

W Krakowie mieszkał i ordynował w Klinice Laryngologicznej słynny profesor Miodoński. Od dawna starałam się uzyskać u niego wizytę, ale ilekroć przejeżdżaliśmy przez Kraków, profesora akurat nie było, często bowiem wyjeżdżał za granicę. Tym razem udało mi się załatwić wizytę, z którą wiązałam dużo nadziei.

Dzień był pogodny, poszliśmy więc z Misiem pieszo, na długo przed umówioną godziną, żeby, broń Boże, się nie spóźnić. W klinice było dużo ludzi, siedzieli w poczekalni na białych ławach trzymając na kolanach małe dzieci. Profesor był na pierwszym piętrze i jeszcze operował. Po pewnym czasie zawołano nas i weszliśmy do sali badań.

Profesor był wysoki, szczupły, o ruchliwej, wyrazistej twarzy i brązowych oczach. Niedługo badał Misia. Odwrócił się do mnie i powiedział krótko:

— No, na słuch nie ma co liczyć. Nie będzie słyszał.

Jak gdyby grunt zaczął się spode mnie usuwać, ale jednocześnie poczułam narastającą falę oporu. Podniosłam głowę i patrząc na profesora powiedziałam, siląc się na uśmiech:

— Panie profesorze, jako matka nadzieję mieć będę.

Medycyna idzie tak ciągle naprzód, że trudno przewidzieć co będzie za lat kilka. Pozwoli pan profesor, że przyjdę za dziesięć lat.

Obydwaj lekarze zamienili szybkie spojrzenia. Profesor spojrzał następnie na mnie tak życzliwie, po ludzku, i powiedział:

->\*- Ale niech pani nie męczy chłopaka jakimiś aparatażami, nie warto.

W domu powiedziałam krótko, że czuję się zmęczona i muszę trochę poleżeć, więc żeby mi nie przeszkadzano. Zamknęłam drzwi i zasłoniłam okno.

75

Okazało się, że w Krakowie ani o podręczniki, ani o nauczycieli nie jest tak łatwo, jak mi się zdawało w odległym Brzegu. Podręczników nie było, a nauczyciele byli nieliczni i bardzo zapracowani.

Po wielu bezskutecznych rozmowach i poszukiwaniach dowiedziałam się, że w Krakowie jest teraz pani Walenta, ta sama nauczycielka, z którą poznaliśmy się w Lublińcu. Kiedy przyszłam do niej z Misiem i usłyszałam entuzjastyczne pochwały pod jego adresem, zrobiło mi się bardzo przyjemnie, nabrałam otuchy.

— Cudo ty moje! Jakie to już rozgadane! — zachwycała się, trzymając Misia za ramiona.

— Wiem, że to nie jest jeszcze mowa taka, jak być powinna, proszę pani — wtrąciłam, ale pani Walenta przerwała mi żywo:

— Co tam, przecież to jest mowa, bo on mówi i porozumiewa się m o w ą!

— Chciałabym, aby mówił bardziej gramatycznie i prawidłowo wymawiał „b”, „d”, i „c”, bo to się u niego za-ciera.

— On ma w ogóle słaby głosik — nauczycielka popa-trzyła na nas badawczo. — A jak z oddechem, ćwiczył?

— Nie... przecież nic o tym nie wiedziałam, nikt mi nie powiedział... — zmartwiłam się.

— A to takie ważne — wesołe oczy spowaźniały. — Te-raz będzie trudniej to odrobić... Ale najważniejsze to roz-wój umysłowy — dodała po chwili.

W dalszej rozmowie uzgodniłyśmy, że Miś będzie się uczył ze mną w domu i na wiosnę będzie zdawał egzamin w szkole specjalnej z rocznego programu. W przygotowa-niu tego programu miała nam pomóc pani Walenta.

Chodził więc Michał dwa razy w tygodniu na lekcje, a najwięcej mu się podobało to, że jeździł sam tramwajem.

Pewnego dnia spotkałam panią Walentę; nauczycielka była wzburzona.

— Proszę mnie nie zdradzić przed Misiem — zastrzegła najpierw — ale muszę to pani opowiedzieć, bo przez niego wczoraj bardzo się zdenerwowałam, a pani jako matka musi o tym wiedzieć.

— Co się stało? — zapytałam zaniepokojona.

— Michał wyszedł po lekcji do domu, a ja w chwilę po nim. Na rogu Pędzichowa i Długiej zobaczyłam jadącą

76

siódemkę, a za nią pędzącego Michała. Zamarłam, bo tełotr tak gonił, że aż piętami po tyłku się klepał. Boże świę-ty, myślę, żebyż się nic nie stało! Tramwaj akurat na za-kręcie, a on celuje do pierwszego wozu! No, chwała Bogu, szczęśliwie wskoczył, ale ja długo nie mogłam się uspo-koić. Niechże droga pani jakoś to z nim załatwi i zabroni skakać.

Wróciłam do domu bardzo poważna i przesadnie smut-na. Naturalnie Miś natychmiast to zauważył, ale ja uda-wałam, że nie chcę mu powiedzieć, co mi jest. W końcu zaczęłam barwną opowieść o tym, jak w drodze do domu byłam świadkiem strasznego wypadku.

— Tuż przy dworcu, na zakręcie, taka mała dziewczyn-ka jak Misio wskakiwała do tramwaju! — Tu zrobiłam dramatyczną przerwę, że niby nie mogę mówić dalej, a Michał przejęty wisiał wzrokiem na moich ustach. — I... obcięło jej obie nogi! — wypowiedziałam wreszcie.

Dodałam, że było wielkie zbiegowisko i wszyscy się lito-wali, bo dziewczynka bardzo krzyczała. Mówiłam, jakie okropne będzie życie tej dziewczynki bez nóg. Na zakoń-czenie zaczęłam prosić Misia, żeby mi obiecał, że nigdy, nigdy nie będzie skakał do tramwaju, a już w żadnym wypadku do pierwszego wagonu.

Przyrzekł.

— Słuchaj, tyle czasu nie ma Misia, nie mam pojęcia, có ś-ię z nim stało! — powiedziała do Olgierda, kiedy wszedł do domu.

— Jak to nie ma? Pewnie gdzieś tu się bawi z chłó-pakami.

— Ależ nie, dawno powinien był wrócić, co najmniej ldwie godziny temu.

Mój niepokój udzielił się mężowi. Obeszliśmy sąsiednie ulice, wszystkie zakamarki, podwórka, ale żadne z dzieci nie widziało Misia, choć pytaliśmy wszędzie. Wróciliśmy do domu, jeszcze trochę poczekaliśmy i w końcu postano-wiliśmy zawiadomić milicję.

Poszliśmy środkiem Plantów w kierunku miasta. Nie-daleko przystanku zobaczyliśmy Misia idącego w naszą stronę. Po chwili już trzymaliśmy go za ręce i obydwójce z mężem staraliśmy się dowiedzieć, gdzie był. Chłopiec

77

stał oszołomiony i przenosił wzrok ze mnie na Olgierda, nie wiedząc na kogo z nas ma patrzeć, bo mówiliśmy je-dnocześnie.

— Poczekaj, ja go wypytam — powiedziałam wreszcie do męża. — Misiu, my, tata i mama, czekaliśmy długo. Szukaliśmy cię wszędzie, tu, tam — zatoczyłam krąg ręką. — Gdzie byłeś?

— Msio tramwaj jedzie, dużo — powiedziało dziecko niepoprawnie, ale szybko, żeby nas uspokoić. Olgierd na-kierował jego głowę do siebie i wtrącił:

— Nie szkoda ci matki? Patrz, jak wygląda!

— Mów wolniej, ale nie, poczekaj, tu się zrobiło ciasno —| przerwałam, bo ludzie zaciekawieni naszym sposobem porozumiewania się przystawali i gapili się. |— Chodźmy do domu.

W domu ostatecznie się wyjaśniło. Misiiek spędził parę godzin jeżdżąc tramwajem, siódemką, od końca do końca, za każdym razem wykupując bilet. Stał sobie obok motor-niczego i obserwował trasę, było bardzo przyjemnie, tylko nie rozumiał, dlaczego pani konduktorka rozgniewała się w końcu, choć on jej przecież pokazał bilet. Kazała mu wysiadać i iść do domu. Coś jeszcze mówiła, ale już nie rozumiał.

Spokojnie mu wytłumaczyłam, że nie wolno na tyle godzin znikać z domu, że bardzo niepokoił się o niego. Na zakończenie powiedziałam, że za karę nie będzie mu wolno jeździć na rowerze przez cały tydzień.

Przeraził się. Zaczął przeproszać i błagać, ale byłam nieugięta. ...

Zaczął się ciężki tydzień, chyba jeden z najcięższych.

Jazda na rowerze to była wielka namiętność chłopca i pozbawienie go tej przyjemności stanowiło dotkliwą karę. ...

Michał co dzień od rana mnie błagał, usiłując wszelkimi sposobami zmienić moją decyzję. W końcu zaczynał ryczeć.

Udawałam, że nic to mnie nie obchodzi. Poszłam tylko i przeprosiłam sąsiadów za hałasy. . . •

To były sądne dni. Miś wrzeszczał, rzucał się na .po-dłogę, płakał. Starłam się nie zwracać uwagi na to, a- .mąż na swoje szczęście wracał z Huty późnym wieczorem,.

Na trzeci dzień syn przyniósł mi skórzany pasek. od spodni prosząc, żeby mu dała w skórę, mówił, że wszy-

78

stkie dzieci zawsze dostają w skórę, a tylko biedny Misio nie, że to jest niesprawiedliwe, że on woli dostać paskiem i będzie wszystko w porządku, tylko prosi o rower.

Roweru nie otrzymał, a ciężki tydzień wreszcie się skoń-czył. Odetchnęliśmy wszyscy.

Tak, jazda na rowerze to była prawdziwa namiętność Misia. Miał wciąż jeszcze starą „damkę” przywiezioną z Brzegu, nieefektywną, gdzieniegdzie porzewiała, wyda-ając charakterystyczny grzechot w czasie jazdy, ale to wszystko nie przeszkadzało mu i urządzał dookoła domu z okolicznymi chłopakami prawdziwe wyścigi. Sąsiadki nieraz przestrzegały mnie, że jeździ za szybko, mówiły, żeby nie pozwalała mu jeździć po ulicy, bo przecież nie słyszy i może być nieszczęście.

Sama byłam niespokojna o to i ciągle powtarzałam, że nie wolno tak szybko jeździć i żeby uważał, ale on i tak każdą wolną chwilę spędzał na rowerze i upilnować go było trudno.

Dwudziestego czwartego czerwca był piękny słoneczny dzień. Po południu zwróciłam uwagę, że znów długo nie widać Misia. Trzeba było psy wyprowadzić, roboty mia-łam dużo, a on jak na złość nie wraca. Wyglądałam co chwila przez okno wychodzące na ulicę. Z tego punktu obserwacyjnego z trudem dawał się usuwać nasz płowy wilczur Taps, który wsadzając swój smolisty pysk pod firankę, tak że spływała jak szal dookoła jego uszu, też śledził, czy Miś nie nadchodzi. Pelut leżał przy drzwiach i on pierwszy zaszczekał.

Głośne szczekanie obu psów, a potem radosny, histeryczny skowyt Peluta (okropnie mnie to zawsze denerwowało, ale nic na to nie mogłam poradzić), no i Michał wszedł do pokoju. Uśmiechając się szeroko położył przede mną na stole opakowaną książkę i tabliczkę czekolady.

— Skąd to masz? — zapytałam z niepokojem.

— Msio wygrał! Msio pierwszy!

Z jego opowiadania i potem z rozmowy z organizatorami imprezy odtworzyłam sobie dokładnie przebieg zdarzenia.

Boisko sportowe na Grzegórkach było odświętnie ude-

79

korowane i przejeżdżając tamtędy na swoim rowerze Michał od razu zauważył, że coś się ciekawego szykuje. Zsiadł z roweru i prowadząc go wszedł na stadion. Stała tam grupka odświętnie ubranych chłopców i każdy z nich trzymał rower; niektóre rowery były nowiutkie, półwyścigowe. Żaden z chłopców nie miał „damki”.

Był to wyścig kolarski dla dzieci do lat piętnastu. Miśsie przysunął się ze swoim rowerem, ale chłopcy go odepchnęli. Podeszedł jeszcze raz, mówiąc niewyraźnie, że on też razem z nimi chce brać udział w zawodach, ale i tym razem nie przyjęli go, a jeden powiedział:

— To nie są zawody dla ciebie, bo ty jesteś głuchoniemy.

— Na tym gruchocie daleko nie zajedziesz! — dodał drugi.

Misiek zawrócił i razem ze swoim rowerem prościutko poszedł do stolika, przy którym siedzieli organizatorzy.

— Zdziwił nas ten chłopak — opowiadał mi potem członek komisji sędziowskiej. — Wystartował niezwykle ambitnie, goniąc chłopców, którzy byli w większości starsi od niego i na lepszych rowerach. Widać było jego wolę zwycięstwa i wysiłek, z jakim starał się ich dogonić. I dogonił! Na drugim okrążeniu minął ich i na metę wjechał zdecydowanie pierwszy. Uczciwie wywalczył sobie pierwsze miejsce.

A Michał mi jeszcze opowiedział właściwe zakończenie. Kiedy odszedł od stolika sędziowskiego trzymając w ręku nagrody, zwrócił się do chłopców mówiąc:

— Głuchoniemy, aale wygrał! Msio pierwszy!

; Na zakończenie roku szkolnego, co wiosną, Michał zdał egzamin w szkole specjalnej jako ekstern. Te egzaminy miały czasem zabawne momenty. Pierwszy raz, kiedy wszedł do sali i zobaczył stół, a za nim dyrektora szkoły w asyście nauczycielek, stanął i zawahał się. Następnie uklonił się i powiedział:

— Dziękuję bardzo... za egzamin, dziękuję bardzo! — i w nogi.

: Zatrzymano go i zdał.

Innym razem był bardzo zaskoczony pytaniem, czy wie, jak się robi masło. Stał biedak przed komisją egzamina-

50

cyjną i zastanawiał „• M. .

blemem, owszem jaj^' \gdymie zetknął się z tym próba wywbiec do domu masł^' lubił zwłaszcza w czasie za-

- Mama, chleb, rł™łf Ć: ,

To było dobre i zLf^' Sluklf!

Ponieważ jednak ^^e smakowało, ale jak się to robi?

woli: eba było dać odpowiedź, zaczął po-

— Bierze się jajka , , , ; , ! ; ; ! -  
Skonsternowany śl\* smietaną i... robi jak tort.  
tem pokiwał głową łllechem dorosłych milczał i tylko po-sprawdzi na wsi taie^3 Znak  
zgody> ze latem osobiście  
Zabłysnął natom^TM^^ polityki, opowiadają SW01mi wiadomościami z zakresu w  
Genewie, ku zasko ° - konferencji czterech mocarstw  
jącego, że malec prze^26!1111 Całego grona' nie Przypuszcza-  
W tym mu .\*siada gazety.  
w tym roku pani t., , , J , , , pisać chłopca do szkół Wałenta radziła, aby od jesieni za-  
- Dobrze fciu to Z f^4  
w grupie, przystosuje bl; moWją Pani ~ nauczy się żyć  
w domu, to może by- P^cznie> a tak, jak jest stale sam  
egoiście. C mebezPieczeństwo, że wyrośnie na  
Michał miał dwana, ! , . . . , ,  
szące powinien był L,,, x ak 3ak Inne dzieci niesły-  
względem na to że" ny „Sj,do klasy Pia.teJ- Jednakże ze  
lenta radziła, żeby w + ° duzo wiadomości, pani Wa-  
konana, że da sobie rajapił d° starszej klasy, i była prze-  
Po wielu naradach > e' .  
wego roku szkolnego A^T" zdecydowaliśmy się i od no-  
Z początku intereso , zaczął ch°dzić na Pędzichów.  
się z dużym zbiorom f° g° wszystko bardzo; zetknięcie  
i ciekawe. Nie wysta\* fm głuchych dzieci było nowe  
tychczas robił aby si\*°Zy teraz zawołać, tak jak to do-  
dotknąć ramienia luk odwracały, teraz trzeba było  
uwagę, bo tu w s z y s . Pomachac ręką, aby zwrócić ich  
Szeroko otwartymi e dzieci ^ głuche,  
nemu sposobowi por0°CZami Przygładał się ich odmien-  
migowej. zumiewania się za pomocą mowy  
W klasie był0 dwana<5 ! , . . .  
ne półkolicie. Pani si^ dzleci> a ławki były ustawio-  
była widoczna z każrt . , W środku, blisko, i jej twarz  
mówiła, było podane w^ kl" Mówiła wolno, a to, co  
chał patrzył uważnie 7 sposob bardzo prosty i łatwy. Mi-\* rozumiał każde słowo.  
6 — Los w rękach twoich  
81

Po lekcji, w czasie przerwy, widział, jak dzieci prowa=dzą ożywione rozmowy za pomocą  
ruchów rąk i szybkiej mimiki. Wszystko to było takie inne i ciekawe, dzieci co chwila  
wybuchały śmiechem, a on nic z tego nie rozumiał. Gorąco zapragnął nauczyć się  
porozumiewać w ten sposób. Na ścianach widział tablice z alfabetem palcowym. Oglą=dał  
rysunki, ale szybciej chwycił na żywo, obserwując dzieci. Jego równieśnicy, wśród których  
dotychczas prze=bywał, porozumiewali się głosem, natężeniem tego głosu wyrażali swoje  
stany emocjonalne, a Michał nie zawsze mógł włączyć się i zrozumieć ich. Mimika twarzy  
dzieci słyszących była raczej oszczędna, a tu, w szkole specjalnej, było na odwrót. Obraz był  
znacznie bogatszy w treść.

Pierwsze dni przyniosły ogromnie dużo wrażeń. Starsze dzieci za pomocą mowy migowej i  
rzucanych od czasu do czasu pojedynczych wyrazów potrafiły wprowadzić nowi=cjusza,  
jakim był Michał, w życie szkoły i udzielić mu wszystkich najnowszych wiadomości. Miś  
dowiadywał się, co robią inne dzieci, był informowany o ich życiu bez=pośrednio przez nie

same, a nie przeze mnie. To było miłe i inne niż ze słyszającymi rówieśnikami. Z nimi to on, Misio, był zmuszony do wysiłku mówienia. Tu zaś, wśród dzieci głuchych, mowa za pomocą gestów nie była wysiłkiem, była łatwa!

— No, jak było w szkole, co pani mówiła na lekcji? — pytałam w domu, a Misiek opowiadał i widziałam z tego, że uważa, bo wszystko pamiętał i wszystko już umiał, w domu nie musiał się uczyć.

Dzielił się ze mną swoimi wrażeniami i opowiadał, że do szkoły dużo dzieci dojeżdża spoza Krakowa.

— Mama, dwie godziny rano i dwie godziny po szkole pociąg jedzie uuu! — ilustrował dziecinnie.—Mama, Jurek pomaga tatusiowi w polu! — tu Misio kiwał współczująco głową nad losem starszego kolegi. — A Tosia wstaje czwar-ta rano! — mówił następnego dnia o koleżance, która dojeżdżała z Wadowic. — Mama, Tosia idzie do pociągu dłuugo las! Daleko! Potem dom!

— Idzie lasem albo idzie przez las do domu — poprawia-łam, ale tym razem nie miał czasu zwracać uwagi na moje poprawianie, bo jeszcze się śpieszył z dopowiedzeniem re-szty.  
32

— Mama, dzieci na wsi pomagają w domu d.Uuzo,

— Ty też pomagasz w domu: kupujesz chle^ wynosisz śmieci, wyprowadzasz psy na spacer — zzęłam wyli-czać, ale skrzywił się i lekceważąco machnął r^ w jakiś zupełnie nowy sposób.

— Maało!

Roześmiałam się z tej nagłej gorliwości.

W niedługim czasie zauważyłam, że Mis^ek; zacZął w przesadny sposób podkreślać wyrazem t\varzy to co chciał powiedzieć, i zaniepokoiłam się. Poza tym zaczęły się skargi, że nie uważa na lekcjach, a zaPjtany przeze mnie odpowiedział:

— Msio nudziś.

Tak, za duża była różnica między rozwojem umysłowym Michała, wychowywanego w środowisku słyszącyck i dzie-ci wychowywanych w internatach, gdzie \$ą wyłączme dzieci głuche. Program był dostosowany dla p,^

Po wielu naradach tak w domu, jak i w szltoje zdecydowaliśmy się na przeniesienie go do szkoły nofmalnei

Michał co prawda mówił niewyraźnie, myljj. przypadki akcentował również błędnie i jakoś nie ua^-vVaj0 m\ sjó tego skorygować. Co dzień zwracałam mu uwa,,. zebv nie mówił na przykład: „dlaaczego" zamiast „dlaC2;e' Q,, Z1Q. mocno też wymawiał „aale", gwałtownie akc:errtuiać' pier-wszą zgłoskę; wiedziałam, że będzie miał d\±0 trudności ale z programem na pewno da sobie radę.

W kuratorium nie poszło mi łatwo.

Sam pomysł umieszczenia dziecka głuchc,,0 szkole normalnej wydawał się wszystkim absurda Naczelnik wydziału długo się zastanawiał. Włożyłam ^iele wys,'lku starając się go przekonać, ale dopiero gdy Wprowadziłam Michała czekającego dotąd na korytarzu i on z uśmiechem

ukłonił się i powiedział: „Prroszę prroszę barcjzo,»

czelnik powziął decyzję i skierował mnie d.0 szkoł pod\_ stawowej nr 5, abym porozmawiała z kieroWmczlja

— Pa ni rozumie, że to będzie zależało ocl j^j ^go-dy Do-tychczas nie mieliśmy takich przypadków — powiedział na zakończenie.



## EKSPERYMENT

Kierowniczka szkoły podstawowej była szczupła, miała chłodne niebieskie oczy i jasne włosy zaczesane faliście do tyłu. Wstała witając się ze mną.

— Proszę, mówcie, co was do mnie sprowadza — odezwała się cichym, matowym głosem.

— Postaram się krótko przedstawić moją sprawę — zaczęłam.

Powołałam się na kuratorium, które mnie do niej skierowało, i opowiedziałam trochę o Michale, o naszej wspólnej pracy i wysiłkach zmierzających do przełamania bariery kalectwa. Słuchała uważnie, nie przerywając.

— Staraliśmy się, aby syn przebywał stale w środowisku słyszących, bawił się z dziećmi słyszącymi i przez to był po prostu zmuszony posługiwać się mową, a nie migami. Dzieci kształcone w szkołach specjalnych, mieszkające wśród głuchych, porozumiewają się mową migową, to jest sposobem uproszczonym, bardziej ubogim i nie wymagającym takiego wysiłku jak mowa ustna.

— Czy wasz syn umie mówić?

— Umie. Naturalnie, jego mowa nie jest jeszcze taka, jak być powinna, ale dobrze odczytuje z ust i rozumie, co się do niego mówi, a jego rozwój umysłowy nie odbiega od rozwoju dzieci normalnych — mówiłam prędko. — Pani kierowniczko, nauka w szkole normalnej, tu, wśród słyszących dzieci przyniosłaby ogromne korzyści mojemu synowi, i to w równym stopniu dla jego rozwoju umysłowego, jak i lepszego opanowania mowy. Czy może nam pani pomóc? Zgodzić się na ten... jakby eksperyment?

— Dobrze, przyprowadźcie go — powiedziała wstając i dodała odwracając głowę: — Któż by nie chciał pomóc dziecku.

Biegłam do domu jak na skrzydłach, pełna radości, ale jednocześnie i obaw, bo zdawałam sobie sprawę, że począ-

84

tki nie będą łatwe. Bez żadnego zaślepienia patrzyłam na swego chłopca i widziałam jego tak dobre, jak i złe cechy. Michał został przyjęty do piątej klasy normalnej szkoły podstawowej. Egzamin wypadł dobrze. Członkowie komisji dziwili się wielce, kiedy zapytany o szczyty Tatr zaczął sypać jak z rękawa nazwy dawniej używane i nowe, przy wielu z nich podając wysokość.

Kiedy mi o tym opowiadał, pamięć podsunęła mi obrazek ośmiolatka siedzącego na dywanie w Brzegu i wodzącego palcem po kolorowych starych mapach niemieckich. Lubił nad nimi tak przesiadywać i oglądać lądy i morza, ciemną czerwienią i brązem zabarwione góry, a przy nich czarnymi literami podane nazwy, podobne do tych, które czytał z moich warg: Alpy-Alpen lub Tatry-Tatra. Siadywaliśmy wówczas razem oglądając mapę nieba i wyjaśniałam mu, że małe kółeczko to księżyc, a duże to słońce (bo nawet było podobne do jego rysunków, które mazał kredkami na niezliczonych arkusikach papieru), że zupełnie mała kropeczka to ziemia, a wszystko to połączone liniami obrazującymi obroty i ruch. Niezwykle go to interesowało, próbowałam więc w najprostszy sposób tłumaczyć mu pojęcie przestrzeni i układ wszechświata. Przerastało to jego możliwości, ale wiedziałam przecież, że to nie jest łatwe i nie zrażałam się. Starłam się stopniowo wprowadzać go w świat spraw, których nie mógł sprawdzić, dotknąć, zobaczyć, uczyłam go myśleć nie obrazami, ale pojęciami.

Pomału pragnęłam go wprowadzać w najtrudniejszy dla niego świat abstrakcji.

Na dole map znajdowały się przekroje pionowe gór i obok podane były liczby znaczące wysokość; porównywał ich wielkość i tak samorzutnie kształciła się jego wyobraźnia.

Nieraz czerwonym ołówkiem znaczył bieg rzek: były to w jego pojęciu drogi wiodące w daleki świat, a on odbywał samotne podróże.

Od tamtych czasów geografia była zawsze ulubionym jego przedmiotem i stąd te efekty na egzaminie.

W tym dniu, kiedy miał pójść po raz pierwszy do nowej szkoły, był bardzo przejęty, chociaż nie wiem, kto więcej: on czy ja.

35

— Mama, Msio idzie do szkoły jak wszystkie dzieci! i—  
cieszył się, podczas gdy ja poprawiałam mu biały kołnierzyk i obrzucałam baczny spojrzeniem całą postać.

— Tak, Misiu, ale mów wyraźnie, powoli, pamiętaj!

Szliśmy razem ulicą Daszyńskiego, Wielopolem i koło poczty skręciliśmy w Westerplatte. Przed wejściem do szkoły stały już grupki dzieci. Po zostawieniu Miśka w szkole wróciłam na Planty, tu, między drzewami nikt nie mógł mnie zobaczyć.

Patrzyłam na gmach szkoły, modląc się gorąco, aby moje dziecko dało sobie radę i żeby ludzie, z którymi teraz się zetknie, mieli w stosunku do niego dobrą wolę i cierpliwość. Kierowniczka szkoły weszła razem z Misiem do klasy. Stał obok niej przejęty bardzo i trochę niepewny. Pani przedstawiła go dzieciom mówiąc:

— Słuchajcie, to jest Michał Domański, chłopiec, który nie słyszy. Pamiętajcie, że należy mu pomóc, jeżeli będzie miał kłopoty.

Michał popatrzył na nią i zrozumiał, że mówi o jego trudnościach i o tym, żeby dzieci były dla niego dobre. Widział, że mówi spokojnie i bardzo stanowczo, i ogarnęło go miłe poczucie bezpieczeństwa.

Spojrzał odważnie na klasę i zdumiał się ogromną liczbą dzieci. W szkole specjalnej ławki stały półkołem i dzieci było mało, dwanaścioro w zasadzie, a kiedy było czternaścioro, to się mówiło, że jest ich za dużo! Tu zaś widział cztery szeregi ławek stojących jedna za drugą i dużo, dużo wpatrzonych w siebie oczu. W dalszych rzędach zauważył dwóch znajomych chłopców, z którymi bawił się na Grzegórkach, i ucieszył się, ale właśnie pani skończyła mówić i wskazała mu miejsce w pierwszej ławce obok małego chłopca z niesforną grzywką opadającą na czoło.

Pani rozpoczęła lekcję. Na tablicy zawiesiła mapę, a sama usiadła i wyraźnie, powoli zaczęła omawiać nowy temat. Jej opanowana, spokojna twarz zwracała się lekko w prawo i w lewo do klasy, ale tak, że usta były dla Misia widoczne i rozumiał, co mówi. W porównaniu ze szkołą specjalną różnica była ogromna, musiał bowiem bardzo uważać i nie mógł sobie pozwolić na zwrócenie myśli w innym kierunku ani na chwilę odpoczynku, a nawet na spojrzenie w bok. To, co mówiła nauczycielka, było cieka-

86

we, ale trzeba było zapamiętać wiele ważnych faktów. materiał był duży, o wiele obszerniejszy niż na tamtych lekcjach.

Kiedy zaczęła się przerwa i zobaczył ruch dookoła siebie (dzwonka nie słyszał) — odetchnął. Tak, zinańczył się bo prawie godzinę musiał wytrwać w napięciu i skupieniu, inaczej niż w szkole specjalnej. Wiedział Jednak że najgorszy jest początek.

Na korytarzu dzieci otoczyły go i wszystkie naraz pytały: jak się nazywa, gdzie mieszka, ile ma lat.

Kierowniczka szkoły nigdy nie podnosiła głosu gama iei obecność wpływała na uspokojenie dziec^ a spojrzenie chłodnych niebieskich oczu zbijało z tropu najbardziej zadziornych chłopaków.

Klasa, w której był Michał, należała do najtrudniejszej i interwencje kierowniczkі musiały być częste

Mój syn nie należał do łatwo ustępującego a ponieważ nie zawsze potrafił dowieść słownie swoich racji nieraz argumentował za pomocą pięści. Z tego powodu musiałam być częstym gościem w szkole.

Kiedyś byłam wezwana, a Michał nie zdał, i ,,,- ,,,-,rj0

x • J i Ł J • i «yi mi wyjaśnić w domu, o co tym razem chodzi.

— Słuchajcie, musicie waszemu chłopcu dobrze wytłumaczyć, że tak mu postępować nie wolno. Wychowawczyni widziała, jak bił kolegę, a klasa potwierdzić • oovv, \* czął i bił bez powodu. Tego przecież tolerować nie możemy rozumiecie.

Siedziałam w gabinecie u kierowniczkі i byłam bardzo zmartwiona. Przy drzwiach obok wychowawczyni st\_x ze spuszczoną głową Michał. Podeszłam do niego

— Misiu, dlaczego to zrobiłeś? — zapytała a on podniósł na mnie oczy, w których wyczytałam nd'r-0,, t,~ <-^ musiało wyglądać inaczej, niż mówiła pani kierowniczką.

— Jabłko — powiedział i odchylił głowę pokazując ręką Biały wykładany kołnierzyk był cały poplamiony "jak się domyślałam, ogryzkiem jabłka.

— Ktoś rzucił w ciebie ogryzkiem jabłka? \_\_ zapytałam

— Tak. To było przed lekcją. Pani nie byłam Ja pierwsza ławka, nie widziałem kto. Coś bije w głotyę Aale poj;em

87

jabłko wpadło za kołnierz. Zobaczyłem, bo on śmieje się. Byłem zły — mówił jak zwykle w zdenerwowaniu niezbyt poprawnie.

Spojrzałam na kierowniczkę. Zwracając się do wychowawczyni dość stanowczo powiedziała:

— Ja was bardzo proszę, koleżanko, starajcie się dojść przyczyny nieporozumień w klasie, zanim przyprowadzicie ucznia do mnie.

Chociaż kierowniczką szkoły wydawała się bardzo surowa i nieprzystępna, Michał ją lubił. Nieraz, kiedy był wzywany do niej, aby się wytłumaczyć z jakiejś psoty, i stojąc wyprostowany patrzył na jej poważną twarz — wyczuwał jakby zamaskowaną serdeczność, dobroć, miał pewność, że będzie sprawiedliwie traktowany, i cenił to. Pani To-polnicka nie robiła żadnej różnicy między nim a innymi dziećmi i podkreślała to swoim zachowaniem, tak że Michał czuł się po prostu jednym z czterdziestu rozwrzeszczanych, niesfornych uczniów piątej klasy, których starała się utrzymać w ryzach wychowawczyń.

Dziewczynki były spokojniejsze, i one to najczęściej pomagały Miśkowi, pożyczając zeszyty i mówiąc, co trzeba przynieść nazajutrz na lekcje, o czym należy pamiętać lub co zrobić.

W pierwszej ławce siedziały dwie: Hela i Joanna. Miały same piątki i zachowywały się bardzo poważnie. Hela mieszkała na rogu Krakowskiej i Dietla, niedaleko nas, i do niej Michał nieraz przychodził po zeszyty i wytłumaczenie tego, czego nie rozumiał lub nie zapamiętał z lekcji.

— Mama, tam tak dużo dzieci! — opowiadał mi. —

A mama Heli ma oczy trochę tak (pokazywał mi lekkiego zęza), ale jest bardzo dobra. Tam jest bardzo przyjemnie!

I jest piesek, szary, kudłaty. I wszyscy są bardzo mili i rozmawiają ze mną! — swoim słowami starał się oddać atmosferę panującą w tym domu.

Michał, tak życzliwie wprowadzony do klasy i ustawiony przez kierowniczkę szkoły, żył wśród kolegów bez kompleksów; zajęty był teraz bardzo, ale wracał do domu dumny, radosny i pełen ochoty do nauki. Lekcje go ciekawiły, materiał był podawany w zajmujący, choć nieraz trudny dla niego sposób, ale go to tylko mobilizowało, bo za każdy wysiłek, każde najmniejsze osiągnięcie — spotykało go uznanie i pochwała.

SS

Co prawda kiedyś na ostatniej godzinie po prostu wstał i zaczął chodzić po klasie, budząc tym zaskoczenie dzieci i gniew nauczycielki. Wezwano mnie.

— On mi utrudnia prowadzenie lekcji! — usłyszałam.

Tak, wpojenie zasad dyscypliny i karności nie było łatwe. Przy tym, jeżeli ja sama nieraz traciłam cierpliwość i wpadałam w gniew, to jakże można jej wymagać od przeciążonej pracą nauczycielki?

— Cierpliwości, cierpliwości — powtarzałam sobie i od nowa tłumaczyłam synkowi konieczność wytrwania w ciągu długich czterdziestu pięciu minut lekcji w spokoju i ze skupioną uwagą.

Patrzył na mnie ze zrozumieniem, wiedział, że sprawia kłopot, bo rozmowy nasze odbywały się po wymówkach nauczycieli i wzywaniu mnie do szkoły. Rozkładał ręce i na pociągłej dziecinnej buzi pojawiał się wyraz zakłopotania.

— Msio zmęczony — próbował się tłumaczyć.

Gładząc go po krótko ściętej czuprynie uśmiechałam się ze zrozumieniem. Pewnie, pamiętam, że i mnie samej ciężko bywało wysiedzieć na lekcjach, a cóż dopiero jemu... Ale jak mi powiedzą, że dla niego są szkoły specjalne? Przecież tylko dzięki dobrej woli nauczycieli i ich życzliwości głuche dziecko może się uczyć razem z dziećmi słyszącymi. A tak mi na tym zależało... I widziałam, że wychodzi to na dobre Michałowi. Wracałam więc do swojego:

— Rozumiem, że jesteś zmęczony — potakiwałam — ale pani ma rację. Wszystkie dzieci chodzą do szkoły i uważają na lekcji. Postarasz się być mądry i wytrwały, będziesz siedział grzecznie i będziesz uważał. Zrobisz to dla mamy, prawda? — „brałam go na miłość”. Znał metody moich namów, iskra zrozumienia i humoru przeskakiwała z jego oczu do moich, wzdychaliśmy i wybuchaliśmy śmiechem. Na to przybiegały psy i w podskokach usiłowały dosięgnąć językami twarzy Misia. Zaczynała się wspólna zabawa, temat naszej poważnej rozmowy pozornie ulegał zapomnieniu.

— No i popatrz! Powoli, powoli chłopak się wciągnął i wszystko się układa! — mówiłam po pewnym czasie do Olgierda. — Wbrew wszystkim obawom daje sobie radę — dziwiłam się. — Chyba najważniejszą cnotą, jaką trzeba w sobie wyrabiać, jest cierpliwość.

Srt

Oczywiście mąż cieszył się razem ze mną z sukcesów syna.

Odrabialiśmy wspólnie lekcje w domu; starałam się pomóc Michałowi, tłumacząc trudne partie materiału i podając je w najciekawszej formie.

Klasa piąta miała bardzo trudny podręcznik do historii. Nie była to tylko moja opinia. Były na ten temat nawet wypowiedzi w prasie. Program był ogromny, a fakty podane w sposób encyklopedyczny, suchy i trudny, zupełnie niedostosowany do możliwości percepcyjnych dziecka. Normalnie rozwiniętego inteligentnego dziecka. Nie chciałam, aby Michał uczył się bez zrozumienia, pamięciowo. Chciałam, żeby umiał wyciągać wnioski, łączyć fakty, żeby lubił historię. Każdy więc rozdział, każdą lekcję opowiadałam swoimi słowami, prościej i

łatwiej, starając się przedstawić w ciekawy sposób wydarzenia, odegrać to miśmicznie, opisać barwnymi obrazami. Przerabialiśmy czasy Bolesława Chrobrego i wykorzystywałam niedawno przeczytaną o nim książkę Gołubiewa.

Ucząc się lekcji wspólnie przeżywaliśmy przygodę biorąc udział w akcji, a nauka w ten sposób nie była nudna i nie męczyła.

Sprawdzały się jednak moje przewidywania co do nowych słów i trudnych pojęć. Było z tym coraz więcej kłopotów i nieraz z wysiłkiem odpychałam ogarniające mnie zwątpienie w celowość naszej walki.

Aż raz Michał wrócił uszczęśliwiony ze szkoły.

— Mamsiu! Mamysiu! — wołał już przy drzwiach, opędzając się od witających go psów — mam piątkę z historii!

— Uspokój się, Pelut! — odciągnęłam psa, a Miś przemknął do pokoju i opowiadał dalej:

— Pani Topolnicka wywołała mnie do tablicy i... Msio umiał! — w pośpiechu zaczął skracać jak dawniej. — I pani powiedziała do wszystkich w klasie, że Miś najlepiej umie! I czy to nie wstyd, że właśnie Miś najlepiej umie!

— Z czego odpowiadałeś?

— Bunt wójta Alberta!

Taka piątka, to była rzecz bardzo mobilizująca nas obydwójce.

Było już po szóstej, kiedy Michał wbiegł do domu i stając przede mną powiedział stanowczo:

90

— Mamsiu, chodź, chodź, oni jadą do Zakopanego, prędko!

— Kto? Mów powoli.

— „Kolejarz” na narty!

— Poczekaj, tam trzeba najpierw porozmawiać, czy zgodzą się ciebie zabrać, zapisać do klubu. Ty jesteś jeszcze mały, a tam są starsi chłopcy.

— Mamsiu, ja już załatwiłem — spojrzał na mnie z dumą. — Pan powiedział, że mnie zapisze, aale, żeby przyszła mama, chodź prędko! — ciągnął mnie oburącz.

Poszłam naturalnie. I całą drogę nie mogłam wyjść z po-dziwu, że okazał się taki samodzielny.

Klub Sportowy „Kolejarz” znajdował się niedaleko od nas, obok boiska sportowego, które było terenem Misio-wych wypraw rowerowych i zabaw. Przed nasypem kolejowym skręciliśmy w kierunku baraku, gdzie znajdowały się biura klubu.

Wewnątrz był tłok, dużo młodzieży, a jakiś pan w ber-cie, z czarną bródką energicznie przemawiał. Zawahałam się, ale Misiek mnie wziął za rękę i przeprowadził między nimi tak pewnie, jakby tu był od dawna zdomowiony. Otworzył przede mną drzwi i pokazał oczami wysokiego pana w brązowej welwetowej marynarce. Na nasz widok ten pan wstał i powiedział do mnie z uśmiechem:

.:— A więc to pani jest matką naszego młodego sporto-wca!

W czasie rozmowy dowiedziałam się, że Misiek tu często przychodził i wymógł od nich obietnicę zapisania go do sekcji narciarskiej, chociaż nie osiągnął jeszcze przepisowe-go wieku. Zapewniał, że całkiem nieźle umie jeździć na nartach i bardzo pragnie razem z nimi wyjeżdżać na tre-ningi do Zakopanego. Kierownictwo chciało tylko uzgodnić ze mną to wszystko.

Podziękowałam więc i zapewniałam, że oboje z mężem możemy być tylko wdzięczni za ich życzliwy stosunek do naszego dziecka.

Od tej pory w każdą sobotę Michał z nartami i plecakiem na ramionach wychodził z domu o godzinie drugiej po południu i wracał w niedzielę o dziesiątej wieczorem. Pociąg wyjeżdżał z Krakowa o trzeciej i włókł się do Zakopanego sześć godzin. Koło dziesiątej wieczór dochodzili do schroniska. Całą niedzielę spędzali na nartach

91

i o zmroku wsiadali do pociągu, aby późnym wieczorem wrócić do domu.

— Moja droga, ja ciebie zupełnie nie rozumiem — mówiła do mnie przyjaciółka — przecież mój Tomek jest o trzy lata starszy od Miśka, w dodatku słyszy, ale za nic bym nie puściła go samego.

— Przecież oni jadą z opieką. Razem z nimi jedzie instruktor, a Michał jest wśród juniorów, którym się poświęca najwięcej uwagi.

— Swoją drogą, masz zdrowe nerwy. Chłopcy są różni, nie wiadomo, czego się od nich twój syn nauczy. W dodatku wszyscy starsi od niego. A instruktorzy? Nie wiem, czy to wystarczająca opieka. A poza tym to są góry! Góry! Nie, ja, proszę cię, oka bym nie zmrużyła. Mówię ci, zastanów się, żebyś nie żałowała, kiedy będzie za późno.

— Przecież nie mogę go ciągle trzymać przy sobie, kiedyś i tak będzie musiał wyjść spod mojej opieki, musi uczyć się samodzielności. Dla niego to jest bardzo ważne. A przy tym on tak bardzo tego pragnął. A czy ja jestem... spokojna...

Nie, nie miałam ani chwili spokoju. Czas, kiedy nie było Michała, dłużył mi się nieznośnie. Usiłowałam zepchnąć obawy i niepokój na samo dno świadomości, ale pomimo to nie mogłam znaleźć miejsca dla siebie.

Zaczynało się to w sobotę wieczór. Ani rusz nie mogłam zasnąć, pamięć podsuwała mi najokropniejsze zdania, wyobraźnia malowała przerażające obrazy. O, Boże, myślałam, jak mogłam puścić go samego z tymi obcymi ludźmi. W górach tyle niebezpieczeństw, i lód, i lawiny... A on nie usłyszy przecież ani wołania, ani ostrzeżenia! Natrętnie narzucał mi się obraz zasypanego śniegiem syna... Całą siłą woli starałam się odsunąć złowrogie myśli, opanować rozdygotane nerwy, przywołać rozsądek. Na pewno wróci szczęśliwie, mówiłam sobie po tysiąc razy.

Rano wstawałam żółtozielona i unikając zatroskanego wzroku męża zabierałam się do zwykłych zajęć. Szło mi bardzo niesporo i wszystko leciało z rąk. Chodziłam jak w transie, nie odzywając się do nikogo. Wieczorem już od godziny dziewiątej dyżurowałam przy oknie, chociaż pociąg przyjeżdżał znacznie później.

92

Kiedy się spóźniał, bo i to się zdarzało, nie mogłam już więcej ukrywać niepokoju i wychodziliśmy na spotkanie.

Na widok szczupłej figurki z nartami, tak małej przy rosnących narciarzach, stawałam usiłując uspokoić oddech i gwałtownie bijące serce.

— Byliśmy na Kasprowym Wierchu! — opowiadał nam.

— Msio jiuuuu! — pokazywał, jak zjeżdżał i robił skręty.

Tata nie wytrzymał i chciał nieść narty, ale Misiek nie dawał, no, bo jakżeby to wyglądało. Szliśmy pieszo do domu, wszyscy szczęśliwi. Michał zmęczony, ale rozradowany, pachnący jeszcze wiatrem i świeżością gór, policzki miał zaróżowione, oczy pełne wrażeń.

— Mamo, jeść! — wołał w domu po hałaśliwych powitaniach z psami.

Po kolacji był tak senny, że opowiadania trzeba było odłożyć do jutra.

Spał snem mocnym i zdrowym, a ja nie żałowałam swojej nieprzespanej nocy i zmartwień.

Wiedziałam, że moje dziecko jest szczęśliwe, dumne ze swoich sukcesów. I ja byłam szczęśliwa, że może korzystać z życia, brać w nim udział na równi z innymi.

Michał siedział przy stole i odrabiał lekcje. Wysunąwszy koniuszek języka z zapałem zamalowywał farbami narysowany dzbanek. Podeszłam bliżej. Nie było to równe i ręka sama wyciągnęła się, aby poprawić krzywą linię, gdy w pamięci odżył pewien obrazek. Misiu chodził wtedy na lekcje do pani Walenty i miał zadane do domu przerysowanie obrazka do zeszytu. Nie umiał tego dobrze zrobić i ja poprawiłam ślicznie jego dzieło, tak że oboje byliśmy zadowoleni. Ale jak wrócił do domu następnego dnia i pokazał mi swój zeszyt, spieszyłam się bardzo. Pod naszym wspólnym rysunkiem, równym, zamaszystym charakterem nauczycielki było wypisane: „Bardzo dobrze — dla Mami”. I podpis.

Patrzając teraz na pochyloną głowę zawzięcie rysującego Michała, na psy leżące tuż przy nim pomyślałam, że tu właśnie, w tej atmosferze spokoju i bezpieczeństwa, które zapewnia dziecku dom, leży klucz do kształtowania charakteru i umysłu. Przecież to jasne! Dom zawsze dawał

M

oparcie Misiowi, stąd może pochodzi ta bezpośredniość, otwartość, ta jego ufność do wszystkich?

Przyszedłam do szkoły, aby się dowiedzieć, co z kolei mamy przerobić naprzód, aby Misiowi ułatwić opanowanie materiału. Nauczycielka matematyki skończyła właśnie lekcję.

— Muszę pani opowiedzieć — zaczęła — coś o pani synu. Chciałabym tylko, żeby mu pani nie powtarzała. — Stanęliśmy w korytarzu pod ścianą, a obok przewalił się tłum wrzeszczących chłopców. Bractwo wybiegło na dziedziniec i zrobiło się ciszej, tak że mogłam słyszeć, co mówiła pani P. — A więc wczoraj znów była bójka w klasie i kierowniczką powiedziała Michałowi, żeby przyprowadził do szkoły matkę. Ale chłopiec rzucił się do kierowniczką i ze łzami w oczach zaczął ją prosić, aby tego nie robiła; obiecywał, że przeprosi wszystkich, i kolegów, i wychowawczynię (a wszyscy wiemy, jak on nie lubi przeproszać), i błagał, żeby się mama nie dowiedziała, bo jak mówił, mama będzie płakać, a on tego bardzo nie chce, bo on kocha mamę. No i wie pani — tu nauczycielka uśmiechnęła się do mnie — rozbroił tym wszystkich, nawet kierowniczką! On panią naprawdę mocno kocha i właściwie po to tylko popełniam niedyskrecję, opowiadając tę historię, ażeby panią ucieszyć.

Tak, wiedziałam o tym. I zdawałam sobie sprawę, że na tej mocnej podstawie opiera się mój autorytet u syna. To jest nie tylko radość. To pomaga w wychowaniu.

Jesienią sprowadzili się do nas rodzice męża. Starszakiowie byli słabego już zdrowia i trzeba było nimi się zająć. Przywieźli sporo swoich rzeczy i zrobiło się ciasno.

Najwięcej chyba miejsca miały teraz psy, bo cały przedpokój na własność i często jeszcze przenosiły się gdzie indziej. Pełut lubił przesiadywać na balkonie, Taps, jako że mniej odporny na zaczepki przechodniów, miał swoje miejsce przy oknie pod firanką.

Właśnie oba psy podbiegły do drzwi i zaczęły gwałtownie węszyć, a po chwili radosne skomlenie oznajmiło, że to idzie ktoś z domowników. Rzeczywiście, wszedł Michał,

94

opędzając się od psów WATM \* -

w podskokach, tarasowały mu przeskakiem ^ Szczekaniem>

-SuTS rSlesT^Śl^ ^ \*«\* do-

— No, jak'było ^t ZYOS^TM ^T\*TM'

— A nic - mruknął \_ A°S T.23\*\*\*8^ M zwykle.

— Dlaczego? le dziewczyny są głupie.

— Halina obraziła się na mnie

— A o co poszło, powiedz.

— Nie chciała mi dać ze<sup>^</sup>,<sup>^</sup>, „ „ •  
ruda suka. —?tu, a ja  
powiedziałem na nią:  
Przestraszyłam się.  
— Michał, jak mogłeś tak hr<sup>TM</sup>\*t,  
żanki? brzydko powiedzieć do kole-  
— Wcale nie powiedział<sup>TM</sup>, u  
mówią o wiele gorsze wwtv brZydkieS<sup>o</sup> słoWa- Chłopcy  
rude włosy, to prawda. mnie nie wolno- °na ma  
Był wyraźnie rozżalony.  
Starałam się mu wvthirw~  
niewłaściwe odezwanie al TZ \* prZe\*onać' ^ to było  
kich to słów używają inni chl<sup>^</sup>To<sup>^</sup> USłySZałam> Ja"  
rzeczywiście nieporównywaln y; yły mocne słowa>  
Halinki. "jwaine z tym, co powiedział do  
Jeżeli nawet nie udało mi <\*;<<sup>TM</sup>, i  
jednak obiecał, że będzie sil ? V\ °nac g0' to w ko<sup>^</sup>u  
tetów. lę starał u>\*ać podobnych epi-  
Po obiedzie zasiadł do nri. u- ."v'r, lubił uczyć się geografii. ggL»J? lekcji  
Najbardziej  
nauka, bo tak go to intezJ<sup>^</sup>JZ ż J<sup>^</sup>T\* "I" była  
uważnie przeczytał i poogłaS<sup>TM</sup> \ ^^^o, aby  
też siedział i przeglądał z S2 mapkl'.a ^uż umiał- Teraz  
biania lekcji starałam się iT<sup>^</sup> T"3" W C2asie od<sup>TM</sup>~  
odrabialiśmy wspólnie to Ct<sup>^</sup> ^ ! JeŚU naWet nie  
wie". ' byłam P<sup>o</sup>d ^ką jako „pogoto-  
— Misiu — powiedziałam kiPrf,r m,« ! \*  
bimy teraz polski. - Był fo h 7 °dł°Zył maP<sup>^</sup> ~ z<sup>TM</sup>~  
Michała, bo dobre opanowani 11<sup>^</sup>7 przedmi<sup>o</sup>t dla  
upragnionym celem, a trudni ^ M<sup>o</sup> WClaz naszym  
jąco. ' trUt!ności piętrzyły się zastrasza-  
Pocieszające dla mnie by}0 tn to „,  
roku szkolnego Misiek bard. • samego początku  
oardZo Sle przykładał d k  
95

Była to już szósta klasa i polskiego zaczęła uczyć pani Korzeniowska.

— Jaka jest nowa pani? — pytałam.

— Dobra. Psyjemna. — i po chwili dodał: — Pani jest spokojna, nie krzyczy. W klasie jest cicho.

To jest sztuka utrzymać taką rozwrzeszczaną gromadę w ryzach, pomyślałam i zapytałam jeszcze z miną pełną nadziei:

— A ty też jesteś spokojny i uważasz?

— Naturalnie! — podniósł na mnie oczy obrażonej nie-winności — lekcje są ciekawe! I co było dla mnie niespodzianką, zaczął się interesować gramatyką. No, no, dziwiłam się cicho i sama nadra-białam braki w tej dziedzinie, ucząc się wspólnie z synem.

A potem nadszedł taki dzień, że wróciwszy do domu za-ciągnął mnie bez słowa na kanapę i zaczął opowiadać. Błękitne oczy promieniały i z dziecinnej buzi biła radość, że dzieli się ze mną zasłużonym sukcesem. Skrótowo, nie-zbyt wyraźnie, wiedząc, że wszystko i tak zrozumie, opowiadał cały przebieg lekcji polskiego. Opowiadał tak plastycznie, że po



prostu zobaczyłam, jak nauczycielka podnosi twarz znad stosu zeszytów z poprzedniej klasówki i mówi wyraźnie układając wargi:

— Miałam wczoraj przyjemny dzień, kiedy poprawiałam wasze zeszyty. Przeczytam wam teraz jedną pracę, a wy ją sami ocenicie.

Klasówka nie należała do łatwych, toteż prawidłowy rozbiór gramatyczny wzbudził uznanie i dzieci zaczęły wołać:

— Piątka! Piątka!

Pani przytaknęła i zapytała:

— Jak myślicie, kto to napisał?

— Hela! Hela! — odezwały się głosy, gdyż Hela była dobrą uczennicą.

— Nie, tym razem to nie Hela. To Michał.

W tym miejscu przerwał opowiadanie i dając w dziecienny sposób upust swojej radości skakał, klaskał w ręce i całował mnie. Opowiadał jeszcze, jak pani zaczęła zażewstydzać klasę, podkreślając jego pracowitość i ambicję. Tak jak kiedyś na lekcji historii.

Oczywiście każdy sukces wpływał na Miśka bardzo korzystnie. Nabierał większej pewności siebie i coraz czyn-

M

niej brał udział w lekcji. Kiedy poszłam do szkoły i zapytałam panią Korzeniowską o Michała, jak się zachowuje i czy przypadkiem nie sprawia jej kłopotu, odpowiedziała:

— Nie, proszę pani, nie mam z nim żadnego kłopotu.

Jest to dziecko żywe, ale miłe, inteligentne i pełne ufności do ludzi. Lubimy go w szkole.

Zapytałam, na co zwrócić uwagę w domu, prosząc o wskazówki.

— On ma trudności przy odmianie wyrazów. Za to nigdy nie robi błędów ortograficznych, co się rzadko zdarza u jego rówieśników. Poza tym nigdy nie czyta bezmyślnie, zabiera głos i prosi o wyjaśnienie, czy dobrze, czy właściwie zrozumiał. Rozwija się i robi postępy — ciemne, poważne oczy popatrzyły na mnie życzliwie i jakoś ciepło. — To bardzo dobrze — mówiła dalej — że Michał nie siedzi biernie na lekcjach, a bierze w nich czynny udział. Dziś na lekcji bardzo uważał. Odpowiadała dziewczynka z czwartej ławki, a on nie odwracał się, nie widział jej odpowiedzi, bo patrzył tylko na mnie. Widząc, jak nie spuszcza ze mnie wzroku, powtórzyłam odpowiedź, błędną odpowiedź tej małej, pokiwałam głową i rzekłam: „Więc ty mówisz, że to Konopnicka napisała Nad Niemnem?”

Michał gwałtownie pomachał ręką w przeczący sposób i zawołał: „Orzeszkowa!”

Pochwaliłam go i widziałam, że był bardzo zadowolony!

Takie rozmowy podtrzymywały mnie na duchu. Martwiłam się tylko, że Michał zupełnie nie wykazuje chęci do samodzielnego czytania książek. Przyzwyczyił się, że ja mu czytam — to było łatwiejsze i przyjemniejsze. Takie teatralne opowiadanie z podkreślaniami ważniejszych momentów grą twarzy, gestami. Lubił siedzieć naprzeciwko mnie i chłonąć oczami bieg akcji. Sam nie zabierał się do czytania, bo za dużo było słów i zwrotów niejasnych dla niego. Kiedy nieraz umyślnie zostawiałam przy nim otwartą książkę i odchodziłam, po powrocie zastawałam ją nie tkniętą: wołał czekać.

Zapisałam go do biblioteki w Domu Kultury i przyniosiliśmy stamtąd mnóstwo książek. Aż kiedyś trafiła do nas książka o doktorze Dolittle i jego zwierzętach. Były tam obrazki i

fascynujące przygody małych przyjaciół doktora, który w dodatku znał i rozumiał mowę zwierząt.

7 — Los w rękach twoich

97

Miś od najmłodszych lat lubił zwierzęta i opiekował się nimi, toteż zainteresował się bardzo tą książką. Przeczytałam i opowiedziałam pierwszy rozdział, a potem zostawiłam na stole książkę otwartą w najciekawszym miejscu i... wyszłam z domu.

— Mama! — wołał za mną z balkonu Michał — mama! prędko wróć!

Ale ja się nie spieszyłam. Za to kiedy weszłam do pokoju po powrocie, nawet nie odwrócił głowy, tak był za-topiony w czytaniu. Obok leżał słownik. Podeszłam bliżej i kiedy już chwilę stałam obok niego, powiedział podno-sząc zaczerwienioną z emocji buzię:

— Okropnie ciekawe! Nie mogłem czekać, musiałem czytać!

To był przełom, punkt zwrotny. I tak jak martwiłam się przedtem, że nie można Miśka zapędzić do książek, teraz nie można go było od nich oderwać. Jak chłopcy w jego wieku, zaczął czytać książki przygodowe, później wo-jenne. Nieraz późnym wieczorem musiałam po prostu gasić światło, bo namowy nie pomagały.

Kiedy czytał, lubił, żebym blisko siedziała, bo co chwila pytał o wyjaśnienie znaczenia trudnego zwrotu lub wy-razu. Były w domu różne słowniki i encyklopedie, ale szukanie w nich zajmowało dużo czasu, a ciekawość nie pozwalała mu się oderwać od książki. Wołał więc często mnie i trzeba było szybko dać odpowiedź. Czasem, gdy chciałam mu wyjaśnić dokładniej, szerzej, wpadał w znie-cierpliwienie i wyłączał się w sposób bardzo prosty: spu-szczał wzrok. Kiedy indziej zaś sam z uporem grzebał w słownikach, a ja wiedziałam, że to bardzo pożyteczne i nie przeszkadzałam.

W końcu stycznia miały być rozegrane w Zakopanem zawody, w kotle Hali Gąsienicowej, a zjazd miał być z Ka-sprzewego Wierchu. Michał był najmłodszy, ale ze względu na jego umiejętności narciarskie i długie treningi po-zwolono mu wziąć udział w grupie juniorów. Tym razem tak się złożyło, że oboje z mężem byliśmy też w Zakopa-nem i zamieszkaliśmy w hotelu turystycznym na Kalatów-kach.

Michał pojechał razem z całą grupą i mieli się zatrzy-  
SS

mać w schronisku imienia księdza Stolarczyka. Bardzo chciałam zobaczyć te zawody i mojego chłopca, jak będzie się popisywał swoim „biodrowym stylem”.

W dniu zawodów sypał drobny śnieg i była zła widocz-ność. Zeszliśmy z Kalatówek do Kuźnic. Olgierd w jednej ręce trzymał aparat fotograficzny, a drugą przytrzyma-wał mnie, bo było ślisko. W Kuźnicach czekaliśmy dosyć długo, aż zobaczyliśmy wreszcie Michała, jak z całą swoją grupą juniorów przeciskał się do kolejki linowej. Nie wi-dział nas, bo był wielki tłok. Mignęła nam jeszcze raz jego głowa z blond kosmykiem nad czołem, a potem już widzie-liśmy tylko zwarty tłum sportowców.

Po pół godzinie ruszyliśmy i my do kolejki linowej. Wa-gonik miał komplet pasażerów i tylko my nie mieliśmy z sobą nart jadąc w górę, ale nastawieni byliśmy na przy-głądanie się, a nie na jazdę. Ja zresztą od czasu, jak syn skrytykował mnie, powiedziałam sobie, że już dość mam laurów narciarskich. Niedawno patrząc krytycznym okiem, jak ja rozważnie biorę

zakręty na niedużym stoku, przekładając nogę i ustawiając sobie narty w zamierzonym kierunku, Misiak powiedział: „Mama jedzie jak tramwaj”.

W czasie jazdy kolejką nic nie było widać, powyżej Myślenickich Turni wzmógł się wiatr i troszkę bujało. Na górze u wejścia do budynku stacji natknęliśmy się na Michała. Mierzył swój numer startowy. W chwilę potem zakręcił się i przepadł gdzieś, a my z Olgierdem zostaliśmy sami. Na grzebieniu górskim, na którym staliśmy, wiało przejmująco i czuliśmy się głupio stojąc tak bez nart, jak para zagubionych turystów. Nagle zjawił się Michał, już na deskach, w goglach i marusarce wciśniętej na czoło. Był bardzo zaaferowany i nie miał czasu z nami rozmawiać, rzucił tylko przez ramię w moją stronę:

— Pojadę wypróbować narty, czy dobrze nasmarowane!

— Misiu, sam? — zawołałam z niepokojem, przytrzymując go, aby popatrzył na moją twarz.

— Nee, jedzie kilku seniorów! — i już go nie było.

Zawróciliśmy więc z mężem pod dach i usiedliśmy przy szklance herbaty, aby skrócić oczekiwanie. Po pół godzinie zaczęliśmy się rozglądać, ale Michała wciąż nie było. Ogarnął mnie dziwny niepokój. Wstałam i zaczęłam krążyć po budynku. Nie widziałam nikogo znajomego,

T

99

wysłałam więc znów na zewnątrz. Mijali mnie właśnie narciarze, między którymi zobaczyłam znajomego trenera.

— Gdzie Michał? — zawołałam za nim. — Czy już staruje?

— Nie wiem, nie widziałem go! — odpowiedział.

Nie widzieli go również i inni.

Nie mogłam sobie później tego wytłumaczyć, ale jak na jakieś tajemne wołanie rzuciłam się w górę, w stronę ledwo widocznego obserwatorium astronomicznego na szczycie Kasprowego Wierchu. Schodki prowadzące wzwyż były zupełnie zawiane śniegiem i oblodzone, ale nie zważałam na to i pięłam się w górę, jak mogłam, nawet na czworakach. Na górze odwróciłam się i zobaczyłam, że Olgierd podążał za mną.

Na szczycie Kasprowego z trudem można było stać, taki był wiatr, ale w dół, na Goryczkową, roztaczał się rozległy widok, widoczność z tej strony była lepsza. Obłocze dawało pojęcie o ogromie odległości, w dali, poniżej poruszały się małe kropeczki — to byli narciarze. Podeszedł do mnie Olgierd i kiedy tak patrzyłam w dół, zapytał:

— Co chcesz robić?

— Idę w dół! — powiedziałam i nie czekając odpowiedzi pochyliłam się i poszłam zakosem.

Po kilku krokach zapadłam się głęboko i z trudem się wygrzebałam. Ostrożnie stawiając nogi znalazłam twarde śnieg i kilka kroków przeszłam szybko, ale to była trasa FIS II i zaczęli nas mijać narciarze. Wołali z gniewem, żeby im dawać tor, i musieliśmy odskakiwać na bok w obawie, żeby nas nie przejechali. Zapadaliśmy się, wyślizgaliśmy i brnęliśmy przed siebie, byle w dół, milcząc i spiesząc się.

Nagle zatrzęśłam się cała: obok nas przejechał ratownik ze znakiem GOPR-u, a tuż za nim minął mnie tobogan.

Przecież jeszcze nic nie wiem, skądże to przerażenie? Starłam się odepchnąć z siebie strach, niedobre przeczucie. Nie wiem, jak potrafiliśmy w tak szybkim tempie zawędrować na dół,

i to w tak ciężkich warunkach. Po drodze jednak nie widzieliśmy Miśka, choć od Hali Goryczkowej szliśmy nartostradą aż na sam dół. Już na Dolnych Kalatówkach spotkaliśmy kilku wczasowiczów idących do schroniska i zdawało mi się, że jedna z pań mówiła:

— Ale to był całkiem mały chłopiec, szkoda go!

W przerażeniu przyspieszyłam kroku.

W Kuźnicach na dole kilku zawodników „Kolejarza” zaapytało nas, czemu Michała nie było na starcie. Już bardzo zaniepokojeni znaleźliśmy wreszcie trenera, który na nasze zapytanie, co się stało z Michałem, popatrzył na mnie współczująco i powiedział:

— Złamał nogę.

Przełknęłam ślinę i zapytałam nieswoim głosem:

— Gdzie jest?

— W szpitalu.

Okazało się, że po spotkaniu z nami na końcowej stacji kolejki, kiedy to Michał oznajmił nam, że wypróbuje narty, natknął się na parę sportowców, seniorów, z „Kolejarza”, którzy właśnie wybierali się na „rozgrzewkę” przed startem.

— Jedź, Misiu, z nami! — powiedziała pani wyraźnie.

Pokiwał przecząco głową, ale i pan zachęcał.

— Chodź, pojedziemy razem, ty przecież dobrze jeździsz! — i zaczął mocniej naciągać kominiarkę na łysiejące czoło.

Michał popatrzył w dół, zjazd wydał mu się karkołomnie stromy, ale zaraz błysnęła myśl: ci państwo na pewno pomyślą, że on się boi, to znaczy, jest tchórzem. Nie mógł do tego dopuścić.

Nie namyślając się dłużej odbił się mocno i ostrym skretem bioder runął w dół, zostawiając po sobie wąski ślad nart. Wiatr go hamował i skręcając w prawo i lewo, jakby mijając słupki slalomowe, Michał czuł się w swoim żywiole. Wspaniale! Uważał, żeby nie stracić z oczu koleżków klubowych, i starał się jechać za nimi w niedużej odległości. Przed Halą Goryczkową trasa FIS-u II prowadziła przez las i kiedy wjeżdżał, wiatr od razu jakby ustał i zrobiło się ciepło. Narty szybko niosły i po bokach migały tylko ośnieżone świerki. Nagle między Halą Kondratową i Goryczkową zaczął się odcinek niezwykle trudnej drogi. Stromość, wyboje i tak zwane „muldy” — postrach zjazdowców. Nadmiernie posmarowane deski nabrały teraz szalonej szybkości i choć całym wysiłkiem starał się utrzymywać równowagę, w pewnym momencie uświadomił sobie z przerażeniem, że przestał panować nad sytuacją.

101

W górę, w dół, koleina, lód, nagły podskok i trzask w nodze, jakby pękła suchy patyk.

Złamałem! — przeraził się, ale nie czuł żadnego bólu i jeszcze chwilę jechał; nagły skręt w bok, gwałtowny obrót i piekący, ognisty ból ogarnął wewnątrz lewą nogę. Upadł. — Przepadły zawody — uświadomił sobie z rozpaczą.

Nadjeżdżający z góry narciarze zatrzymali się przy leżącym Michale i po chwili ktoś pomknął w dół, aby spróbować pomóc. Ktoś inny zdjął swoją wiatrówkę i podłożył mu pod plecy.

Czekał tak leżąc dobre pół godziny, ból w nodze potęgował się. Wreszcie nadjechało Górskie Pogotowie Ratunkowe. Młoda, okrągła twarz ratownika uśmiechała się do Misia życzliwie, kiedy ostrożnie i wprawnie unieruchomiła złamaną nogę na drucianej szynie. We dwóch przenieśli go na tobogan i zwieźli na dół.

Karetka pogotowia zawiozła go do szpitala i tu ogarnęło go niemiłe uczucie lęku przed tym, co go teraz czeka. Duża sala, pośrodku której stał stół zabiegowy. Białe ściany, lampy, dużo ludzi naokoło patrzących na niego. Szafki z różnymi przyrządami chirurgicznymi, zupełnie jak w sali tortur.

Po obejrzeniu zdjęć rentgenowskich położono Michała na stół zabiegowy. Trzeba było złamaną nogę nastawić i naciągnąć. Masywnej postawy felczer uchwycił go mocno pod pachy, a lekarz zaczął nastawiać nogę. Pot spływał mu po twarzy i plecach i zdawało się, że jest u kresu wytrzymałości. Wstrzymał oddech i jeszcze mocniej zwarł wargi. „Muszę, muszę wytrzymać”, powtarzał w myśli.

Na szczęście sprawne ręce lekarza kończyły już pracę.

— Aleś wytrzymały, bracie! Zuch! — pochwalił chirurg podnosząc głowę.

Kiedy weszliśmy do korytarza prowadzącego do ambulatorium szpitala, akurat drzwi się otworzyły i pielęgniarki wynieśli nosze, na których leżał Michał. Twarz miał czerwona jak burak i mocno zaciśnięte usta. Wzrok jego nagle padł na nas, rozjaśnił się cały.

Musieliśmy przedłużyć nasz pobyt w Zakopanem. Zima zrobiła się śliczna, śnieg leżał grubą warstwą na gałęziach

102

drzew, a z naszego okna na Kalatówkach rozciągał się przepiękny widok na iskrzące się w słońcu błękitnobiałe szczyty górskie. Temperatura spadła do  $-30^{\circ}\text{C}$ , autobusy miejskie nie wyjechały z bazy. Poszliśmy więc pieszo przez całe Zakopane, hen, na sam koniec miasta, gdzie na Ciągłowiec znajdował się szpital.

Pokoik Michała w szpitalu był mały i wąski. Z lewej strony pod oknem leżał Miś, naprzeciw niego młody chłopak o różowej, szerokiej twarzy, a na trzecim łóżku przy drzwiach siedziało dwóch mężczyzn grając w karty. Jeden z nich miał rękę na temblaku, a drugi obandażowaną głowę.

Michał miał bardzo żaloszny wygląd i skarżył się na ciężką, nie przespaną noc.

— Bool — mówił niewyraźnie — niefkotnie (niewygodnie). Rzeczywiście, leżał na twardej desce, z tułowiem pochylonym na dół, tak, by noga w gipsie była wyżej.

Niewiele mogliśmy mu pomóc, ale ucieszyliśmy się widząc, z jaką życzliwością zwracają się do synka i siostry, i młodziutkie praktykantki, a przede wszystkim ci mężczyźni, którzy byli z nim razem w pokoju.

— To też zawodnik, Sieczka! — objaśniał nas kilka dni potem Michał pokazując oczyma na leżącego obok młodzieńca.

— On ma już dziewiętnaście lat! Skakał z Dużej Krokwki i upadł. Złamał kość biodrową i coś jeszcze, niewm.

— Nie wiem — poprawiłam bezgłośnie.

— Dałabyś mu spokój z wymową, kiedy chory — szepnął mąż.

— A to Galica — Michał pokazał starszego górala z ręką na temblaku. — On był na wojnie pod Monte Cassino i Narvikiem! Brygada Podhalańska!

Popatrzyliśmy na niego, a ja zapytałam:

— Co się stało panu w rękę?

Odwrócił się w naszą stronę i zobaczyliśmy pooraną bruzdami ciemną twarz i wesołe, małe oczka.

— A to z WOP-u postrzelili.

— Jak to, za co? — Zdziwiłam się, a góral powiedział:

— E dyj za nic, sełek se z kijockiem w rence bez oborę, może trochę w ik stronę, a oni strzelili i przestrzelili.

103

Od słowa do słowa wyjaśniło się, że w Kościeliskiej była akurat zabawa i oczywiście picie, a następnie kłótnia. Przechodzący patrol z WOP-u przystanął przy bramie i wtedy to rzekomo nastąpiło. Nie bardzo jeszcze rozumiałam i wydawało mi się to nieprawdopodobne, więc zapytałam:

— To znaczy biegł pan sobie tylko z kijkiem, a oni strzelili? Co to był za kij, duży?

— Ee, dyselek od woza — wyjaśnił lekceważąco i machnął zdrową ręką.

Nie dochodziliśmy, ile było w tym opowiadaniu prawdy.

— Pan zawsze wesoły! — opowiadał nam cichutko Michał. — A w nocy idzie na spacer!

Podobno ten góral potrafił sobie tylko znanym sposobem co wieczór ulotnić się na noc i rano przed wizytą lekarzy zjawić się jak gdyby nigdy nic.

W każdym razie Michał w szpitalu się nie nudził, od-wiedzali go chodzący pacjenci, był tu najmłodszy i znali go wszyscy. Często przychodziła — wspierając się na kulach — śliczna dziewczyna góralska z czarnym warkoczem.

— Kiedy wstanes, Misiu? Nie lezże, ba wstaj! — mówiła uśmiechając się i dodawała z humorem: — Ty jesteś teraz mój chłopiec, Misiu! Nie wis, ze misie siedzą w górak? No! Będziemy teraz chodzili ze sobom po Krupówkach... ale mi dziwcenta bedom zazdrościły kawalera!

— i zaśmiewała się sama przy tym.

Michał też śmiał się i chociaż nie rozumiał niektórych jej słów, domyślał się treści i lubił, jak przychodziła. Siedział przy nim na łóżku i grali z sobą w sześćdziesiąt sześć.

Przynosiliśmy mu gazety i z zapalem śledził wiadomości sportowe. Odbływały się właśnie mistrzostwa hokejowe między Kanadą i Związkiem Radzieckim i kiedy głośniki radiowe podawały informacje, wszyscy zastygali w milczeniu i słuchali, a Michał wisiał oczyma na ustach młodego Sieczki. Co pewien czas góral zwracał twarz w jego kierunku i króciutkim zdaniem go informował. Rozumiał zainteresowanie chłopca, wszyscy zresztą pasjonowali się tym meczem, gdyż Kanada była wówczas potęgą w hokeju.

Tymczasem my na Kalatówkach byliśmy wieczorami jak gdyby zupełnie odcięci od świata, z którym łączyło nas tylko radio i telefon. Któregoś wieczoru, a było już chy-

104

ba po dziesiątej, siedzieliśmy przy brydżu i właśnie zastanawiałam się, czy zaryzykować wyjście spod króla, kiedy w drzwiach ukazał się portier i powiedział:

— Telefon do pani Domańskiej, szpital dzwoni.

Pobiegliśmy oboje z mężem, co tu ukrywać, mocno zaniepokojeni. W telefonie wysoki kobiecy głos po upewnieniu się, że to pani Domańska, chwilę się zawahał, a potem ku mojemu zdumieniu usłyszałam chichot.

— Bo tu pani syn... chi-chi! prosi... Chi-chi! — żeby pani mu przyniosła jutro kabanosy!

Nazajutrz wymawiałam Miśkowi, że nas przestraszył tym późnym telefonem, ale on wyjaśnił, że już dłużej nie mógł wytrzymać; Galica bowiem stale ze swoich wycieczek nocnych przynosi wspaniałe, pachnące kabanosy i zajada potem z apetytem, częstuje wszystkich, a jakże, ale on się krępuje i chciałby zjeść chociaż raz duży kawałek.

Noga się dobrze goiła, a Michał nie narzekał na pobyt w szpitalu. Poznał nowych ludzi, poszerzył swoje wiadomości o świecie i nawet zawarł nowe przyjaźnie.

W rok potem będąc z synem znów w Zakopanem na jakiejś wycieczce wstąpiłam do baru mlecznego, aby coś zjeść naprędce. Misiiek podszedł do okienka odebrać porządku, a ja zajęłam miejsca przy stoliku.

Po chwili nadszedł trzymając dwa talerzyki w rękach. Popatrzyłam zdumiona, że przyniósł takie kopiaste porcje kaszy gryczanej.

— Podwójne kupiłeś?

— Nieee, aale ja w tym barze zawsze dostaję dużo, tu teraz pracuje moja koleżanka Marysia.

— Jaka koleżanka?

— A ta, z którą byliśmy razem w szpitalu!

Noga dobrze złożona zrosła się świetnie i kiedy w następnym roku miały się odbyć zawody w Krynicy, Michał został wytypowany jako zawodnik w grupie juniorów. Był z tego dumny i zapewniał mnie, że tym razem nic się nie stanie. Jest już dużym chłopcem i przyrzeka, że będzie ostrożny. No, i przecież trenował często.

Były to narciarskie mistrzostwa krakowskiego okręgu Polskiego Związku Narciarskiego.

Wyjeżdżał na dwa dni. Tym razem odprowadziłam go

105

na dworzec, choć na ogół unikałam tego, żegnając się z nim w domu. Wiedziałam, że chłopcy w tym wieku boją się jak ognia okazywania czułości w publicznych miejscach, toteż i teraz nie pocałowałam go, kiedy wsiadał do pociągu.

Wyglądał szykownie w granatowym narciarskim ubranku, które z takim mozołem uszyłam, podziwiając cierpliwość Miśka podczas niezliczonych przymiarek.

Po przyjeździe do Krynicy Michał dowiedział się, że jako teren zawodów wyznaczono Dolinę Jaworzynki.

Stok góry, na którym wytyczono trasę, wydał mu się wysoki i stromy. Zaczął wraz z innymi trening slalomowy, zapoznając się z terenem, w niedługim jednak czasie przepędzono ich, bo trasa była już przygotowana i zawody miały się zaraz zacząć. Najpierw startowały kobiety, potem seniorzy, a dopiero na samym końcu juniorzy. Dla ich grupy skrócono trasę.

Decydujący moment się zbliżał i Miśkowi zaczęło mocniej bić serce. Poczłł nieoczekiwanie wielką tremlę.

Sędzia zbliżył się z uśmiechem.

„On wie, że nie słyszę!” mignęła myśl, kiedy poczuł lekkie pchnięcie ręką.

Mocno się odbił i nabrał szybkości.

Ostry prąd powietrza zatamował oddech i w tym szybkim pędzie jakby zmiotło ze świadomości chłopca wszystko, co nie było jazdą. Było tylko zadanie, które miał wykonać, przeszkody, które należało ominąć, i wiedział, że nie wolno mu upaść. Był cały w akcji. Jego wola, uwaga i mięśnie nakierowane były na jak najszybsze pokonanie trasy.

Przejechał metę uszczęśliwiony, że nie miał ani jednego upadku. Chociaż nikt mu nie mówił, wiedział, że następnii chłopcy jechali za nim ze zmiennym szczęściem i że mieli upadki. Cieszył się, że przejechał trasę tak, jak sobie zaplanował.

Wieczorem w biurze zawodów wywieszono wyniki. Michał zbliżył się do ściany i przeczytał:

**PIERWSZE MIEJSCE W KLASIE JUNIORÓW GRUPY A UZYSKAŁ**

**MICHAŁ DOMAŃSKI** Długo stał i patrzył. Zalewało go radosne uczucie dumy.

106

A kiedy w Krakowie przyszedł na kolejne wtorkowe zebranie do klubu, wszyscy członkowie byli w komplecie.

I juniorzy, i seniorzy, i działacze, wszyscy patrzyli z uśmiechem na Michała i każdy podchodził z wyciągniętą ręką, aby mu pogratulować.

A potem życie nasze się skomplikowało, bo dziadzio złamał nogę w biodrze i leżał, a po kilku miesiącach babcia została sparaliżowana na skutek wylewu do mózgu.

Absorbujące zajęcia pielęgniarские utrudniały naszą wspólną pracę z Michałem, a kiedy jeszcze sama zwalałam się z nóg, bo po przechodzonej grypie wywiązało się zapalenie płuc, biedny Misio dwoił się i troił, aby wszystkie-mu podołać.

Zaczęła się dla niego ciężka praca. Lekcje, zakupy, gotowanie i lekarstwa, o których trzeba było pamiętać i wszystkim na czas podawać, to było za dużo. Uwijał się szybko, świadomy swojego obowiązku i obecnej ważności. Co chwila przychodził do mnie pytając, czy czegoś mi nie potrzeba lub co zrobić dziadkom.

Mąż ostatnio ciągle wyjeżdżał służbowo, gdyż w tym czasie prowadził rozruch zakładów przemysłowych na Mazurach. I tym razem nie było go z nami. Zaalarmowany w krytycznej chwili, wrócił pospiesznie i zajął się domem.

Po kilku dniach trudności zaczęły przerastać i Olgierda, tym bardziej że nie mógł się zwolnić na dłużej ze swoich obowiązków służbowych. To był ciężki okres dla niego i dla nas wszystkich.

Michał po lekcjach z przejściem pomagał ojcu, najchętniej w gotowaniu. Kupował mielone mięso i według moich wskazówek robił kotlety. Przynosił mi pokazać, czy dobrze to robi, a ja z trudem opanowywałam śmiech i w ślad za nim kaszel na widok rozsmarowanej odrobiny mięsa w ogromnej misce i grubo, zamasyście pokrajanej cebuli.

Rękawy koszuli miał fachowo zawinięte, a mój fartuch pałętał mu się koło nóg.

Jakże tu było nie zdrowieć szybko?

To było już pod koniec siódmej klasy. Michał wrócił do domu bardzo niezadowolony.

207

— Pani powiedziała, że trzeba się tego nauczyć na pamięć, tak jak to pani napisała, a nie tak, jak to tatuś powiedział.

— Przecież sens ten sam, tylko łatwiej... — zmartwiłam się, ale Michał mi przerwał:

— Powtórzyłem słowa taty, że wystarczy, jak ja to powiem swoimi słowami, najważniejsze, że to rozumiem. A pani powiedziała: „Głupstwa twój tatuś mówi! Masz umieć tak, jak to podałam”. Aale ja się tego nigdy nie nauczę! To niemożliwe!

— Wyprowadź Peluta na dwór, on już dawno się na-prasza — zmieniłam temat, a kiedy wyszedł z psem, zaczęłam się zastanawiać, co zrobić.

Rzeczywiście, formułek do nauczenia się na pamięć było dużo i naprawdę nie rozumiałam, dlaczego nie można w przypadku Misia ich uprościć, nie zmieniając sensu. W matematyce najważniejsze jest chyba zrozumienie tego, czego się trzeba nauczyć, a nie wkuwanie na pamięć...

Kiedy wrócił mąż, a Michał nieopatrznie powtórzył wypowiedź nauczycielki, wybuchła w domu burza i z trudem udało mi się przekonać Olgierda, że lepiej będzie, jeśli ja pójdę do szkoły wyjaśnić sprawę, a nie on.

Nazajutrz pani P. zapowiedziała mi surowo, że nie da promocji Michałowi, jeżeli nie będzie umiał na pamięć formułek, i to dosłownie. Na moje nieśmiałe uwagi, że może wystarczyłoby, gdyby to powiedział własnymi słowami i żeby to przede wszystkim rozumiał, no bo przecież ma tyle trudności... usłyszałam odpowiedź:

— Oo, proszę pani, inne dzieci mają o wiele większe trudności, a Michałowi tylko się nie chce popracować. Uczę w domu jednego chłopca, który ma przyrośnięty język! Ten, to dopiero ma trudności, a żeby pani widziała, jaki jest pilny!

Pomilczałam chwilę i zapewniłam nauczycielkę, że Michał będzie umiał. Czy miałam tłumaczyć, że trudno jest porównywać przyrośnięcie języka do głuchoty?

Wkuwaliśmy więc oboje zacisnąwszy zęby. W końcu chyba umieliśmy; ja w każdym razie budziłam się rano z formułą na ustach.



Michał wreszcie wydukał swoją lekcję w klasie, ale finał naszej nauki był niezbyt miły, przynajmniej dla mnie.

108

Następnego dnia koledzy Michała śpiewająco wydawali lekcję, trzepiąc na pamięć wykute zdania, czemu się on przyglądał z pewną zazdrością. A po lekcji napisał swoje spostrzeżenie na tablicy: „Wszyscy jesteście papugami!”

No, a pani weszła do klasy i przeczytała.

Miałam za swoje. Gdy podniosłam słuchawkę telefonu, usłyszałam, że moje dziecko to typ patologiczny, pozbawiony uczuć wyższych, złośliwy, co jak wiadomo cechuje dzieci głuchonieme, i że pani ma już go najzupełniej dość.

Potakiwałam, przepraszałam, obiecywałam poprawę. W końcu burza przycichła, ale napięcie mojego systemu nerwowego znalazło też ujście i musiałam się położyć zgięta atakiem woreczka żółciowego.

Michał w domu tłumaczył nam, że bardzo go rozbawiło to, że koledzy terkotali jak karabin maszynowy, a zapytani przez niego, czy to dobrze rozumieją, odpowiadali: „Po co?

Wystarczy wykuć na blachę i będzie piątka!”

— A przecież papuga też nie rozumie tego, co powtarza, prawda, mamusiu? — dopytywał przynosząc mi termofor z gorącą wodą, który przykładałam na brzuch. Był szczerze zmartwiony, a ja nawet nie czułam się na siłach wyjaśniać mu niestosowność jego postępków. W ciągu całego roku ponawialiśmy rozmowy na temat wyboru zawodu. Michał nie był zdecydowany, a potem zaczął się napierać, że chce iść do liceum ogólnokształcącego.

— Wszyscy koledzy z naszej klasy będą zdawali egzamin do liceum, ja też chcę, ja nie jestem gorszy! — mówił.

— Misiu, liceum jest trudne, będzie dużo nauki, a ty nie jesteś zbyt pilny — perswadowaliśmy mu, ale to nie poma-gało.

— Ja chcę iść do liceum, ja będę się uczył! — powtarzał ciągle, aż wreszcie postanowiłam udać się do dyrekcji szkoły, zasięgnąć rady.

Ulica Westerplatte 11, budynek szkoły nieco cofnięty od ulicy, po drugiej stronie Planty. To miejsce było mi dobrze znane. Ileż to razy ukryta za drzewami czekałam na Michała drząc z niepokoju, czy nie było jakiegoś konfliktu w szkole, czy nie pobił się z kolegami, czy nie nadużył cierpliwości którejś z nauczycielek... Planty były odgro-dzone od chodnika nisko umieszczonym drutem, ale nie-

109

cierpliwe nogi uczniów wydeptały nielegalną ścieżką na skrót. Nieraz i ja ułatwiałam sobie w ten sposób drogę, ale dziś lojalnie przeszłam naokoło.

W szkole były akurat lekcje i na korytarzu panowała wyjątkowa cisza. Stałam przed gabinetem dyrektora, aby się skupić i uspokoić. Na ogół robię wrażenie pewnej siebie i dość śmiałej, ale nikt nie wie, ile mnie kosztuje zabranie głosu w dużym gronie lub załatwianie sprawy z kimś obcym. I tutaj biło mi serce. Czułam, że od rozmowy w tym gabinecie będzie zależał dalszy los mojego dziecka. Zapukałam.

W gabinecie był dyrektor i jego zastępca. Obydwaj młodzi, a ich uprzejmość i prostota w obejściu ułatwiły mi szybkie opanowanie się i rozpoczęcie rozmowy. Kiedy skończyłam mówić, co mnie tu sprowadza, dyrektor odchylił się na krzesło i zastanowił.

Patrzyłam na jego pociągłą twarz o wyrazistych, regularnych rysach. Przesunął ręką po ciemnych włosach i spoj-rzał na mnie.

— Mówi pani, że chłopak chce się dalej uczyć? — zapy-tał.

— Ale czy da sobie radę? Program liceum nie jest łatwy, to nie szkoła podstawowa! — włączył się zastępca dyrektora. — Ja znam dzieci głuche i wiem, ile trudności muszą

pokonywać w nauce. Znam problem — argumentowałam spokojnie. Spod ciemnych brwi patrzyły na mnie przenikliwie bardzo jasne, szare oczy.

Przemknęło mi przez myśl, że tymi oczyma potrafi wydobyc z ucznia całą prawdę.

Siedzieliśmy przy małym stoliku po prawej stronie drzwi, lekcje jeszcze trwały, było cicho.

Po chwili dyrektor nachylił się i powiedział wolno, dobitnie:

— A ja jestem zdania, że jeśli chłopak chce się dalej uczyć, to dać mu szansę!

— Ja nie oponuję, a tylko zwracam uwagę na trudności i wysiłek, na jaki będzie musiał się zdobyć w ciągu następnych lat. Czy starczy mu wytrwałości? A jeżeli nie da sobie rady?

— rzucił zastępcę.

— Myślę — powiedział dyrektor — że da sobie radę, tym bardziej że sam tego chce. Cóż, zrezygnować zawsze będzie mógł, ale nie myślę, żeby do tego doszło. Jeżeli jest na tyle ambitny, że po skończeniu szkoły podstawowej pomi-

110

mo swoich trudności chce iść dalej, razem z całym zespołem klasowym, to moje zdanie jest takie: nie można zamykać mu drogi! Niech próbuje!

Dyrektor skończył.

Wyszłam z gabinetu oszołomiona. Po raz pierwszy nie ja kogoś przekonywałam w sprawach dotyczących mego syna.

Egzamin do liceum ogólnokształcącego kosztował wiele nerwów nie tylko zdających i ich rodziców. Wśród nauczycieli widać było również stan napięcia. Denerwowała się zwłaszcza matematyczka, która pomimo pozorowanej surowości miała czułe serce i obchodził ją mocno los wychowanków.

Egzamin ustny z matematyki budził u wszystkich niepokój, ale nie u Michała. Ponieważ nie był asem w matematyce, z konsternacją patrzyłam na jego spokojną twarz, jak z lekko uniesioną górną wargą obserwował gołębnie na dachu szkoły. Staliśmy przed budynkiem, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Dotknęłam jego ramienia, aby na mnie spojrzął.

— Misiu, może byś powtórzył sobie — zaczęłam, ale on mi przerwał:

— Spokojnie, mama, nie denerwuj się. — I znów wzrok skierował w górę.

Nie mogłam tego zrozumieć, bo kiedy ja zdawałam egzaminy, denerwowałam się okropnie przed każdym, aż do chwili, gdy siadałam naprzeciw profesora. Może Misiu udaje spokój?

Ale chyba nie...

Gdy przyszła jego kolej, obciągnął jednym ruchem swój granatowy mundurek i poszedł.

Jedna z nauczycielek opowiadała mi potem ze śmiechem, jak Michał rozbawił całą komisję egzaminacyjną swoim filozoficznym spokojem.

Kazano mu napisać temat na tablicy. Napisał. Stał odwrócony do tablicy, patrzył i zastanawiał się. Wszyscy czekali. Wreszcie matematyczka nie wytrzymała nerwowo i potrząsając Michała za ramię zaczęła dopytywać, czy on rozumie, o co chodzi w zadaniu.

Trzeba było widzieć tę scenę: nauczycielka średniego wzrostu, dość tęga, żywo gestykulująca i wysoki, szczupły blondynek patrzący na

111

nią ze spokojem i jakby pewną wyrozumiałością. Po chwili odwrócił się i zaczął pisać.

Zadanie zrobił dobrze. Inne egzaminy też zdał. Został przyjęty do liceum.

Dostaliśmy nieco większe mieszkanie na Zwierzyńcu i przeprowadziliśmy się. Powietrze było tu o wiele lepsze niż na Grzegórkach, nie było w pobliżu fabryk. Wprawdzie do szkoły

Misiu miał nieco dalej, ale dojazd tramwajami był wygodny.

W liceum byli inni nauczyciele, inne twarze, o innym układzie warg. Szkoła słynęła z dobrych pedagogów, poziom był wysoki. Żyłam w ciągłym niepokoju, czy Michałowi nie

będzie zbyt trudno, czy nie narazi się któremuś z nauczycieli, czy będzie wszystkich dobrze rozumiał. Lekcji było dużo, a tematy jak na możliwości Michała niełatwe. Na przykład Legenda o świętym Aleksym.

Tekst był taki, że wiele słów musiałam tłumaczyć, nie raz sama zaglądając do słowników. Język staropolski dał nam się mocno we znaki, tym bardziej że Michał absolutnie nie mógł pojąć celowości studiowania tego wiersza. Uważał, że można by z pożytkiem o wiele lepszym spędzić czas, który my poświęcamy na tak mozolną, a niepotrzebną według niego naukę. Tłumaczyłam mu, że jest to zabytek średniowiecznej polszczyzny, że każdy inteligentny Polak powinien orientować się w historii swego języka ojczystego, ale nie na wiele się to zdało. Nie mogłam wykrzesać z niego zainteresowania i dlatego tak nam to kiepsko szło.

Bywało też niedobrze i na lekcjach. Programy były przeładowane, wiadomości dużo. Grono nauczycielskie z całym zrozumieniem i sympatią odnosiło się do Michała. W czasie lekcji każdy z wykładowców starał się mówić wolniej i wyraźniej, z twarzą zwróconą do niego. Byłam za to wdzięczna.

Cóż, kiedy nieraz z oburzeniem mówiono mi o niedopuszczalnych jego wybrykach. — Proszę pani, ja tu się męczę, staram mówić wyraźnie, tak żeby mnie widział, a on siedzi z opuszczoną głową. Podchodzę, i wie pani, co on robi? Czyta „Sportowca”! Ma na kolanach gazetę i najspokojniej w świecie czyta sobie! Dobrze, co?

112

ówki

I

Misio po zjeździe z Gubała  
Michał z ojcem w Krościenku

Uff. iSEm^f\

Po uzyskaniu rekordu świata na olimpiadzie niesłyszących

Z pucharem WKS „Wawel” otrzymanym za mistrzostwo w NRD

W domu gorzko to wymawiałam Michałowi, ale on mi odpowiadał krótko:

— Byłem zmęczony.

Po pewnym czasie skojarzyłam sobie, że takie „lenistwo” zdarza się memu synowi przeważnie na ostatnich godzinach, kiedy wzrok jest już bardzo zmęczony nieustannym śledzeniem ruchu warg, a uwaga nie może być przecież bez przerwy napięta...

Trudno sobie zdać sprawę z wysiłku, na jaki musi się zdobyć niesłyszący chłopiec w czasie lekcji w normalnej szkole, siedząc wśród pełnosprawnych kolegów.

Obserwuje uważnie ruch warg nauczyciela, drganie połączków i nosa, nie zawsze jednak udaje mu się uchwycić wątek lekcji. Wystarczy, żeby nauczyciel raz się odwrócił.

Opuszczone zdanie nie pozwala często na zrozumienie następного, uwaga się rozprasza i godzina jest stracona. Michał miał dużą wprawę w odczytywaniu mowy z ruchu warg. Opowiadał mi, że niekoniecznie musi nauczyciel pa-trzeć wprost na niego, żeby go rozumiał. To przecież nie byłoby możliwe w klasie, gdzie jest tyle dzieci. Może pa-trzeć w górę, może odwracać głowę na bok. Trudno natomiast zrozumieć, jak pochyla głowę w dół, bo wtedy nos zasłania usta.

— To zależy jaki nos, duży, czy mały — dodawał po na-myśle i śmiał się. — Aale, wsyto jedno, w dół trudno, często nie rozumiem.

— 'Wszys-t-k-o jedno.' Mów wyraźniej! — poprawiałam, a on cierpliwie powtarzał, starannie wymawiając spółgło-ski i akcentując samogłoski.

Na wszystko jednak błagałam Michała, żeby nie czytał swoich sportowych gazet w czasie lekcji, bo to naprawdę słusznie denerwuje nauczycieli. W porozumieniu z peda-gogami — jak i poprzednio w szkole podstawowej — za-częliśmy w domu przerabiać wcześniej materiał, który miał być omawiany na lekcji. Pomagało to bardzo, zwłaszcza w języku polskim. Matematyką i fizyką zajął się tata.

I tak jak kiedyś, na początku, w czasie wywoływania dźwięków i zmu-dnych ćwiczeń wymowy nasz tata wolał wychodzić i nie siedzieć przy nas, tak teraz z kolei ja uni-kałam lekcji Olgierda z Michałem. Bywały nieraz drama-tyczne, obfitowały w wybuchy tak z jednej, jak i drugiej

8 — Los w rękach twoich

113

strony. Zaczynało się zupełnie ładnie i spokojnie: obydwaj byli pełni dobrej woli. Michał czytał zadaną lekcję.

— Wykres funkcji, która kątowni X różnemu od niepa-trzystej wielokrotności kąta prostego przyporządkowuje Y, równa się tangensowi X.

— Nie równa się, a równe tangensowi X — poprawiał mąż.

— Równe tangensowi X — powtarzał Michał — nazy-wamy tangensoidą. Tatusiu, co to znaczy przyporządko-wuje?

I Olgierd mozolnie tłumaczył zawiłości tekstowe. Wycho-dziłam z pokoju, kiedy zaczynały się głośniejsze tłumacze-nia. Ale wkrótce dochodził do mnie pełen irytacji głos Olgierda:

— Krew mnie zalewa, przecież ten chłopak nic nie my-śli! Uwważaj, co ja mówię!

Szuranie krzesła po podłodze było oznaką, że Michał się obraził i rezygnuje z lekcji, a moje wejście często wzma-gało tylko gniew ojca.

— Daj nam spokój, dobrze? Nie przeszkadzaj!

Więc znów wychodziłam.

Po lekcji, dla odprężenia, wszyscy troje szliśmy na nie-daleki spacer, na tak zwane łąki. Za naszym blokiem teren był wówczas jeszcze nie zabu-dowany i w kierunku terenów sportowych „Wisły” znaj-dowały się niewielkie poletka zboża, stało kilka domków otoczonych ogródkami. Powietrze było tu dobre, wydawało się, że jesteśmy prawie na wsi. Naprzeciw naszego domu był szpital kolejowy, za nim znajdował się placyk zarosnięty czarnym bzem i wysokim łopianem. Trochę dalej rosła brzoza, a przy niej często pał się duży czarny koń. Mijaliśmy jeszcze parę zagonków ka-pusty i dochodziliśmy do szeregu dwupiętrowych domków, za którymi było już pole. Ostatni z tych domków miał nad bramą płaskorzeźbę, która przykuła mój wzrok. Przysta-nełam: wyrzeźbione były tu dwa walczące koguty stojące do siebie bokiem nos w nos, z nastroszonymi piórami.

— Co mi to przypomina? — zapytałam śmiejąc się. —

Jak myślicie?

Tata i Misio spojrzeli po sobie.

— Lekcje matematyki! — odpowiedzieli bardzo wesoło.

114

— Domański Michał! — profesor Stefanów powtórzył wyraźnie i Michał wstał w ławce. — Proszę, proszę bliżej — ruch ręki nauczyciela pomógł Michałowi zrozumieć, że ma wyjść z ławki i podejść do tablicy. Podszedł do niej i utkwiał uważny wzrok w twarzy profesora. — Powiedz mi, proszę, co wiesz o sieci rzecznej w Polsce — padło pytanie.

— Sieć rzeczna w Polsce? — upewnił się Michał i na potakujące skinienie głowy wyprostował się i zaczął odpowiadać. Umiał to. Mówiąc starał się nie patrzeć na klasę, bo ciągle poruszające się głowy kolegów rozpraszały go, a patrząc na twarz nauczyciela i widząc uśmiech aprobaty skupiał się i przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły przygotowanej lekcji.

— No, dziękuję ci, widzę, że się dobrze nauczyłeś, masz piątkę — odczytał z warg nauczyciela i pełen radości i pewności siebie wrócił na miejsce.

Siadając szturchnął po przyjacielsku Krzysia, aż ten odwracając do niego twarz z opadającą grzywką na oczy wykrzywił się i powiedział bezgłośnie, ale bez większych pretensji:

— Odwal się.

Lubili się przecieź.

Tymczasem odpowiadali inni. Michał odwracał się, żeby widzieć ich odpowiedzi, bo tym razem nie byli wywoływani do tablicy, ale odpowiadali z miejsca. Pozwalano mu na to, gdyż inaczej nie mógł śledzić jednocześnie pytań profesora i odpowiedzi uczniów.

Do domu wrócił zadowolony i od razu pochwalił się piątką z geografii (ciągle był z niej przodujący). Cieszył się zawsze widząc błysk radości w moich oczach i lubił, kiedy go chwaliłam. Ale wieczorem przy odrabianiu lekcji i sprawdzeniu, że nazajutrz jest znów geografia, zwróciłam uwagę, że nie uczył się jej.

— Po co? — otworzył szeroko oczy. — Przecieź pan już mnie pytał! Mam piątkę! Mam już spokój.

— Nie! Uczyć się trzeba na każdą lekcję. A co będzie, jak pan jutro znów ciebie zapyta? Dwójka!

— Aależ, mamsiu, nie zapyta, na pewno!

— No, ale zrób to dla mnie, kochanie, naucz się i dziś — prosiłam, więc choć niechętnie, ale zabrał się do nauki. To była moja stara skuteczna metoda namawiania, „na miłość”.

115

Nazajutrz, zaledwie nauczyciel geografii wszedł do klasy i otworzył dziennik, powiedział lekko się uśmiechając:

— No, Domański, zobaczmy, czyś ty spoczął na laurach po wczorajszej piątce, czy też nauczyłeś się lekcji.

A później w domu Michał z przejęciem mówił:

— Ty, mama, masz zawsze rację! Jak to dobrze, że nauczyłem się! Mam znów piątkę! Mamsiu, mów, mów, skąd ty wiedziałaś, że pan mnie dziś zapyta?

To był nauczyciel z prawdziwego zdarzenia. Lubiąc młodość i rozumiejąc ją, wymagał wiele, ale cieszył się jej zaufaniem i potrafił nawiązać z nią kontakt. Nieraz tak mówił w klasie:

— Nie jest to ani w moim interesie, ani w waszym, bym stawiał dwójke. Jak nie nauczyliście się, po co mieliście mnie czarować? Każdy z was ma prawo trzy razy

w kwartale zgłosić mi przez dyżurnego, że się nie przygotował.

Michał nie należał do zbyt pilnych, ale miał z tego przedmiotu zawsze dobre stopnie. Aż raz przyszedł do domu w bardzo złym humorze. Ostentacyjnie rzucił teczkę, a widząc mój pytający wzrok zaczął:

— To jest niesprawiedliwe! Wszyscy podpowiadają, wszystkim podpowiadają, a mnie nie wolno!

A było tak: Michał zżył się z klasą, należał do czołówki młodzieży biorącej udział we wszelkich psikusach i kałwałach, był przy tym koleżeński i lubiany. Jego przyjaciele szybko się zorientowali, że Miśkowi można podpowiadać bezgłośnie, samymi ruchami warg.

I znów podczas geografii Michał stał przy tablicy i odpowiadał. Mówił powoli, z namysłem. Nagle profesor mu przerwał:

— Słuchaj, Michał, coś mi się wydaje, że ty takie zbyt mądre spojrzenia rzucasz na kolegów. Odwróć no się tyłem do klasy.

Michał odwracał się bardzo niechętnie i powoli. Okazało się wtedy, że nie przygotował lekcji. Od tej pory odpowiadał odwrócony tyłem do klasy.

Zdarzało się i tak, że wywołany do odpowiedzi udawał, że nie zrozumiał pytania. Wtedy profesor Stefanów świdrując go oczyma powtarzał jeszcze raz, a Michał zastańnawiając się mówił:

— Nie pamiętam.

116

Ale nauczyciel przypierał go do muru:

— Nie pamiętasz, czy nie nauczyłeś się? Michał schylał się ku niemu i mówił szeptem:

— Nie nauczyłem się.

— Daję ci dwójkę z plusem — mówił poważnie nauczyciel — plus za to, że przyznając się zaoszczędziłeś czasu mnie i klasie!

Michał cenił sprawiedliwe podejście profesora i lubił go bardzo. Wiedział, że jeżeli chce mieć dobry stopień, nauczyć się musi, bo nie ma na to innego sposobu, ale rozumiał i czuł to, że profesor wierzy w jego możliwości i nie robi mu krzywdy.

Historię wykładał profesor Prochyra. Michał mi o nim dużo opowiadał żaląc się, że bardzo często go pyta. Tłumaczyłam, że to bardzo dobrze, gdyż nie pozwala na leniuchowanie i zmusza w ten sposób do podciągania się w górę.

Któregoś dnia będąc w szkole zobaczyłam tego profesora. Był to mocno zbudowany mężczyzna o szerokiej, sympatycznej twarzy. Zwróciłam się do niego prosząc o parę wskazówek.

— Pytam Michała tak często, bo chcę zmusić go do systematycznej pracy. Myśląc już teraz w ósmej klasie o egzaminie maturalnym, chciałbym przygotować do niego Michała przez umiejętność problemowego ujmowania materiału. Żeby widział zagadnienia, a nie tylko fakty, rozumie pani? Ja wiem, że mu to sprawia trudności, i dlatego tak go męczę. Kiedy dyrektor Schabowski opowiedział nam na konferencji pedagogicznej o pracy, jaką pani włożyła w wychowanie syna, pomyślałem sobie, że dołbrze by było, abym i ja tutaj dorzucił swoją cegiełkę.

Nie mogłam wtedy wykrztusić ani słowa podziękowania.

Ostatnio czułam się nie najlepiej. Coraz częściej zdarzało się, że gdy Michał przychodził do mnie wieczorem z prośbą o pomoc (zwykle był to język polski), trudno mi było zmobilizować

się, skupić uwagę, wyjaśnić mu, co trzeba. Byłam przemęczona, czułam, że nie dam  
wszystkie-

117

mu rady. W tym okresie miałam bardzo dużo fizycznej pracy związanej z opieką nad  
rodzicami męża. Nielatwe to było.

Co pewien czas traciłam zupełnie siły i wydawało się, że jestem ciężko chora. W końcu  
poszłam do lekarza i okazało się, że to jest krańcowe wyczerpanie organizmu. Lekarz,  
który znał naszą sytuację domową, bo opiekując się naszymi starszami dość często  
przychodził, zalecił wyjazd poza Kraków mówiąc, że nawet kilka dni spędzonych na  
świeżym powietrzu i bez ciężkich obowiązków postawi mnie na nogi.

Była wczesna wiosna, a mąż miał parę nie wykorzystanych dni urlopu. Koleżanka moja  
zakrzętnęła się i załatwiła nam po bardzo umiarkowanej cenie kilkudniowy pobyt w Rabce.  
Udało się nam znaleźć pielęgniarza z pobliskiego szpitala, który zobowiązał się podjąć opiekę  
nad rodzicami, a nasz domowy lekarz obiecał też dowiadywać się o ich zdrowie.

Byliśmy spakowani, kiedy na pół godziny przed umówionym przyjściem pielęgniarza ktoś  
zadzwoił do drzwi. Był to jakiś chłopak, który przyniósł kartkę od niego, że coś mu wypadło  
i rezygnuje z opieki.

— W ostatniej chwili! — załamalam ręce — jakżeż tak  
można! Co teraz zrobić? Jedźcie z Misiem sami — powie-  
działam — to jedyne wyjście.

Mąż i Michał nie chcieli o tym nawet słyszeć. Usiadłam bezradnie na krześle i słuchałam  
argumentów męża, który tłumaczył, że wyjazd był zaplanowany ze względu na mnie, a nie na  
nich, więc on zostanie. Kiwałam przecząco głową, nic już nie mówiąc. Autobus odjeżdżał za  
go-dzinę. Co można załatwić w ciągu pół godziny?...

— Poczekaj, mamsiu — odezwał się nagle Misiek. — Ja  
coś załatwię! — i wybiegł z mieszkania nawet się nie ubie-  
rając.

Siedziałam przygnębiona, a Olgierd chodził po pokoju, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł  
Miś razem z jakąś panią w narzuconym na ramionach palcie. Pani ta była lekko zażenowana,  
a Miś przedstawił:

— To jest mama Władka z czwartego piętra.

Władek był kolegą szkolnym Michała z tej samej klasy,  
ale myśmy się nie znały.

— Bardzo wzruszył mnie syn państwa — powiedziała

118

sąsiadka. — Tak prosił, tak tłumaczył, że wyjazd jest konieczny ze względu na zdrowie  
mamy! Chętnie podejmę się opieki nad chorymi rodzicami pana i nie sprawi mi to kłopotu  
— uśmiechnęła się i dodała półgłosem: — Dobrze dziecko pani ma.

Byłam tak zaskoczona, że nie mogłam się zdobyć na jakieś sensowne zdanie; tymczasem w  
drzwiach pokazała się jeszcze nasza dozorczyńni.

— Bo myśmy się umówili z Michałem — rzekła — że ja tu będę nocować przez te dni,  
kiedy państwa nie będzie. Będę nawet miała bliżej do bramy — dodała we-soło. — Może  
pani odpoczywać sobie spokojnie na wsi, tu wszystko będzie grało!

— Jakże mam paniom dziękować... — zaczęłam, ale dozorczyńni mi przerwała:

— Synowi niech pani dziękuje, on tak ślicznie prosił.

Byliśmy zdumieni z Olgierdem, jak on potrafił błyskawicznie rozwiązać tę skomplikowaną sytuację.

Pobyt w Rabce rzeczywiście świetnie nam zrobił. Pierwsze dwa dni przeleżałam na balkoniku otulona kocami, bo na spacery nie miałam siły. Spałam po piętnaście godzin na dobę i czułam, jak mój mocny organizm zaczyna wracać do sił.

Miś i Tata znaleźli bardzo miłe towarzystwo i bawili się dobrze, ale dla mnie za intensywnie. Ja do snu do dałam sobie tylko małe spacerki.

A po powrocie do domu zastaliśmy wszystko w najzupełniejszym porządku.

Michał dużo mi pomagał w pracach gospodarskich i chętnie załatwiał różne sprawunki, wyręczając mnie w przenoszeniu ciężkich siatek wypełnionych zakupami. Znalazłam niedaleko domu mały sklepik dobrze zaopatrzone w świeże warzywa i owoce i powiedziałam Misiowi, żeby tam zawsze kupował jarzyny. Od razu za pierwszym razem wrócił nachmurzony, choć wszystko bardzo dobrze załatwił.

— Nie pójde tam więcej — powiedział mniej wyraźnie niż zwykle, znak, że był zdenerwowany.

— Dlaczego? Co się stało?

119

:— Nie pójda.

Unosząc wysoko głowę udawał, że obojętnie obserwuje wróble przylatujące do nas na parapet. Po chwili jednak zwrócił się do mnie i powoli, spokojnie już powiedział:

— Mama, niepotrzebnie powiedziałaś w sklepie, że nie słyszę. Kiedy teraz przyszedłem sam, wszyscy zaczęli na mnie patrzeć, a właścicielka, ta gruba, wiesz, zaczęła opowiadać o mnie. Było mi głupio i niepsyjemn — zakończył niewyraźnie.

Jaki bład, ach, jaki bład! Nie mogłam sobie darować, że naraziłam dziecko na dotkliwą przykrość. Powinnam się była domyślić, że ludzie tak zareagują, że potraktują jako sensację, że „głuchoniemy” chłopiec posługuje się mową. Więc lepiej nie ułatwiać mu uprzedzając o jego głuchocie! On by sobie i tak dał radę i załatwił wszystko.

Po odrobieniu lekcji Misiek poszedł do kina na jakiś film przygodowy, o którym od dawna marzył. Poszedł na godzinę szóstą i powinien był wrócić do domu około dziewiętej wieczorem, bo kino „Warszawa” było na Stradomiu i trzeba było dość długo jechać tramwajem.

Czekaliśmy na niego jak zwykle z kolacją, ale minęła dziewiąta i jeszcze go nie było.

Chciałam właśnie powiedzieć mężowi coś na ten temat, kiedy zadzwieczał telefon.

Podniosłam słuchawkę.

— Czy to mieszkanie państwa Domańskich? — zapytał jakiś męski głos.

— Tak.

— Tutaj syn państwa, Michał, prosił o zawiadomienie, że film nieco się przeciągnął, i dlatego przyjedzie do domu za pół godziny. Prosi więc, żeby się nie niepokoić.

Podziękowałam temu panu, a kiedy Misiek wkrótce przyjechał, zapytałam podczas kolacji, kto to telefonował w jego imieniu.

— MO! — zaśmiał się. — Milicjant!

Uniosłam brwi do góry dziwiąc się, a Michał mówił dalej:

— Kiedy film się skończył i zobaczyłem, że jest tak późno, poszedłem szukać telefonu, ale wszystkie sklepy były zamknięte. Naprzeciwko Wawelu jest taka budka z napisem „MO”. Tam był milicjant i ja go poprosiłem,

120

?



żeby zatelefonował do rodziców, bo ja sam nie mogę, bo nie słyszę, a nie chcę, żebyście się denerwowali, że mnie tak późno nie ma jeszcze. No i on zadzwonił.' Podziękowałem mu i chciałem zapłacić za telefon, ale on się zaśmiał i powiedział, że to była rozmowa służbowa.

— Pomysłowy chłopak! — pochwalił syna Olgierd. — Dobrześ zrobił, bo mama nie zdążyła się zdenerwować i teraz nam wszystkim kolacja smakuje.

— To niby jak ja się denerwuję, to wam kolacja nie smakuje? — zapytałam patrząc z powątpiewaniem na męża, ale Michał zakończył rozmowę słowami:

— Mnie zawsze smakuje, można jeszcze? — i podał mi swój talerz.

Niepostrzeżenie dla nas Michał dorastał. Głowa osadzona na długiej szyi nabierała męskości, brwi pociemniały i lekki puszek zaczął ocieniać wyraźnie zakrojony łuk warg.

— Wiesz, dziewczęta się za Miśkiem oglądają — śmiałam się do męża.

— Cóż chcesz, ładny chłopak, po ojcu to wziął — Olgierd kładł na stole trzeciego z kolei pasjansa.

— Nos i uśmiech ma po mnie, wszyscy to mówią — powiedziałam stanowczo, Olgierd zatrzymał rękę z podniesioną w górę kartą.

— A oczy i włosy? Moje! — klapnął z rozmachem kartą po stole i zaśmialiśmy się oboje.

— Twoje, twoje — żartowałam — ale z czasów, kiedy miałeś szesnaście lat.

Tak, Michał rósł i stawał się coraz bardziej silny. Ciągłe prosiłam go, aby, broń Boże, nie bił się w klasie. Bałam się, że jeśliby bójka była zbyt głośna, albo gdyby zrobił komuś krzywdę, nic by nie powstrzymało decyzji usunięcia go ze szkoły. Zdawałam sobie dobrze sprawę, że tylko dzięki dobrej woli i szerokim horyzontom nielicznych nauczycieli udaje się Michałowi uczyć w normalnej szkole.

Domyślałam się, że jest opozycja w szkole, że tylko dzięki zdecydowanej postawie dyrektora Michał ma możliwość próbowania swoich sił wśród młodzieży słyszającej. Nikt mi

121

oczywiście o tym nie mówił, ale byłam tak wyczulona, że i z półsłówek wiele mogłam odczytać.

W każdym razie sprawność fizyczna bardzo pomagała Michałowi w klasie. Zdarzało się, że któryś z kolegów rzucał się na niego; wystarczyło wtedy, by Michał przytrzymał go swymi żelaznymi rękoma, a miotający się i narażony na śmiech klasy biedak więcej już nie próbował ataków. A gdy inni się bili, rozdzielał ich trzymając w bezpiecznej odległości między swoimi wyciągniętymi ramionami.

Budził respekt i to było jego wielkim atutem.

Poza tym narciarskie sukcesy imponowały klasie. Bądź co bądź — mistrz województwa krakowskiego to było coś. W gimnastyce też był sprawny i zaczął teraz regularnie ćwiczyć lekkoatletykę w Międzyszkolnym Klubie Sportowym.

Chcąc go bardziej jeszcze włączyć w środowisko młodzieży należało wymyślić coś, co by osobę Michała czyniło bardziej atrakcyjną. A więc, niechże będą u nas wieczorki! Niech się witańczę, niech będzie wesoło!

— Pamiętasz — mówiłam mężowi — jak u mnie w domu co tydzień w sobotę schodziła się młodzież? Mama wołała, żebym się bawiła pod jej okiem, a nie poza domem. Pamiętasz, jak było zawsze wesoło?

— Naturalnie, pamiętam, przecież właśnie podczas jednej z takich sobót przyszedłem, popatrzyłem i powiedziałem: „Ta albo żadna!” — śmiał się Olgierd obejmując mnie.

Postanowiliśmy zgodnie, że choć nie co tydzień, ale będą u nas tak zwane prywatki.

A więc najpierw były „andrzejki”. Zaplanowaliśmy z mężem, że oprócz tradycyjnego lania wosku przypomniemy zabawy z naszej młodości.

W wigilię świętego Andrzeja zebrała się u nas gromadka: cztery dziewczynki i pięciu chłopców z klasy Miśka. Przy ich pomocy Michał rozsunął stół, a potem zaczął wnosić i

ustawiać na nim te wszystkie akcesoria, które uprzednio przygotowałam. Były dwie duże miski, jedna z wodą, na której powierzchni pływało jabłko, druga zaś pełna mąki. Na lekko usypanym kopcu tej mąki położyłam swoją obrączkę. Młodzież patrzyła zaintrygowana.

222

— Jabłko trzeba wyjąć ustami, bez pomocy rąk! — wyjaśnił Michał — obrączkę też.

— A komu się to uda, ten się pierwszy zakocha — dodałam wesoło. Pierwsi zaczęli chłopcy. Chwileczkę się pocertowali, a potem wypchnięty przez kolegów Edek pochylił kędzierzawą głowę nad miską z wodą. Jabłko wyglądało całkiem niewinnie, ale przy zbliżeniu Edziowych warg — zgrabnie umknęło w bok. Chłopiec się wyprostował i utkwiał w nim badawcze spojrzenie.

— To jabłko nie ma ogonka! — skostatował. Objąśniłam, że to umyślnie.

Po drugiej nieudanej próbie Edzio ustąpił miejsca Krzyśowi, ten Jurkowi, Leszek zaś z kurtuazją ustąpił swą kolejkę „damom”. Dziewczynki próbowały nadal bez skutku. Śmiechu było dużo aż wreszcie zniecierpliwiony Andrzejek zanurzył całą głowę w wodzie i przycisnąwszy jabłko do dna wpił weń zęby i wyciągnął z triumfalną miną. Dostał brawa. Kiedy wycierał ręcznikiem włosy, Misiek demonstrował właściwy sposób wyjmowania jabłka. Wypuścił cały zapas powietrza z płuc, zbliżył usta do powierzchni jabłka i z głośnym wdechem wyciągnął je przyssane do warg.

— Patrzcie, jaki mądry! — wołał Halinka. — Jak wpadłeś na to? — pytali i inni. Ale Michał nie zdradził, że to starsze pokolenie przekazało mu swe doświadczenie zdobyte za młodych lat.

Obrączka leżąca na pięknie usypanej mące kryła w sobie wiele złości. Czarnooka Krzysia pierwsza pochyliła odważnie zaokrąglony nos nad obrączką. Zmrużywszy oczy wysunęła usta i... otoczył ją obłok mącznego pyłu, ale za to obrączka lśniła w jej wargach. I jak tu nie wierzyć we wróżby? Krzysia pierwsza wyszła za męża... Potem laliśmy wosk, paliliśmy papierowe kule i wróżyliśmy z cieni rzucanych na ścianę. Było dużo śmiechu i zabawy, czas minął szybko, „andrzejki” się bardzo udały, Michał był zachwycony. Przed prywatką Michał wpadał w szał sprzątanania. Podłoga osiągała niebywały połysk, kurzu nie było ani odrobinki, wszystko, co tylko można było, wynosiło się z pokoju. Pod koniec rzucał ostatnie krytyczne spojrzenie

123

i zabierał się do szorowania siebie. Mył się, cesał, przeglądał w lustrze i na długo przed oznaczoną godziną — był już gotów. W pokojach krzesła były poustawiane pod ścianami, adapter i płyty stały koło uchylonego okna. W ostatniej chwili jeszcze z błyskiem natchnienia w oczach wyjmował drzwi z zawiasów i wynosił, mówiąc, że będzie więcej miejsca do tańca. A ja tymczasem, przygotowując niezliczone ilości kanapek, cieszyłam się radością Michała. Wiedziałam, jak bardzo lubi tańczyć. Przypominałam sobie, jak jeszcze w Brzegu zaglądał przez okno do świetlicy mieszczącej się niedaleko od nas, nie mogąc oderwać oczu od tańczących; jak potem ich naśladował w domu, niezmordowanie kręcąc się w kółko sam lub z dziećmi, a nieraz i z tatą, który poddając mu tempo na raz-dwa-trzy uczył walczyka. Młodzież zaczynała się schodzić wystrojona, odświeżona, z błyszczącymi oczami. Koledzy przynosili jeszcze płyty, zaczynali grać. Rozpoczęły się tańce. Michał włączał się do zabawy, gdy już inni tańczyli, bo wtedy orientował się, jaki to taniec, chwycił rytm i już z niego nie wypadał. Tańczył świetnie, a my z Olgierdem patrzyliśmy z radością. Dziewczęta podbiegały do męża i prosiły:

— Niech pan zatańczy z nami, niech pan zatańczy!

Naturalnie Olgierda nie trzeba było długo prosić i zaczął tańczyć rock'n rolla, z przesadą podkreślając jego nowoczesność. Zaczynaliśmy się śmiać, robiło się bardzo wesoło, młodzież się rozkręcała, a my wycofywaliśmy się do kuchni.

Wiosną zaczynały się szaleństwa rowerowe. W niedzielę rano zbierali się pod naszym domem: Edzio, Krzyś, Leszek i Andrzej. Biorąc kanapki do chlebaka Michał wylatywał z domu i całe towarzystwo wyruszało zgranym peletonem na wycieczkę.

Celem przeważnie był Ojców lub Złota Góra.

Wracali zziębnięci, zmęczeni, okropnie brudni, z grubą warstwą białego pyłu we włosach.

— Namoczyć was trzeba na całą noc w mydlinach! — żartowałam, a chłopcy zegnali się męskim uściskiem dłoni: „Cześć!” „Cześć!”

124

— Na rowerze nie da się tak szybko jechać jak na motorze — ubolewał Michał.

Od dawno marzył mu się motocykl, ale rozumiał, że to poważny wydatek i nie możemy sobie na to pozwolić, nie molestował więc.

Oprócz tych niedzielnych wypraw były też wycieczki i obozy wędrownie organizowane przez szkołę. Michał z chęcią brał udział we wszystkich, żywał się z kolegami i profesorami.

W pierwszych dniach lipca Michał wrócił z wycieczki z triumfalną miną i oznajmił, że wynajął na wakacje mieszkanie w Krościenku.

— Mama, tam jest pięknie! Woda, góry, zobaczysz sama!

Byłam zaskoczona. Oboje z mężem dopytywaliśmy, jak to załatwił.

— Zapytałem w Krościenku milicjanta i on mi powiedział, gdzie pójść poszukać, gdzie będzie ładnie, i niedrogo.

Dziwiliśmy się z Olgierdem, że nasz syn okazał się taki samodzielny i zaradny. Kiedy jechał na wycieczkę i zapewniał, że poszuka ładnego miejsca na wakacje, nie traktowaliśmy tego poważnie, a teraz trzeba było szybko przygotować się do wyjazdu.

Po kilku dniach oddychałam już rześkim powietrzem górskiej miejscowości. Pokój wynajęty przez Michała był prymitywnie umeblowany, położony przy drodze, ale duży, słoneczny i w odległości około stu pięćdziesięciu metrów od Dunajca. Plaża była tu najładniejsza, bo piaszczysta, w innych miejscach były kamienie.

Miejscowość była rzeczywiście piękna: góry, woda, las, a do tego dużo młodzieży — wróżyły dobre wakacje. Michał szybko pozawierał znajomości. Na tej samej ulicy, kilka domów dalej, mieszkały panie, z których jedna miała dwie córki, a druga córkę i syna. Na plaży widywaliśmy się z dala, a wkrótce Michał postarał się o szybkie zawarcie znajomości. Po kilku dniach chodzili już stadkiem: Jadzia, Teresa i Marysia z małym bratem, który nie odstępował ani na krok Michała. Ośmioletni Bartek zachwycał się sprawnością fizyczną i siłą Miśka, który podnosił

125

go jedną ręką, a poza tym potrafił najchętniej rzucać „kaczki” po wodzie.

Któregoś wieczoru Michał zapowiedział mi, że umówił się z Teresą na dancing.

— Wiesz, mamsiu, pewnie zresztą pójdziemy wszyscy razem, bo dziewczęta nie mają z kim pójść. Może nawet Bartek pójdzie z nami.

— A cóż on tam będzie robił? — zaśmiał się.

— Będzie siedział przy stoliku.

Chętnie bym poszła zamiast Bartka, ogromnie lubiłam patrzeć na tańczącego Michała, ale nie, nie powiedziałam rozumiejąc, że moja obecność wprowadziłaby pewne skrepowanie.

W tym młodzieżowym lokalu orkiestra grała trzy razy w tygodniu, następnego dnia przypadał właśnie „taneczny” dzień i Michał długo przyczesał Swoją blond czuprynę przed lusterkiem.

— Jaką koszulę włożyć, niebieską czy czerwoną? — nie mógł się zdecydować. Modne były kołowe koszule do wąskich, długich spodni.

— Może ta koralowa — poradziłam.

Ładnie mu w niej było, opalenizna kontrastowała z jasnymi włosami, dobrze wyglądał. Był zadowolony, podniecony, nie mógł się doczekać umówionej godziny, wreszcie wybiegł przeskakując przez drewnianą barierkę werandy.

Jak już wspomniałam, mieszkaliśmy tu, przy drodze i słyszało się zawsze głosy przechodzący — po dziesiątej czytając książkę usłyszałam, że młodzież wręca. Przeszło parę osób, a następnie ktoś się zatrzymał przy naszej furcie. Rozróżniłam głosy Michała i Marysi siostry Bartka.

— Ona bardzo nieładnie postąpiła tocząc cały czas z tym chłopcem, tym bardziej że przyszła w twoim towarzystwie — mówiła Marysia.

Michał coś mówił, ale nie dosłyszałam. QJV wszedł, zobaczyłam, że jest smutny. Popatrzył na mnie — powiedział twardo:

— Ze mną żadna dziewczyna nie chce chodzić, jak tylko dowiaduje się, że jestem głuchy! Teresa cały czas tańczyła z innym!

— Przecież ona wiedziała, że nie słyszysz a jednak  
126

umówiła się z tobą na tańce — zaczęłam, ale Michał gwałtownie przerwał:

— Bo nie miała z kim pójść! Jak się znalazła na sali, to już na mnie nie patrzyła! To już tak zawsze! Robią do mnie słodkie oczy, a jak się dowiedzą, że nie słyszę, to się wycofują. Psiakrew, dlaczego nie słyszę! — Kopnął krzesło. Nie pomogły moje perswazje, poszedł do łóżka rozczarowany i gniewny. Długo się wiercił i nie mógł zasnąć. Następne dni były nieciekawe, Michał był bez humoru, trochę czytał, trochę się opalał. Wyciągałam go na spacer, ale dalej jakoś nie miał ochoty chodzić, więc poważnie wędrowaliśmy na most. Ten most to była prawdziwa promenada, tam i z powrotem przechadzały się grupki młodzieży, tu zawsze widziało się, kto przyjechał nowy, a ja lubiłam przystawać, aby popatrzeć na tratwy płynące z biegiem Dunajca. Wracając wstępowaliśmy do małej kawiarenki PTTK na ulicy Zdrojowej; były tam dwie małe salki po kilka stolików w każdej, a za ladą pojawiała się przystojna Marysia, na którą miło było popatrzeć. Była to jasnowłosa góralska dziewczyna o niebieskich oczach i promiennym uśmiechu, tryskająca zdrowiem i humorem. Duży warkocz upinała w koronę na głowie i dla wszystkich miała dobre słowo.

Siadaliśmy na chwilę, aby wypić małą kawę lub wodę mineralną, Michał wolał ciastko. W pierwszej salce było więcej powietrza i przez uchylone drzwi widziało się Dunajec. W drugiej było mnóstwo dymu i młodzieży. Michał tam zaglądał i jeżeli spotkał znajomych, zostawał.

Później przez parę dni była ślota i ja siedziałam w domu czytając, a Miś gdzieś wędrował. Wrócił raz wcześniej, kompletnie przemoczony, ale uśmiechnięty.

— Wiesz, kto przyjechał? Hania!

— Jaka Hania? — zapytałam.

— No, ta Hania, którą poznałem w Rabce Zarytem, w czasie świąt! I byliśmy w kawiarni, i wiesz, mamsiu, jedna blondyneczka cały czas patrzyła na mnie.

Na moje pytanie, jak wyglądała, opisał ją w sposób świadczący, że mu się podobała. Ledwo się przebrał i coś zjadł, powiedział:

127

— Pójdę zobaczyć, czy będzie ktoś znajomy w „mor-downi” — i już go nie było.

Tym razem wrócił później, ale nic mu nie powiedziałam na widok jego rozpromienionej, uśmiechniętej twarzy.

— Była! Nazywa się Monika! Tańczyliśmy tylko z sobą!

— Opowiedz, kochanie, jak to było, jak się poznaliście?

— Wszedłem zobaczyć tylko, czy jest kto znajomy. Był już wielki tłok, ale nie tańczyli. Rozglądałem się. Poczujęm, że ktoś na mnie patrzy, zacząłem się kręcić naokoło, a ona była obok, blisko! Zrobiło mi się gorąco, jak spotkałem jej wzrok. Takie błyszczące oczy, jak... jak... jak cha-ber w słońcu! Podeszedłem i... tańczyliśmy cały czas tylko z sobą. Zapytałem ją, czy wie, że nie słyszę, a ona odpowiedziała: „Wiem, no to co!” Umówiliśmy się jutro na plażę. — Złapał mnie za rękę i zaczął tańczyć.

— Ciicho, Miśku, za ścianą śpi małe dziecko, jest już późno! — mitygowałam go, ale bez przekonania, a tylko z poczucia obowiązku.

Następne dni zaczęły płynąć z zawrotnym tempie. Rano plaża, już nie musiałam budzić Michała, bo zrywał się sam i biegł nad Dunajec. Na obiad przylatywał jak po ogień i znów go nie było. Po południu widziałam, jak roześmiany przechadzał się w grupie młodzieży lub siedział na ławce koło mostu. Już się nie martwiłam. Widziałam, jaki jest szczęśliwy pędząc na kolejne spotkanie z Moniką.

Była to szczupła, nieduża dziewczynka, piętnastolatka, o bardzo jasnych, długich włosach, które czasem upinała po dorosłemu w grecki węzeł. Takie uczesanie podkreślało jeszcze bardziej jej młodość, kontrastując kolorytem włosów z czarnymi rzęsami i błękitem oczu.

Ależ ładna, pomyślałam przy którymś spotkaniu i uśmiechnęłam się do nich.

— Dokąd się wybieracie?

— Idziemy na spacer — powiedziała Monika — a potem pójdziemy na zabawę — i popatrzyła na Michała, który uśmiechnął się do nas rozpromieniony.

Wakacje były udane. Michał miał mnóstwo wrażeń, wyrobił się towarzysko, nawet się chyba zakochał, i to z wzajemnością.

A po powrocie do Krakowa młodzież spotykała się u nas. Co pewien czas urządzaliśmy prywatki, ale to nie prze-

128

Z brązowym medalem zdobytym na olimpiadzie w Waszyngtonie  
Pomoc w nauce anatomii. Matka koryguje wymowę nazw łacińskich

Egzamin magisterski w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Krakowie  
Michał przy pracy. Zajęcia w Ośrodku Usprawniania Leczniczego Inwalidów —

szkadzało w nauce; Michał starał się dobrze uczyć, aby broń Boże nie być gorszym od pilnych dziewcząt.

Hania przyprowadzała swoje koleżanki, przychodzili Miśka koledzy i zbierało się u nas czasem piętnaście, dwadzieścia osób. Było bardzo wesoło i hałaśliwie.

Wprawdzie podczas jednego konkursu tańca nasz żyrandol poszedł „w drobny mak”, nie była to jednak wina chłopców, a raczej nowoczesnego budownictwa: „Po co robią tak niskie mieszkania” — żalił się Misiek.

Ale za to jak ślicznie tańczyli!

Drobna, jasnowłosa Monika w szafirowej sukience odślanającej w tańcu wysoko smukłe nóżki i duży, o szerokich ramionach i długich nogach Michał zadziwiali mnie w solowych popisach.

Myśmy już do tego przywykli, że Michał pięknie tańczy, ale obcy często się dziwili, jak to jest możliwe, że nie słysząc ma tak fenomenalne wyczucie rytmu. Na wieczorach koleżeńskich w mig łapał tempo tańca albo spoglądając na tańczących, albo dotykając ręką głośnika grającego aparatu, albo gdy była orkiestra — wyczuwając rytm z ruchu powietrza, drgania podłogi i podobnych, nieuchwytnych dla innych „wskazówek”. Kiedyś przeprowadził w domu pewne doświadczenie. Położył sobie na dłoni arkusik papieru i zwrócił się do ojca, żeby sprawdził, jakie dziwne drgania ma ten papierek. Ojciec zupełnie nie potrafił uchwycić tych wibracji, wyczuwanych tak wyraźnie przez Michała.

Jesień była piękna, październik słoneczny. Któregoś dnia długo czekałam z obiadem na męża. Wreszcie przyszedł.

— Wiesz, mieliśmy dziennikarzy na budowie! — powiedział myjąc ręce.

— Chodź, już podałam obiad, opowiesz przy stole.

— Mieliśmy konferencję — rzekł siadając — a potem przy czarnej kawie rozgadałem się z bardzo przyjemną dziennikarką z „Trybuny Robotniczej”.

— Młoda?

— W twoim wieku i nawet do ciebie trochę podobna. Bardzo nam się przyjemnie rozmawiało, zainteresowała się tobą i Michałem.

9 — Los w rękach twoich

129

∴ M U

\_ Patrz, \*ki <^J?^V2X%S>

mowny i oP^^I^Sowałam.

nigdy nie powiesz! -\_zazarto iedUwa.

\_ A nieprawda nieJ^-S potera o tej rozmowie.

dawno opowiadał mi Olgierd. T bunie Robotniczej"

Umieściła ona niedużą notatkę w^Try^ podała

pod tytułem I .f^^f 0 Ty^n, że mówi i jest teraz

garść informacji o M icnaie »J^ Po te, no-

w dziesiątej klasie; "Sów od rodziców dzieci

S^yT^^

ksras ?L^r\*°teg0'ze Michał

J^i<^^7rln?.,2S^l wymawiałam się, że

Byłam kompletnie zaskoczona ^ referatów i nie

nigdy w życiu^nie ^S^^Ugła to uczynić,

wyobrażam sobie, .^^f f0 Ldą sami rodzice, którzy

L Kochana pam, przeciezto bęą -ed naj-

mają dzieci głuche ^t^^^owie o Michale rr^rpro"^^ PodaHermin! a^y przyślemy woz re-

HalccvinV-

No i zaczęła się Pf^^- Trvbunę Robotniczą", a tam

Następnego dnia kupili my »^bunę a tk

na pierwszej ^^clco glucke może <\*\*\*.

znów pod nagłowieni x ^

S ^^SSSEKŁ\* chwilami miałam na

^fb^iedużo, chodem \* L«LL\*-

ślach, co będę mówiła i w jaki^sposo zyjechał

raLt Ift^ -oS J^PSS i <\*- °^mlł

zwolniliśmy Michała na 1»dzień ze^zkołyj LL

130

przed naszym ^ "S^ SójkTw pełnej 8-11-Umuzyna, weszliśmy do mejwe ^mundurku szkoi-  
Michał z uroczystą miną, w granatowy

nym z czerwoną tarczą, ja starannie uczesana u fryzjera, w szafirowym kostiumie z białą bluzką; tata przyoblekł się w powagę i zamykał pochód.

Wsiadając do auta Misiek zerknął na górne piętra, czy wszyscy widzą, jacy to jesteśmy ważni.

Dziś mogę sobie pożartować, ale wówczas byliśmy bardzo przejęci.

Przyjechaliśmy do Katowic według mnie stanowczo zbyt szybko. Redaktor Służyńska zaprowadziła nas do gabinetu naczelnego redaktora. Przedstawiono nam jeszcze tęgiego starszego pana.

— My się znamy — powiedział, a kiedy nie mogłam sobie przypomnieć dodał: — Była pani u nas w Lublińcu w zakładzie dla dzieci głuchych. Syn był wtedy jeszcze małym chłopcem. Pani się mniej zmieniła niż ja — tu prze-sunął ręką po przeredzonej czuprynie. Pamiętam dobrze wizytę pani i nasze dzieci pamiętają. Przysłała pani po-tem słodczyce dla nich na Wielkanoc — uśmiechał się.

— Oczywiście, pamiętam wszystko, jakżebym mogła zapomnieć! Tak życzliwie zostałam wówczas przyjęta.

W czasie tej rozmowy wszedł jakiś pan i coś powiedział do naczelnego redaktora.

— Jak to? Przecież tam jest trzysta krzesel? — zdziwił się ten i dodał: — No to dostawić.

Przestraszyłam się naprawdę. Spojrzałam w stronę Olgierda, ale on rozmawiał właśnie z panią Służyńska. Skończyliśmy już kawę i trzeba było iść.

Drzwi do sali otworzyły się i setki oczu zwróciły się na nas. Odwrotu nie było.

Wąskim szpalerem między krzesłami szłam pierwsza, a za mną Michał. Przed udekorowaną trybuną zawahałam się chwilę, ale już mnie poprowadzono i usadowiono mię-dzy

redaktorem naczelnym a Michałem. Kiedy gospodarze zabierali głos, patrzyłam na salę i starałam się uspokoić. Pierwszy raz w życiu publicznie miałam zabrać głos, nogi miałam jak z waty. Jakże ja będę mogła wstać, żeby cho-ciaż głos mi się nie trząśł, jak nogi!

Redaktor kończył, była kolej na mnie.

Patrzyłam na wypełnioną po brzegi salę, na ludzi czeka-jących w skupieniu. Przecież to rodzice dzieci głuchych, ta-kich jak mój Miś — uspokajałam się.

Zacęłam mówić po prostu, jak było.

Opowiadałam całą naszą drogę, jak szliśmy w trudnych

131

powojennych warunkach, po omacku, próbując wszelkich sposobów i metod, ucząc się od wszystkich i korzystając z pomocy ludzi dobrej woli.

Trzymałam mocno w palcach długopis i drżenie rąk ustępowało powoli. Z boku, w drugim rzędzie siedział Olgierd i patrzył na mnie. Odwróciłam wzrok.

Nagle przed trybunę wysunął się fotoreporter z lampą błyskową, zbliżył się, pochylił, na sekundę oślepiło mnie. Nie przerwałam jednak i mówiłam dalej. Kątem oka zobaczyłam, że Olgierd odetchnął głęboko i to mnie nieoczekiwanie rozbawiło.

Kończąc już z zupełną pewnością siebie apelowałam o zespołowe postępowanie rehabilitacyjne i o stworzenie Przychodni Praktycznego Poradnictwa, aby nikt w przyszłości nie szukał tak, jak ja to musiałam robić.

Po moim przemówieniu dużo ludzi i. ^ało głos, padały słowa aprobaty, ale też sprzeczne zdania i wypowiedzi. Jedna z przedstawicielek szkolnictwa wyrażała wątpliwości, po co rodzice mają sami uczyć dzieci, kiedy od tego są szkoły specjalne, które to lepiej zrobią. Zżymałam się słuchając tego, no bo przecież chodziło tu o współpracę domu i szkoły, czy też fachowców od nauczania specjalnego, o wykorzystanie najwcześniejszego okresu życia, aby dziecko tak przygotować w domu, żeby właśnie szkoły miały łatwiejszą pracę i lepsze wyniki.

Potem wszyscy chcieli rozmawiać z Michałem i otoczyli go zwartym kołem. Miś nie tracił pewności siebie i odpowiadał każdemu zupełnie swobodnie. Był jednak tym wszystkim solidnie zmęczony, wreszcie odszukał mnie i powiedział:

— Jestem strasznie głodny.'

Dosłyszała to redaktor Służyńska i zaprowadziła nas do restauracji naprzeciwko. W ostatnim momencie Michał oderwał się od rozmowy z ładną rudą dziewczyną i poprosił:

— Czy może pójść z nami koleżanka, bo ona jest też bardzo głodna?

Poszliśmy więc wszyscy razem.

. A potem dostaliśmy piękne róże, a Michał książkę Heleńy Boguszewskiej z dedykacją od „Trybuny Robotniczej” na pamiątkę tego spotkania.

Wracaliśmy autem do domu. Olgierd z synem rozma-

132

wiali i nie zamykały im się usta, a ja siedziałam w milczeniu kompletnie wyczerpana, gdy opadło już napięcie.

— Wis, tatsiu — jak weszliśmy do sali i zobaczyłem tyle ludzi —nogi się pode mną ugięły, ale mama idzie na-przód, więc ja też!

— A ja się przestraszyłem, gdy ten fotograf wylazł przed trybunę i nastawiał na ciebie aparat — mówił do mnie Olgierd. — Byłem pewien, że stracisz wątek, a ty nic, spozrzałaś na niego i walisz dalej, jeszcze ustawiłaś się

lepiej do zdjęcia! Zuch mama, co Misiu? — f zadowolony trzepnął Michała po plecach.

W domu obydwaj zajęli się gospodarstwem, a ja poszłam prościutko do łóżka.

Parę dni później zbieraliśmy wycinki prasowe.

Najbardziej sensacyjnie potraktował nasze spotkanie warszawski „Express Wieczorny” dając sążnisty tytuł:

**DIAGNOZA BRZMIAŁA BEZLITOŚNIE; DZIECKO JEST NIEULECZALNIE GŁUCHE BEZGRANICZNA MIŁOŚĆ MATKI PRZYWRÓCIŁA MOWĘ SYNOWI 17-LETNI MICHAŚ ODZYSKAŁ RADOgC ŻYCIA**

„Trybuna Robotnicza” umieściła artykuł bardziej rzeczowy pod tytułem: **PROBLEM WCALE NIEBŁAHY.**

Niezależnie jednak od tytułów prasa podkreślała waźność naszych propozycji stworzenia sieci poradnictwa i kompleksowego postępowania rehabilitacyjnego. Żeby rodzice nie szli po omacku, tak jak ja kiedyś, aie mogli mieć od samego początku fachową opiekę i wskazówki.



A potem zaczęły przychodzić listy od rodziców dzieci głuchych. Skarżyli się na brak informacji porad wskazówek. Staralam się im odpowiadać, ale wkrótce doszłam do wniosku, że choć udało mi się wychować i nauczyć mówić syna, to jednak do udzielania porad nie jestem należyście przygotowana i brakuje mi teoretycznych wiadomości. Zaczęłam się doksztalać.

Wracając ze szkoły Michał zawsze zdawał mi dokładną relację z całego przedpołudnia. Nie musiał tak starannie, z wysiłkiem dobierać słów, bo chociaż ciągle go poprawiałam, wiedział, że zrozumie wszystko, co chciał wyrazić.

133

Lata wspólnej pracy i wysiłku, mocna więź uczuciowa wytworzyły w nas łatwość porozumiewania się bez słów, zdolność odczuwania nastroju, a nawet myśli. Nieraz będąc w pokoju i słysząc, że Michał wchodzi do mieszkania, w niewytłumaczalny sposób natychmiast wiedziałam, czy miał jakąś przykrość lub zmartwienie, czy też, na odwrót, przydarzyło mu się coś miłego. Dzięki temu nie bywałam na ogół zaskoczona i mogłam zająć postawę, która by mu pomogła w danym momencie.

Z drugiej strony Michał nieraz mnie przyłapywał, kiedy myśli moje szły w innym kierunku, niż on by sobie życzył.

Kiedy mi coś opowiadał, lubił, żebym go słuchała z niepodzielną uwagą. Czasem podczas wspólnej nauki, gdy siedziałam obok i patrzyłam uważnie w jego twarz, zdarzało mi się odbiec gdzieś myślą. Wtedy Michał przerywał mi:

— Mama, powtórz!

Automatycznie powtarzałam ostatnie zdanie, ale Miś na to z wyrzutem:

— Tak, aale, myślisz o czymś innym! A mnie łatwiej się uczyć, jak uważasz.

No i trzeba było zmuszać się do uwagi.

W klasie dziesiątej przysłała nowa nauczycielka języka polskiego. Poprzednia, pani Bielowa, młoda, bezpośrednia i zawsze chętnie wyjaśniająca Michałowi zawiłości przedmiotu, odeszła do równoległej klasy obejmując tam wychowawstwo. Nowa pani była w średnim wieku i cieszyła się opinią świetnego pedagoga. Koledzy Michała mówili mi, że lekcje polskiego są ciekawe i wywołują częste dyskusje w klasie. Ale Michał milczał i nic mi nie opowiadał. , Któregoś dnia przerabialiśmy z nim jak zawsze w domu zadany materiał i zapytałam go, dlaczego' nie był dotąd pytany z polskiego.

—| Pani się mną w ogóle nie interesuje. Ona myśli, że moje miejsce w szkole specjalnej.

— Czy coś mówiła?

— Nie, ale ja wiem. Ona tak myśli.

Odczułam jego przygnębienie i starałam się je rozładować mówiąc:

—r To nic, przekona się jeszcze, że nie jesteś gorszy od innych.

134

Lekcja polskiego się skończyła. Michał szybko się przecisnął między tłoczącymi się u wyjścia kolegami i pobiegł za nauczycielką. Chciał zapytać, czy dobrze zrozumiał i czy w ten sposób właśnie należy opracować materiał, nie zdążył jednak, bo doszła już do pokoju nauczycielskiego i drzwi zamknęły się za nią. Zawahał się chwilę i wrócił do klasy. Kiedy była znów następna lekcja polskiego, przypilnował i podszedł do nauczycielki przedtem, nim weszła do klasy.

— Proszę pani — zaczął, ale jej obojętne spojrzenie prześliznęło się po nim i nie zatrzymała się. — Proszę pani, proszę pani, ja chciałbym tylko chwileczkę... — Odwróciła się.

— Nie mam teraz czasu, idę na lekcję — odpowiedziała.  
Po lekcji podszedł razem z kilkoma kolegami do jej stolika. Chłopcy o czymś mówili z nauczycielką, dyskutowali czy omawiali problemy zaczęte przedtem, nie wiedział, bo nie patrzył na nich, a całą uwagę miał skupioną na tym, jak rozpocząć rozmowę. Podszedł jeszcze bliżej i pochyłony, starając się wyraźnie oddzielać wyrazy, znów zwrócił się do nauczycielki:

— Chciałbym zapytać tylko, czy dobrze zrozumiałem, i... ^— ale urwał, bo pani zrobiła ruch ręką jakby wstrzymujący go, nie przerywając równocześnie rozmowy z innymi uczniami. Czekał jeszcze, choć denerwował się ciągłym niepowodzeniem. Gdy jednak na ponowne jego pytanie nauczycielka znów pomachała w jego stronę ręką, jak gdyby się opędzając, bo tak to rozumiał, odszedł. Był cały wzburzony.

Wróciwszy do domu żalił mi się: — nawet nie chce posłuchać, o co ją pytam! Lekceważy mnie. Dlaczego? Przecież uczeń ma prawo zapytać nauczyciela! Nauczyciel musi odpowiadać na pytania! I przecież pani odpowiada... innym. A dlaczego nie odpowiada mnie? Bo jestem... głuchym!

#### WYZNACZAĆ NOWE ŚCIEŻKI NA MAPIE ŻYCIA

Całymi wieczorami się uczył. Późno już było, leżałam w łóżku, ale nie spałam; nie dlatego, że chciałam czuwać, ale jak gdyby podświadomie skupiałam się wewnątrz, chcąc mu pomóc. Niestety, nieraz materiał był za trudny dla mnie. Czasem jednak przydawałam się po prostu do tłumaczenia trudnego języka podręczników. Przychodził wtedy do mnie, a ja starałam się jak najprościej, najrozumialej wyjaśnić. Często niecierpliwiał się, że za długo tłumaczę, a nawet, że namyślałam się.

— Nie mam czasu, zrozum, mama! Szybciej! Już, już, wystarczy, rozumiem!

I zostawałam znów sama, z natłokiem wyjaśnień już niepotrzebnych.

Gdy było bardzo późno, a on jeszcze siedział, wstawałam i przynosiłam mu mleko albo herbatę, ale wtedy się gniewał i zapędzał mnie do łóżka.

I teraz właśnie, widząc, że się u mnie świeci, przyszedł mi powiedzieć dobranoc i usiadł obok w milczeniu. Smutek jego jak szara mgła mnie ogarnął i nie zwiódł mnie jego spokojna twarz.

— Czemuś taki smutny? Czy miałeś jakąś przykrość?

Nie odpowiadał, ale pochylił się i położył głowę na kołdrze. Gładziłam jego jasne włosy prosząc Boga o pomoc. Daj mu, Boże, ufność i wiarę w swoje siły, myślałam.

Oburącz podniosłam jego głowę, leciutko potrząsając, żeby popatrzył na mnie. Zamknięte oczy, to już zupełna izolacja. No, niechże wreszcie popatrzy!

— Życie jest takie trudne, ludzie tacy obojętni, co za sens ma to wszystko — powiedział niewyraźnie.

— Michał! Co ty pleciesz! Życie jest trudne, ale piękne — powiedziałam. — Twoje także.

136

— Jak to? — oburzył się. — Moje nie \*«- Natuflnf> ze ^st piękne, bo walczysz i zwyciężasz - odparłam z całym spokojem i pewnością siebie.

»\*L\*? • t kS Przyg0da- ~ Pat^ył na mnie, zasta-nawiając się, ku czemu zmierzam. Patrzył, chwala Bogu! -Widzisz, gdybyś się urodził dawniej, byłbyś może sław-nym podróżnikiem,

odkrywcą nowych łądów. Teraz nie ma już białych plam na mapie, ale w życiu są. Ty je wypełniasz czymś nowym. Jak podróżnik w puszczy brazylijskiej przedzieras się naprzód z maczetą w ręce, toru-

niśf0VnT^;^ZedzieraSZ Się przez ^szcz Posadów r niewiedzy ludzkiej, przez ich zastarzałe poglądy ich

braku XT"1113- Pomyś1' Przekonasz ludzi, że pomimo S\*^ ? u m,°Zna Wi6le osi^na6, jeśli się włoży wy~

ot™ w"9 T\A ludzi nie jest łatwo Przekonać, wieL o tym. Więc trzeba mieć i cierpliwość... - Oczy jego

łm Tf T mm,ttradły V^nx boieSneS° naP^ciŁ «u-łam'i H ^ S^rUtkU °dplyWa- Dzięki Ci' Boze> westchnę-łam w duchu. Nie przerywałam. Musiałam całkiem prze-

SdniZ,Wą PTe,+natChnąĆ g° Ufn0ścia- ~A \*\*\* ^bie u rudniają walkę, to nie dlatego, że są źli, ale po prostu... nie rozumieją, nie wierzą w potęgę ludzkiego wysiłku.

maS\* y ZapiS"jesz.białe Plamy w ludzkich umysłach, na mapie życia. Pomyśl o tym. uŁLlą ^twle,\dfam' że się w nim wszystko ucisza, uspokaja. Pogładził mnie po ręce.

— Pomyślę, pewno masz rację, mama.

— -Dobranoc, synku.

iJ^tSZe rozf°wy W? nietypowe. Stosowałam chwyt-y zaskakujące: budziłam najpierw zdumienie, niedowierzanie, a potem zainteresowanie obrazowym przykładem W ten sposób wksłowałam myśl i nastrój na inny to"" udało się i tym razem.

Taic°,S7iU byłan\znów™, ale sen nie przychodził. <\*^ uzoroic moje dziecko przeciw trudnościom życia? ~

Srt.T1' T.T1rudności ^ może nawet potrzebne, ale ból?

nfnJ riC uTŚ> k°g° Się naJbardziej kocha, przed niepotrzebnym bólem?

137

tr^łym r°,kU ulegliśmy wreszcie prośbom Misia i kiedy trafiła się okazja - kupiliśmy używany motor.

Na prawo jazdy nie trzeba było długo czekać, a zda-wali i zdobyli je obydwaj: tata i syn. Michał bardzo szybko opanował technikę jazdy i z praw-dziwą satysfakcją jeździł motorem do szkoły.

Kiedyś wiosną wrócił trochę później do domu po lek-cjach, ale był tak rozradowany, że przyjemnie było pa-trzeć.

— Z czego się tak cieszysz? — zapytałam. , i:

Zrobił dumną minę.

— Wiozłem pana dyrektora! Pana dyrektora Schabow-skiego!:

Otóż, kiedy po lekcjach Michał zapuszczał motor na placyku przed szkołą, wyszedł z niej dyrektor. Popatrzył przyjaźnie na Michała, uśmiechnął się i uniósłszy nieco do góry swym charakterystycznym ruchem głowę — po-wiedział:

— Słuchaj, Michał, śpiesz się bardzo, odwieź no mnie do chałupy!

— Jechałem bardzo uważnie! A na Olszy, przed domem, bawiła się córeczka pana dyrektora i chciała się przeje-chać też motorem i... dyrektor sam ją posadził na siodełku! Ale ja ją wziąłem przed siebie, bo to małe dziecko, i je-chałem strasznie powoli!

Słuchałam wzruszona.

Ileż odwagi i zaufania okazał ten świątły człowiek, po-wierzając swoje małe dziecko głuchemu chłopcu! I jak wielką wiarę we własne siły wzbudził przez to w Michale!

Dyrektor Schabowski był sam entuzjastą motoryzacji i dzięki niemu w liceum zostały zorganizowane kursy samochodowe. Michał był wtedy w jedenastej klasie i na-

-!—oinie też się zapisał, chcąc mieć samochodowe prawo  
 ' - " = tvch kursach była duża, a wykła-  
 j Atmosfera panująca w czasie  
 s wpływała na Michała, gdyż  
 "W ||| w ^ z innymi, nie odczuwał swojej  
 izi || a? ' L? j stawiali mu przeszkód z racji  
 - j /  
 sens r. —• rpadł bez zarzutu, w czasie zaś  
 — Mil? ./likt z kolegów nie umiał odpo-  
 powiedz Kie instruktora: „Co umożliwia  
 136 /

zróznicowanie obrotów kół mostu napędzanego na łuku?" Michał wysunął się naprzód i powiedział szybko:

-T- Mechanizm różnicowy. Satelita. Egzaminator z satysfakcją postawił mu piątkę. W tydzień potem Michał osobiście odebrał samochodowe prawo jazdy kategorii amatorskiej.

Najtrudniejszymi przedmiotami dla Michała były język polski i matematyka.

Bagatela! Najważniejsze przedmioty do matury! Nieraz gorzko żałowałam, że tak mało pamiętam ze szkoły. Teraz przydałoby się. O wiele lepiej pamiętał Olgierd, chociaż podobno miał gorsze stopnie. On też pomagał najczęściej Michałowi w przedmiotach ścisłych. Fizykę i chemię — w przeciwieństwie do matematyki — Michał lubił, ale program był niełatwy i często przesiadywali razem z Olgierdem nad podręcznikami, ucząc się do późnej nocy. Nieraz w czasie nauki z ojcem Michała zainteresowało szczególnie jakieś zagadnienie, chciał je bardzo dobrze zrozumieć lub prosił o dodatkowe wyjaśnienia. Czasem po lekcji fizyki czy chemii powstawały całe dyskusje, przy których obydwaj zapominali, że są zmęczeni. Podsycałam je, gdyż wydawały mi się bardzo istotne i pożyteczne.

Jak kiedyś stare mapy niemieckie, tak teraz na przykład prawo Newtona stawało się punktem wyjścia do rozmów o ogromie świata, o układzie planetarnym. Ale jakże inaczej wyglądały te rozmowy! Michał potrafił już teraz rozumować abstrakcyjnie! Miał prawie dwadzieścia lat. Naśza' wieloletnia zmuDNA praca nad nim, wiadomości przyśwajane w liceum, lektury przejawily się wyraźnym skokiem w rozwoju jego umysłowości. Niekiedy było to dla nas samych nieoczekiwane i zdumiewające, cieszyła nas różnorodność i poziom jego zainteresowań.

Nie mniej niż kosmos fascynowały go mikroorganizmy, komórki, zawzięcie rozprawiali z ojcem o budowie atomu, elektronach. Czasem zapędzali się w rejony zupełnie już nie związane z lekcją. Od Kopernika i Galileusza prześkakiwali do Teilharda de Chardin. Olgierd przytaczał myśli z jego książki, którą i Michał próbował także wer-tewać niedawno. Przyłączałam się i ja do rozmowy.

139

Nieoczekiwanie wyłaniała się postać Budowniczego Świata, którego Mądrość, Moc i Miłość obecne i widoczne są wszędzie. Nie wahaliśmy się tłumaczyć Michałowi, że i jego głuchota nie jest bezsensem, rzeczą przypadku, ale formą, dzięki której być może szybciej osiąga rozwój wewnętrzny, jego własną drogą prowadzącą go do celii.

Coś z tych rozmów zostało w Michale, a coś może kiełkuje, by w przyszłości dać owoc.

Kiedy przychodził do mnie przygnębiony, mobilizowałam się ze wszystkich sił, starając się znaleźć skuteczne lekarstwo na aktualne jego zmartwienie.

Wiedziałam, że każdy dzień przynosi wiele okazji do smutku. Ludzkie słowa tyle ukłuc mogą zawierać, że trzeba być i starszym, i bardziej doświadczonym, aby pogodnie je znosić.

Po studniówce w szkole Michał był wyraźnie osowiały. Dziwiło mnie to, bo kiedy szedł, wydawało się, że będzie się świetnie bawił. Był zaproszony przez swoją sympatię, Ewę. Lubiłam bardzo tę dziewczynę o ogromnych, pełnych wyrazu oczach, i cieszyłam się, że obdarzyła Michała swoim pierwszym uczuciem. Miałam do niej zaufanie, wiedziałam, że nie skrzywdzi mojego chłopca.

— No, jak było wczoraj? — zapytałam nazajutrz syna. — Zabawa się udała, wesoło było?

— Tak sobie.

— Tańczyłeś?

— O tak, cały czas. Nawet jedna z nauczycielek zwróciła na mnie uwagę, że dobrze tańczę.

— No, to czemu mówisz, że zabawa była taka sobie?

•— A bo spotkała mnie przykreść. Przez Cześka. Już go nigdy nie zaproszę na prywatkę do nas!

Ścisnęło mi się serce, ale nie odzywałam się już, czekając, aż sam powie.

— Tańczyłem z Ewą i właśnie znaleźliśmy się koło tej nauczycielki, która mnie pochwaliła, że tak dobrze tańczę. Zaproponowała, żebym zapowiedział i poprowadził następny taniec. Wtedy Czesiek zwrócił się do niej i powiedział: „Proszę pani, to jest głuchoniemy, on nie ma do-brego głosu!” Wszystkim zrobiło się przykro. Czuję to. Ewa starała się, żebym o tym zapomniał, i była bardzo

140

miła, ale jej też było przykro, wiem. — Podniósł oczy znad talerza i spojrzał na mnie. — Powiedz mi, przecież ja nie jestem głuchoniemy. Dlaczego on tak powiedział, żeby wszyscy słyszeli naokoło? Nie jestem niemy, przecież mó-w i ę!

Oczy zrobiły się szare, bez śladu iskierki, które tak lubiłam. Pomyślałam chwilę.

— Oczywiście. A czy ty myślisz, że on chciał ci dokuńczyć?

— Nie wiem. Może... Dziewczęta chętnie tańczyły ze mną, a on tańczy słabo.

— Więc jeżeli tak jest, to nie powinieneś brać tego do serca. Przecież on sobie sam wystawił brzydkie świadectwo. Musisz przechodzić do porządku nad takimi sprawami, tym bardziej że na pewno spotkasz się czasem i z nie-dobrymi ludźmi... A swoją drogą, nie widzę potrzeby za-praszać do nas tego chłopca.

„GDYBY WSZYSCY LUDZIE DOBREJ WOLI...

Matura było już blisko, napięcie nerwowe dawało się odczuć w zachowaniu, słowach i samopoczuciu Michała, jego kolegów, a i naszym także.

Michał uczył się pilnie. Pamiętam, że tak w szkole, jak i na uniwersytecie wołałam uczyć się rano; wstawałam

0      świcie i kiedy cały dom był uśpiony, najlepiej mi się pracowało, a teraz moje dziecko stosowało zupełnie inny system: wołało pracować wieczorem, i to do późna w noc.

— Przecież w nocy umysł jest mniej sprawny, mniej chłonny! W nocy trzeba spać — wojowałam, ale na próż-no, bo Michał cierpliwie, lecz stanowczo mi tłumaczył:

— Mama, ty nie rozumiesz. W nocy w domu jest spokój i wtedy jest mi najlepiej. W dzień stale coś przeszkadza i rozprasza, jest ciągły ruch!

Urządził sobie nowy kącik do nauki, przysuwając stół do ściany, na której poprzypinał pluskiewkami mapy i kartki z wykresami. Na stole poustawiał podręczniki i encyklopedie. Różnokolorowymi ołówkami wypisywał wzory i definicje do zapamiętania, podkreślał ważne urywki i starał się ułatwić sobie naukę wykorzystując wzrok do maksimum.

Koło dwunastej podchodziłam do niego i dotykając delikatnie ramienia czekałam, aż się odwróci. Gdy podnosił na mnie wzrok, odległy i zdziwiony, mówiłam łagodnie:

— Może byś już skończył, już północ. Ale on potrząsał głową.

— Nie mogę, muszę jeszcze dziś dużo powtórzyć. —

1        dodawał gwałtownie: — Jaki ja byłem głupi, że tak mało się uczyłem przedtem, teraz mam tyle zaległości! To niemożliwe, żebym zdał maturę!

— Niepotrzebnie się boisz — uspokajałam. — Każdemu tak się zdaje przed egzaminem.

142

— Ale Ewa uczy się cały czas i całymi nocami, a zawsze była pierwszą uczennicą. Nie ma żadnych zaległości i zda na pewno, a ja nie zdam. Mama, pomyśl jak ona zda, a ja nie zdam? Wstyd! Mama, ja muszę zdać, ja jeszcze trochę się pouczę, nie przeszkadzaj.

Kiedy Olgierd był w domu (a często wyjeżdżał), pomażał synowi, najwięcej w matematyce, choć nieraz musiał sam dużo się nagłować.

Czasem wzywał mnie na świadka i czytając jakiś trudny ustęp mówił z oburzeniem:

— Popatrz, jak to trudno jest sformułowane. Przecież tą można powiedzieć znacznie jaśniej i prościej. To, co myśmy nieraz przyjmowali jako rzecz łatwą, tu jest podane w sposób skomplikowany i trudny nawet dla mnie do zrozumienia, a cóż dopiero dla Michała? No, powiedz, jak mu to mam wyjaśnić?

Aż pewnego dnia, na kilka miesięcy przed maturą, w czasie rozwiązywania jakiegoś zadania trygonometrycznego nasz biedny tata po prostu „wysiadł” i zażądał znalezienia dla Michała korepetycji. Chodziło o dobrego dydaktyka i takiego nam właśnie poradził jeden z przyjaciół

Profesor Łomnicki obawiał się podjąć tego zadania, nigdy bowiem nie miał do czynienia z głuchym chłopcem i nie wyobrażał sobie, w jaki sposób będą się porozumiewali. Poprosiłam więc o kilka lekcji próbnych w obecność ci mojej lub męża. Profesor się zgodził.

Już pierwsza lekcja przekonała go jednak, że porozumienie między nim i Michałem nie przedstawia żadnych trudności, ja natomiast z zachwytem obserwowałam, jak profesor w łatwy i oszczędny w słowa sposób potrafi wyjaśnić na pozór trudne zagadnienie. Michał rozwiązywał zadania i pisał wzory, ja patrzyłam na to niewiele TOZUT mając. W pewnej chwili Miś z wahaniem zatrzymał pióro, a nauczyciel szybkim ruchem dotknął ostrzem ołówka, pokazując tylko nawias. Michał natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i dalej już bezbłędnie rozwiązywał. Po tej pierwszej lekcji profesor sam powiedział, że asysta rodziców jest zbędna i że jego zdaniem wystarczy dziesięć lekcji dla przygotowania Michała.

m

Uczył się pilnie wszystkich przedmiotów egzaminacyjnych. Miał swój system, pracował według obmyślonego planu i nie pozwolił nam się zbyt wtrącać.

Martwiłam się tylko, że nieraz wstając od nauki był zupełnie wyczerpany nerwowo.

Podchodziłam do niego, a on machał ręką zniechęcony, mówiąc:

— Nic z tego nie wyjdzie; będzie wielka kłapa na maturze.

— Tak każdy z was mówi — uśmiechałam się uspokajająco.

Ale kiedy na mnie, niestety, przychodziły również chwile słabości i przygnębienia, starałam się wówczas schować, ukryć w najdalszym kąciку. Michał nieomylnie wyczuwał moje stany

psychiczne i stawał wtedy przede mną. Dla odmiany on mi dodawał otuchy i zawstydział. Podnosząc obie ręce w górę, jakby unosił jakiś ciężar, i patrząc na mnie wyczekująco mówił:

— Mama — nie wolno! Lwy nie mogą być słabe!

Była to aluzja do znaku Lwa, w którym się urodziłam.

Następnie sam przeistaczał się w Lwa; otwierając szeroko oczy i usta wysuwał ku przodowi dolne zęby, kilkoma ruchami dłoni kreślił w powietrzu zarys wielkiej grzywy i musiałam się uśmiechnąć, a o to mu tylko chodziło.

Bardzo nie lubił, kiedy byłam smutna.

Własny smutek potrafił radykalnie rozładować jazdą na motorze. Oznajmiał nam wówczas:

— Jadę trochę za miasto, na świeże powietrze, w mieście się duszę, nie mogę wytrzymać.

Wracał odmieniony, uśmiechnięty, pachnący świeżością.

Nieraz wyjmując z kieszeni jakieś małe kwiatki mówił:

— Najlepsze lekarstwo na zmartwienie lub zły humor to wyjść w pole, odetchnąć głęboko albo usiąść pod drzewem lub położyć się i patrzeć na obłoki. Zaraz czuję się lepiej! Patrz, w trawie rosły takie malutkie rumianki. Przywiozłem dla ciebie.

— To polne stokrotki — cieszyłam się. — Zaraz je wstawimy do wody.

Rozkładałam na spodku cieniutkie łodyżki i stawiałam na stole obok jego podręczników.

144

Ponieważ w szkole nie było tak dużej sali, żeby pomieścić wszystkich zdających, egzamin pisemny miał się odbyć w szkole podstawowej nr 19 na Salwatorze.

Jak większość matek, pracowałam w komitecie rodzicielskim i dlatego wyszliśmy z Michałem razem. Po drodze on mnie uspokajał, a nie ja jego:

— Nie trzeba się denerwować, mama, ja się nie boję.

— Ja jestem też spokojna! — stwierdziłam fałszywie, ale on się tylko roześmiał.

Sala gimnastyczna przeznaczona na egzaminy maturalne mogła pomieścić trzy klasy naszych abiturientów. Jeszcze było sporo czasu i mogłam zerknąć na tych biedaków szykujących się do batalii o dojrzałość. Każdy zdający miał osobny stolik, w sporej odległości od innych.

Przeszło mi przez myśl, że nic się tu nie da ściągnąć, i z przykrością wspomniałam własne osamotnienie w czasie rozwiązywania zadania na maturze.

Dziewczęta i chłopcy sadowili się, białe bluzki i ciemne garnitury tworzyły szachownicę.

Młodzież była poważna i skupiona. Całym sercem życzyłam im w tej chwili jak najwięcej rozumu, pamięci i szczęścia.

Punktualnie o ósmej rozpoczął się egzamin. Siedzieliśmy jak trusie, przygotowując kanapki w milczeniu, nie rozmawiając nawet. Nasz pokój był daleko od sali gimnastycznej i żadne wiadomości tu nie docierały. Ojciec Krzyszcia mocował się już dobrą chwilę, nie mogąc otworzyć puszek z szynką, trzęsące się ręce nie były tak sprawne jak zazwyczaj. Patrzyłam na niego opanowując z trudem własne zdenerwowanie. Nie wiadomo, kto bardziej przeżywał egzamin — dzieci czy rodzice.

Na egzamin ustny młodzież przychodziła w stanie najwyższego napięcia i strachu, a wiadomo, że spokojne nerwy to prawie zdany egzamin. Komitet rodzicielski oddelegował mnie do bezpośredniego kontaktu z młodzieżą, do „akcji podtrzymywania na duchu”.

Na zapleczu sali egzaminacyjnej była pusta klasa. Po-wynosiliśmy z niej ławki, postawiliśmy stolik, kilka krzeseł, znalazł się nawet kwiatek, i tu właśnie oczekiwali na swą kolej uczniowie, tu się krzyżowały pytania, odpowiedzi i ostatnie powtórki, tu była „giełda”.

Od samego rana urzędowałam tam, pochłonięta bez reszty, otoczona młodzieżą i jej problemami. Od czasu do

czasu strzelał jakiś dowcip, żart, rozładowywała się atmosfera strachu i zdenerwowania. Michał miał zdawać we wtorek i przez kilka dni wolnych siedział pilnie w domu, utrwalając w pamięci materiał. Zdawali inni, on czekając na wyznaczoną kolejność wykorzystywał każdą chwilę.

Tymczasem zachorowały dwie dziewczynki i zawiadomiły, że jutro, to jest w sobotę, nie stawia się na egzamin. Dyrektor zobaczywszy mnie zaproponował, żeby Michał zdawał wcześniej, w południowej grupie. Widząc, że wszyscy obecni chłopcy cofają się z przerażeniem i stanowczo odmawiają, odpowiedziałam, że zapytam Michała.

Było już późno i dzisiejsze egzaminy się kończyły. W drzwiach pokazał się Edzio Szyguła. Dookoła niego natychmiast utworzyła się grupka kolegów:

— No, co? Powiedz, jak było? Jakie miałeś pytania?

— Z wiadomości o Polsce wyciągnąłem budżet, a z reszty miałem łatwe pytania.

Kiedy wróciłam do domu, Michał razem ze Zbyszkim Fornalikiem powtarzał coś, ale na mój widok przerwali. Opowiedziałam o tym, co było, że nikt nie chce wcześniej zdawać, i czyby Michał się nie zdecydował. Dodałam, że absolutnie go nie namawiam, bo tu zdecydować musi on sam. W pierwszej chwili zdenerwował się bardzo i aż się cofnął, ale po zastanowieniu powiedział:

— Dobrze. Będę zdawał jutro.

Na wiadomość, że Edek zdał dobrze, chłopcy machnęli ręką, bo wiadomo, nie mogło być inaczej, ale jak powiedziałam o budzecie, Michał złapał się za głowę wołając, że nic nie pamięta.

— Tatusiu, chodź, powtórzmy?

Zaferowani siedli przy rozłożonych wykresach i notatkach. Czasu rzeczywiście było mało. Nazajutrz, w sobotę, wychodząc wcześniej do szkoły obudziłam Miśka, ale na wszelki wypadek prosiłam męża o dopilnowanie, żeby się nie spóźnił na egzamin.

Po moim wyjściu Michał odwrócił się na drugi bok i zasnął. Kiedy po godzinie przyszedł mąż do domu sprawdzić, Michał spał twardo. Obudzony, powiedział tylko:

— Nie warto iść, bo nic nie umiem — i znów chciał się położyć, ale ojciec mu nie dał. Wyszli z domu obydwaj, ojciec wrócił do biura, a syn pojechał do szkoły.

Wszedł wolnym krokiem, nie spiesząc się. Razem z grup-

ką „dyżurnych” chłopców siedziałam przy stole stojącym na środku pokoju. Był naturalnie Zbyszek Fornalik, Krzys i Leszek, i Edzio.

— Michał jest zupełnie spokojny, proszę pani — zdziwił się Zbyszek, znany ze swej nerwowości.

Rzeczywiście, Michał przechadzał się wolno, w skupieniu, nie patrząc na nikogo. Nie widać było śladu zdenerwowania.

Skąd mu się wzięło to opanowanie? Wygląda, jakby był w transie, taki pełen skupienia i oczekiwania!

Drzwi prowadzące do sali egzaminacyjnej otworzyły się i wyszedł dyrektor. Obrzucił wszystkich spojrzeniem i podszedł do Michała. Jego pociągła twarz rozjaśniła się, kiedy wziął oburącz mojego chłopca za ramiona i powiedział:

— No, chodź, bracie!

Na pierwszy ogień Michał wybrał matematykę, najtrudniejszy przedmiot. Wyłosał tematy i usiadł przy stoliku, aby się przygotować. Zadania szybko rozwiązał i kiedy podeszła



do niego nauczycielka, był już gotów. Spokojny i skupiony stanął przed tablicą i pisząc, zwięźle wyjaśniał wzory.

Zdał dobrze, o czym świadczyły uśmiechnięta twarz nauczycielki matematyki i zadowolenie komisji. Wszedł na chwilę przerwy i powiedział do kolegów:

— Dobrze poszło, zdałem.

Następnie wybrał język polski. Wyciągnął tematy dotyczące twórczości Wyspiańskiego, Kochanowskiego i Mickiewicza. Jasno i treściwie omawiał aktualność utworów Wyspiańskiego. Czuł, że mówi dobrze, i w oczach egzaminatorów widział uznanie.

— A dyrektor Schabowski odchylił się na krzesło i patrząc spod zmrużonych powiek na członków komisji powiedział: „No, to posłuchajcie!” — relacjonował nam później Misiek.

Tak, rozumiałam, dlaczego dyrektor Schabowski z satysfakcją przysłuchiwał się rzeczowemu, wypowiedzanemu w czystym, literackim języku odpowiedziom. Przecież to on zdecydował o przyjęciu Michała do liceum.

Tymczasem do nas, czekających na zapleczu, przyszedł Olgierd i ucieszył się bardzo na wiadomość, że Michał zdał matematykę, ale po chwili westchnął.

10\*

14?

; i — Szkoda, że nie można popatrzeć, jak on zdaje, bo coś długo go pytają.

Edek podniósł kędzierzawą głowę i powiedział: I.-\*\*\* Można, proszę pana, tam w korytarzu są na górze szybki, przez które można zajrzeć do sali egzaminacyjnej. Ja bym nie mógł, bo to jest prawie pod sufitem, ale pan jest bardzo wysoki i jeżeli na krzesło postawić stołek...

— Olgierd, daj spokój! — przestraszyłam się, bo mąż już chwycił krzesło z młodzieńczym błyskiem w oczach. Nie udało mi się go zatrzymać. Struchlałam, słysząc lekki stukot i pośpieszne kroki. Z korytarzyka szybko wyszedł Olgierd z komicznie zmieszana miną, a za nim śmiejący się Edzio.

— Uff, mało brakowało, a byłbym zleciał! — mówił Olgierd.

— Ale ja trzymałem krzesło, proszę pani! — usprawiedliwiał się Edek.

— No, mówże! — przynagliłam.

— Stołek się chwia, ale wlałem i przytknąłem twarz do szyby, to rzeczywiście wysoko; spojrzałem w dół... i napotkałem zdumiony wzrok jakiegoś pana z komisji egzaminacyjnej. Że też akurat popatrzył w górę i to prosto na mnie! O mało się nie zwałem.

— Ale Michała widziałeś przynajmniej?

— Widziałem. Siedzi przy stole przed komisją i mówi, a wszyscy z uwagą go słuchają. Ale z góry to widać tylko pochylone głowy, z wyjątkiem tego jednego...

Z historii Michał omawiał stosunki polsko-niemieckie od dziesiątego wieku aż do chwili obecnej. Miał to świetnie opracowane. Odpowiadał z uśmiechem, czuł w sobie przyptyw sił i energii, nieoczekiwaną radość. Nastrój jego udzielił się komisji i pytano go też z uśmiechem. Z nauki o Polsce wyciągnął temat: budżet i sejm, a przecież to wczoraj dokładnie przerobił z ojcem!

Ostatni był egzamin z geografii. Pomyślał sobie, że to musi być „popisowy numer”, i specjalnie ustawił tak tablicę z mapą, aby była widoczna dla wszystkich. To był jego przedmiot, w którym mógł zabłysnąć! Kiedy profesor mu przerwał dziękując, padła replika: „Przepraszam, ale jeszcze nie wyczerpałem tematu”. Wszyscy się roześmieli.

148

Jako jeden z nielicznych Michał otrzymał na egzaminie ustnym same piątki. A później padły uroczyste słowa:

Państwowa Komisja Egzaminacyjna po zapoznaniu się z wynikami pisemnego egzaminu dojrzałości oraz po wysłuchaniu odpowiedzi ustnych postanowiła wydać świadectwo dojrzałości Michałowi Domańskiemu.

Za swoje odpowiedzi na egzaminie Michał został wyróżniony i dyrektor przy wszystkich mu pogratulował. Członkowie komisji egzaminacyjnej głośno wyrażali swoje uznanie.

Czy trzeba opisywać, jak byliśmy szczęśliwi?

Była to sobota, 26 maja, Dzień Matki. I taki podarunek...

Wieczorem, już w domu, Olgierd mi opowiedział, że po egzaminie podeszła do niego nauczycielka polskiego. Nie znali się przedtem i nie spodziewał się tego, co teraz usłyszał:

— Myliłam się, nie doceniałam Michała. Teraz zrozumiałam swój błąd. Zasłużył na piątkę i dostał ją.

Tak więc Michał był już po wszystkim, gdy inni jeszcze zdawali.

Ewa i Bożena miały wyznaczone późniejsze terminy.

Bardzo się denerwowały. Michał pomagał im trochę w nauce, a w wolnych chwilach stosował „terapię świeżego powietrza”, wożąc dziewczęta po kolei za miasto. Naprawdę dobrze robił im ten „leśny wypad”; odświeżone i odprężone uśmiechały się do Michała, a on uważał za całkiem naturalne, że może pomóc innym. Był znany z tego, że potrafił rozładować ciężką atmosferę już samą swoją obecnością.

Sala kasyna oficerskiego była odświętnie udekorowana, posadzka lśniła jak lustro. Na podium mieściła się orkiestra, a po bokach ustawiono stoliki. Panie z komitetu rodzicielskiego wystąpiły w czarnych sukniach, ale ja, uważając, że dzisiejszy dzień jest pełen radości, włożyłam szafirową jedwabną sukienkę ze złotym łańcuchem, jak to właśnie było modne.

149

Olgierd był na Targach Poznańskich i miał przyjechać wieczorem, ale dotąd go jeszcze nie było.

Na dźwięk walca zawirowały pary, sala rozfalowała się różnobarwnymi balowymi sukniami, uśmiechnięte dziewczęta, pierwszy raz w życiu w tak uroczystych strojach, przechylały wdzięcznie główki w stronę przejętych chwilą kolegów.

— Patrzcie, nawet nie wiedziałem, że mam w szkole tyle pięknych dziewcząt! — dziwił się dyrektor obserwując z uśmiechem tańczących.

Rzeczywiście, były bardzo ładne i zgrabne, a radosne, z lekka kokieteryjne uśmiechy jeszcze dodawały im uroku.

Michał przyprowadził Ewę. Tańczyli teraz zataczając w walcu koła, on lekko pochylony nad nią, ona wpatrzona w niego i uśmiechnięta. Była w różowej sukni z bukietem kwiatków na ramieniu, krótkie ciemnoblond włosy ułożone miała w pukle.

Następna para mijła mnie w tańcu — to Halina ze swoim Arabem. Wyglądała jak odaliska, uśmiechnęłam się, patrząc na seledynowe tiule i wąską u kolan suknię. Ja-snorude włosy przy zielonych oczach i białej karnacji buździły zachwyt u ciemnoskórego Araba. Za nimi tańczyła czarnooka żywa jak iskra Krysia i długi Zbyszek. Mały Edzio uwijał się zwawo, i Ziutka, i Leszek, i Dyzio poważny jak zawsze — tyle ich, tyle, a wszystko znajome buzie, które tak szybko wydoroślały... — No cóż, cieszy się pani? — usłyszałam głos dyrektora.

— Jestem szczęśliwa jak nigdy w życiu! — powiedziałam z głębi serca. — I zawdzięczam to w znacznej mierze panu dyrektorowi. To pan powiedział: „Niech spróbuje”, gdy przyszedłam pełna wątpliwości, czy Michał da sobie radę w liceum. I był pan zawsze taki życzliwy... Dziękuję, dyrektorze.

Żeby można było zatrzymać czas! Wszystkie lata ubiegłe, ich trud i smutek były nieważne. Ważna była radość i Michał, jego szczęśliwa teraz, beztronska twarz oświetlona blaskiem lamp odbitych w lustrach.

.Ważna była świadomość osiągnięcia celu i wdzięczność dla ludzi, którzy w tym pomogli, ludzi światłych i dobrej woli.

### Część III

#### SUKCESY I PORAŻKI

Ledwie ochłonęliśmy z wrażeń związanych z maturą, pojawiła się wielka niespodzianka.

Michał otrzymał list z Warszawy z Polskiego Związku Głuchych.

Wytypowano go do zawodów lekkoatletycznych, które miały się odbyć w Paryżu za tydzień. W związku z tym przynaglano go, aby natychmiast wysłał odwrotną pocztą potrzebne papiery i dwanaście (!) fotografii. Czasu było rzeczywiście mało, ale Michał cieszył się jak dziecko, a nie jak „człowiek ze świadectwem dojrzałości”. Śmiał się i skakał z radości, a wreszcie jak zwykle zaczynał się mocować z ojcem. Denerwował się trochę, że przed samą maturą zaniedbał treningi, ale uspokajaliśmy go wszyscy, łącznie z jego trenerem w Krakowie, że przecież ta przerwa nie była długa, a przedtem ćwiczył konsekwentnie i zapamiętał. Wiem najlepiej, ile poświęcał na to czasu, jaki był obowiązkowy. Dobre rezultaty, które osiągał, nie spadały z nieba, chociaż był niewątpliwie uzdolniony w tym kierunku.

Teraz Michał miał poznać zawsze atrakcyjny Paryż.

Podróż zapowiadała się frapująco, bo mieli lecieć samolotem w obie strony. Gorączkowe przygotowania zaczęliśmy od gromadzenia słów i zwrotów francuskich. Ponieważ moja szkolna francuszczyzna była niewystarczająca, bo tu chodziło przecież o żywy język, Michał pobiegł do naszej znajomej i wypisał sobie trochę najkonieczniejszych potocznych zwrotów, które mogły się przydać w Paryżu. Garnitur miał nowy, zrobiony na maturę, przygotowaliśmy wszystko, co trzeba, a ojciec udzielał mu mnóstwa rad, przypominając swoje przygody kawalerskie z pobytu w Paryżu z czasów praktyki na statkach Char-geur-Reunis i wycieczek na ład.

151

— Mama, język francuski wydaje mi się łatwiejszy do mówienia niż polski! — dziwił się Michał — naprawdę! Dlaczego polski jest taki męczący? Tyle w nim spółgłosek, tyle wysiłku wkładam w mówienie i jeszcze nie wychodzi mi to dobrze.

— Podobno Sarah Bernhardt porównywała mówienie po polsku do gryzienia szkła — powtórzyłam znaną anegdotę.

Z Paryża Michał przywiózł złoty medal i mnóstwo niezapomnianych wrażeń. Już sama podróż samolotem była dla młodego chłopca czymś niezwykłym. Patrzył na wszystko szeroko otwartymi oczami. W Paryżu poza treningami zostawało mu sporo wolnego czasu, a że miał bardzo dobrą orientację przestrzenną, poruszał się dużo samodzielnie, chłonąc wprost atmosferę „stolicy świata” i zwiedzając zabytki. Opowiadając nam przeżywał wszystko na nowo, oczy mu błyszczały, przez twarz przelatywały błyski uniesień i zachwytów; chciał, abyśmy też to „widzieli”, więc dodawał coraz to nowe szczegóły.

— Z okna autobusu widziałem na parkanach...

— W Paryżu są parkany? — zdziwił się mąż.

— To były przedmieścia, nie centrum, więc na takich żelaznych ogrodzeniach lub nawet na murach domów widziałem białe napisy: O AS = SS albo O AS = znak swastyki!

—! Co ty mówisz, naprawdę? — zawołałam.

— Mamo, przecież to rok konfliktów między oasowcami a degaullistami o suwerenność Algieru — zawstydził mnie Michał, po czym dodał: — Zrobiłem nawet zdjęcie.

I tak dalej, i tak dalej opowiadał nam najprzeróżniejsze swoje spostrzeżenia. Ważne i mniej ważne, te przeżywane gorąco, warte zapamiętania, i te zabawne także.

— A jak ci się podobały Francuzki? — zapytał Olgierd swego dorosłego syna.

— Ładne, ale nasze dziewczęta jeszcze ładniejsze. Tylko one są swobodniejsze. Całują się z chłopcami i w metrze, i na ulicy, i w parkach.

— A to ci pewno najbardziej przypadło do gustu — zażartował tata.

Michał uśmiechnął się i dalej opowiadał: — Na treningi jeździliśmy metrem na drugi koniec miasta. To trwało tylko pół godziny, chociaż musieliśmy

152

się przesiadać. Ale metro! Kilkupoziomowe, trasy prowadzą we wszystkich kierunkach. Jeździłem często sam, nigdy nie zbłądziłem. Lubiłem też chodzić pieszo po ulicach. Widziałem Place de Varsovie, piękny! To koło wieży Eiffla — wyjaśnił. — Tam też byłem, na tej wieży. Piękny widok całego Paryża! Lubiłem także chodzić Avenue de La Fayette, najdłuższą arterią Paryża. Spacerowałem bulwarami nad Sekwaną, takie to było jakies nastrojowe.

— No, a jak zawody, opowiedz — prosiliśmy obydwójce;

— Stadion był koło Wersalu, bardzo ładny. W biegu na 100 metrów startowało nas dwóch Polaków, ale kolegą się potknął przy starcie i ja bardzo chciałem wyrównać tę stratę i zdobyć więcej punktów dla nas. Mocno pobiegłem i udało mi się zdobyć trzy metry przewagi. Za mną pozostał Niemiec, Anglik i Włoch, to był przecież mityng międzynarodowy.

Zmęczył się już tym opowiadaniem, nie chciało mu się mówić. Wiedzieliśmy, że nieraz jeszcze będziemy wracać do tych wspomnień. A o zawodach opowie nam szczegółowo.

— Ładny prezent po maturze taka podróż, prawda? — mówiłam.

— Pewnie! Aale, aale, zapomniałem wam powiedzieć! Przecież za dwa tygodnie mam wyjazd do Szwecji! Będzie mecz Polska-Skandynawia-NRF.

— Ma szczęście chłopak, kawał świata zobaczy — powiedział Olgierd i klepnął syna po plecach.

Michał na to tylko czekał i zaczęli się mocować jak zwyr kle.

— Tylko uważaj, nie zrób krzywdy ojcu — upomniałam, kiedy udało mi się złapać wzrok syna, ale Olgierd się oburzył:

— Komu krzywdę, komu krzywdę, ojcu?! Żebym ją jemu krzywdy nie zrobił!

Zapasy przybrały na sile. Wysłałam do kuchni robić kolację.

Podróże, zawody, treningi, medale — wszystko to jednak nie przesłaniało najważniejszej sprawy życiowej: co Michał będzie robił dalej. Chciał studiować, ja też o tym marzyłam. Mój mąż był realistą.

153

— Słuchajcie — mówił Olgierd — ja jestem zdania, że Michał powinien mieć dobry, konkretny zawód, i to jak najszybciej. Nieraz już mówiliśmy o szkole dla techników dentystycznych. Z tym on nie zginie w życiu. Jeżeli dostanie się tam i skończy, będzie miał byt zapewniony, a tak... No, mówmy trzeźwo, ostatnio ciągle choruję na serce, wolę, żeby on szybciej stanął na własnych nogach, będę spo-

kojniejszy. Ostatecznie — dodawał — jeżeli wszystko będzie dobrze, on skończy, a ja będę mógł pracować dalej, no, to będzie sobie studiował. Jeśli mu chęci nie przejdą, proszę bardzo! Ale teraz, Michał, zrób to dla mnie, zdoł bądź szybko zawód.

Zgodziłam się wreszcie z tym rozumowaniem, było na pewno logiczne. Michał zgodził się także. Do technikum dentystycznego został jednak przyjęty dopiero za zgodą Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Pomogła w tym opinia dyrekcji liceum, które Michał tak chlubnie ukończył.

Przyszła jesień, Michał się uczył i odbywał zajęcia praktyczne w nowej szkole. Ja zaś nawiązałam kontakty z Polskim Związkiem Głuchych i z zadowoleniem widziałam, jak zaczynają się realizować nasze dawne marzenia o poradnictwie dla rodziców dzieci głuchych. W związku z tymi kontaktami zostaliśmy z Michałem zaproszeni do Warszawy na zebranie, którego tematem była rehabilitacja dzieci głuchych. Pojechaliśmy autem ze znajomym. Misiek chciał pochwalić się swoimi umiejętnościami kierowcy. Miał przecież prawo jazdy. Pan K. pokazywał Michałowi, jak, jego zdaniem, najlepiej trzymać kierownicę, a on co pewien czas przejmował prowadzenie auta i jechał w skupieniu, pełen radości i dumy. Mały fiacik mknął po szosie, a ja nie zdawałam sobie sprawy, jak szybko jedziemy. Dopiero kiedy spojrzałam na licznik, przeraziłam się. Było sto dziesięć.

— Czy nie za szybko Michał jedzie? — zapytałam spokojniutko po chwili.

— Rzeczywiście, zwolnij, Michał. Wystarczy, jak będziesz jechał osiemdziesiątką — powiedział pan K. pokazując palcem na podziałkę.

154

Zajechaliśmy do Warszawy w ciągu trzech i pół godzin, ale powiedziałam sobie, że wracać lepiej pociągiem.

Mieliśmy zarezerwowany hotel i po dobrze przespanej nocy pojechaliśmy na Powiśle, do Związku Nauczycielstwa Polskiego, gdzie miało się odbyć zebranie.

Sala była wypełniona, spotkaliśmy dużo znajomych, a Michał zapoznał się z grupką niesłyszącej młodzieży i od razu usiadł z nimi przy jednym stoliku, niedaleko mnie.

Za przydialnym stołem zasiedli działacze Polskiego Związku Głuchych oraz przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego z prezesem Kwiatkiem na czele.

Usiadłam z lewej strony, przy jednej z matek, której przystojna córka siedziała obok Michała. Za mną, obok nauczycieli, zauważyłam znajomą lekarzkę i przywitałyśmy się serdecznie.

Pan K. uśmiechnął się i powiedział:

— Pani ma zdaje się tremę, pani Anno?

Westchnęłam nic nie odpowiadając. Zaczęło się zebranie.

Po oficjalnych przemówieniach głos zabierali dyrektorzy szkół specjalnych.

Słuchałam, jak każdy z nich zaczynał od tych słów, które ja sobie przygotowałam, a treść tych przemówień przewyższała wszystko, co bym mogła powiedzieć. Opowiadali o sukcesach, jakie osiągają prowadzone przez nich dzieci, umieszczane teraz w szkołach normalnych, dzieci, które od góry do dołu mają same piątki w cenzurkach i rokują najlepsze nadzieje.

Opowiadali o metodach, które stosują w oparciu o wieloletnie doświadczenia i studia.

Opowiadali o pełnym zrozumieniu podejściu światłych pedagogów szkolnictwa normalnego.

— A teraz jedna z matek opowie nam o swej pracy.

Proszę bardzo. Pani Anna Domańska — padło z trybuny.

Wstałam. Opuściłam rękę z kartkami, które sobie przygotowałam, i powiodłam wzrokiem po sali. W większości siedzieli tu dyrektorzy szkół specjalnych, pedagodzy i działacze PZG.

— Szczęśliwe te dzieci i szczęśliwi rodzice, którzy mają teraz taką pomoc i opiekę, o jakiej opowiadają tu dyrektorzy i wychowawcy. My na naszej drodze takiej pomocy nie mieliśmy, prawda, Michał?

— Tak, mam — odpowiedział Michał jak zahipnotyzowany, nie spuszczać Wzroku ze mnie.

155

W sali zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Wyzbyłam się wszelkiej tremy i opowiadałam, jak borykaliśmy się z losem w trudnych powojennych latach, bez książek, bez informacji i pomocy, głuche dziecko i młoda matka nie mająca pojęcia o pedagogice w ogóle, a o pedagogice specjalnej w szczególności.

Czułam ścisły kontakt ze słuchaczami i to mi bardzo pomagało. Na zakończenie oklaski speszły mnie i usiadłam cała czerwona, odkładając na bok niepotrzebne kartki. •

Teraz zabrał głos prezes Kwiatek. Mówił coś o randze społecznej, jakichś zasługach, o tym, że wychowanie głuchego Michała w rodzinie było niejako udanym eksperymentem, że nie odbierając mu atmosfery domowej i miłości rodziców na co dzień osiągnęłam dobre efekty.

Ze trzeba takim matkom zapewnić fachową pomoc. Zwrócony był w moją stronę i uśmiechał się ciągle, ale ja nie mogłam się już skupić. Byłam wyczerpana i wzruszona.

Potem ta przystojna dziewczyna, zarumieniona i uśmiechem pokrywająca zmieszanie, odpowiadała na pytania, które jej zadawał jeden z pedagogów, stojąc przed trybuną tak, abyśmy wszyscy ich widzieli. Mówiła wyraźnie i wszyscy ją rozumieli.

Następnie poproszono Michała. Wyszedł i zatrzymał się na środku. Jedna z pań stanąwszy przy oknie zapytała:

— W jakim mieście pan zdawał maturę?

Michał uśmiechnął się i obszedł ją naokoło. Stał od strony okna i zwracając się do niej powiedział:

— Teraz pani twarz jest oświetlona, proszę mówić. :

Zażenowana pani tłumaczyła się, że nie uczy w szkole głuchych, i zaczęła rozmowę z Michałem.

Swobodnie, miło padały pytania i odpowiedzi. I młodzież, i starsi działacze, i pedagodzy, wszyscy mieli coś do powiedzenia, do wyjaśnienia. Wychowawcy i rodzice wymieniali swoje doświadczenia i wątpliwości, młodzież nawiązywała znajomości opowiadając o swoich sukcesach i swoim życiu. Kilka osób podeszło do mnie, krzyżowały się uściski rąk i uśmiechy. Wszyscy byli zgodni w jednym: że takie spotkania trzeba urządzać częściej.

— Zaraz przyjdzie pani Walenta z jakąś panią — powiedział mąż. — Dzwoniła, kiedy ciebie nie było, a ja po-

156

prosiłem je na dziś po południu. Wiedziałem, że będziesz w domu.

Rzeczywiście, po kilkunastu minutach przyszły. Po przywitaniu się pani Walenta podała mi mały pakunek.

— Proszę to dać ode mnie Misiowi, kiedy wróci! Tyle razy nazywałam go ananasem, a on nigdy nie widział prawdziwego. Nie mogłam się więc oprzeć, kiedy się pokazały na wystawach, i kupiłam specjalnie dla niego. Ananas dla ananasa! — zaśmiała się zaraźliwie.

— Dziękuję bardzo, na pewno się zdziwi i ucieszy — uśmiechnęłam się na wspomnienie naszych dawnych utrapień.

— Myśmy tu przyszły do pani po radę, pani Anno — mówiła później przy herbacie. — Ta pani ma córeczkę, która kończy teraz siódmą klasę w naszej szkole specjalnej, na Pędzichowie. Dobrze się uczy i bardzo dobrze odczytuje z ust, a w dodatku ma rodziców,

którzy tak jak państwo robią wszystko, aby dziecku pomóc. Tak sobie myślimy wspólnie, czy nie można by teraz umieścić jej w szkole normalnej? Tak jak niegdyś Michała.

Popatrzyłam na matkę siedzącą naprzeciw. Uśmiech na twarzy, ściągnięte brwi i wyraz napięcia świadczyły o jej zaangażowaniu. Ale czy ona zdaje sobie sprawę, ile ją to będzie kosztowało wysiłku? Ją, jej męża, a przede wszystkim dziecko?

Nie kryłam trudności, nie przedstawiałam w różowych barwach drogi, którą chciała wybrać.

— Ale my mamy tylko ją jedyną i żyjemy dla niej — odpowiedziała.

— Rozstrzygnąć musicie państwo sami — popatrzyłam jej w oczy. — Jeżeli jednak córka chce iść do normalnej szkoły, ja bym zaryzykowała. Czytałam kiedyś wypowiedź psychologa, że jeśli dziecko dobrze sobie radzi w szkole specjalnej, należy je przenieść do normalnej. A może pani przyjdzie do nas z córką? Chętnie bym ją zobaczyła, porozmawialibyśmy wszyscy razem. Poznałaby pani mojego syna, a może i on by nam coś doradził.

Po kilku dniach przyszły i narada odbyła się w powiększonym gronie, bo i Michał wziął w niej czynny udział.

— Mów mi po imieniu — rzekł na wstępie (dziewczynka zwróciła się do niego „panie Michale”) — obydwójce jesteśmy młodzi.

157

Wydawało się, że i mama, i córka bardzo się liczą ze zdaniem Michała. Obserwowały go uważnie i z podziwem.

— Ja jestem zdania, że warto iść do szkoły normalnej — powiedział. — Po pierwsze — rozłożył palce — nauczy się płynniej mówić, bo teraz zbyt rozdziela sylaby; po drugie, program szkoły normalnej jest o wiele szerszy, więc będzie miała więcej wiadomości, będzie bardziej wykształcona — szukał odpowiednich słów chcąc być rozumianym przez dziewczynkę — będzie miała wyższy poziom!

— Ale jakie trudności, Misiu — podpowiedziałam, wysunawszy się ku przodowi, aby wejść w zasięg jego wzroku.

— Spokojnie, mama. Wiem o tym — zwrócił się znów twarzą do dziewczynki. Patrzyła na niego, a raczej na jego wargi, chłonąc każde słowo. Siedząca obok matka trwała nieruchomo w gotowości przetłumaczenia niezrozumiałego wyrazu, pośredniczenia między nimi, ale to było niepotrzebne, rozumieli się dobrze.

— Jesteś pilną uczennicą? — zapytał Michał.

— Nie wiem — odpowiedziała z zażenowaniem i spojrzała na matkę.

— Dlaczego mówisz, że nie wiesz? Ma same piątki! — powiedziała matka z satysfakcją, zwracając się w stronę Michała.

— A widzisz, a ja byłem ananas. Dobrze pani Walenta mówiła. Byłem leniwy, byłem łobuz, tak mówiła pani Walenta i miała rację. Aale skończyłem szkołę podstawową normalną, a potem zdałem maturę, i tak mi się nauka spodobała, że ucę się dalej, a widzisz. Podałam herbatę i wracając do rozmowy musiałam je-dnak popsuć trochę optymizm wywołany przez Michała. Znów przypominałam, żeby się obie nie łudziły pozorną łatwością tej drogi. Że dziecku trzeba będzie pomóc, cią-gle pomagać, i że trzeba tu liczyć nie tylko na wielką pracowitość i inteligencję dziecka, ale i na dobrą wolę szkoły.

Na pierwszą trudność nie trzeba było czekać. Zatelefono-wała zmartwiona pani Walenta, że pomimo interwencji, prośby i pozytywnej opinii, jaką dała dziewczynce jej na-uczycielka ze szkoły specjalnej, kierownictwo normalnej szkoły podstawowej nie wyraziło zgody na przyjęcie głuchego dziecka.

158

— Co ja mam robić? Błagam panią, niech nam pani pomoże — prosiła gorąco matka przejmując słuchawkę.

— Spróbuję — odrzekłam.

— Michał, podwieź mnie do tej szkoły — mrugnęłam porozumiewawczo do syna.

— To tam, gdzie zdawałem pisemny egzamin? Świetnie, przypomnę sobie maturę! Zapuścił motor, a ja trzymając się kurczowo jego ramienia wgramoliłam się na siodełko. Ruszyliśmy.

Ach, jak nie lubię jeździć na motocyklu przez miasto w czasie dużego ruchu, myślałam, gdy motor zatrzymał się przed czerwonymi światłami. Za mną złowieszczo skrzypiały opony zatrzymujących się aut. Zerknęłam w tył, o Boże, jak blisko! Zamknęłam powieki i skuliłam się na siodełku.

— Spokojnie, mama — rzucił mi przez ramię.

Przywołana do porządku wyprostowałam się i zawstydziałam. Czyżbym nie wierzyła w Michała?

Ruszyliśmy. Pewnie, równo grał motor.

I czego tu się bać? Tchórzliwy, stary babsztyl, wymyślałam sobie. Jak on pięknie jedzie. Zatrzymaliśmy się na dziedzińcu szkoły efektownym wirażem i ze sporym hałasem. Zauważono nas.

Kierowniczka szkoły, wysoka, tęga starsza pani z ciasno upiętym koczkiem, wysłuchała mnie uprzejmie, ale nie dała się przekonać.

— Te same argumenty słyszałam z ust pani S. ze szkoły specjalnej — mówiła i przecząco potrząsała głową. Sięgnęłam więc do najmocniejszego argumentu. Podeszliśmy do okna.

— Czy pani pamięta tego chłopca? — spytałam.

— Tego przy motorze?

Michał coś tam majstrował, ale jak gdyby wyczuł, że o nim mowa, bo wyprostował się i spojrzął w górę. Zobaczywszy nas przy oknie ceremonialnie się uklonił.

— Przystojny chłopiec, zaraz, zaraz, skąd ja go znam? — zmarszczyła brwi.

— W zeszłym roku zdawał tu maturę pisemną w dużej sali — przypomniałam.

— Ach tak, racja, pamiętam, pomagał przestawiać ławki. Jest bardzo dobrze wychowany — uśmiechnęła się miłe. — I pamiętam, że dobrze zdał maturę.

159

— I nie wiedziała pani, że to jest głuchy chłopiec, że on zupełnie nie słyszy? To mój syn, podwiózł mnie tutaj na motorze.

Ewa została przyjęta do tej szkoły.

Wracając z kliniki pediatrycznej, gdzie na zaproszenie profesora Halikowskiego na zebraniu lekarzy wygłosiłam referat o rehabilitacji głuchego dziecka, tak się zastanawiałam, że nie zauważyłam, jak siódemka skręciła w Długą. Wsiadłam więc i przeszedłszy na drugą stronę wsiadłam do tramwaju jadącego w przeciwnym kierunku. Myśli wróciły znów do mojego spotkania z lekarzami. Cieszyłam się z udanego referatu i dyskusji po nim. Nagle uwagę moją zwrócił młody śmiech. Był bardzo zaraźliwy, choć przytłumiony. Któż to śmieje się tak przyjemnie, myślałam. Gdzieś słyszałam już ten śmiech, ale gdzie?

Tramwaj zgrzytnął na zakręcie, ludzie rozstąpili się nieco w przejściu. Wychyliłam się z ławki, aby popatrzeć. Przedemną na ukos siedziała parka, ale widziałam tylko dziewczynę zwróconą twarzą do mnie, chłopca zasłaniaли ludzie.

Jakże ona była zajęta swym towarzyszem, ciemne oczy iskrzyły się zalotnie, uśmiechnięte usta ukazywały dwa rzędy białych zębów. Śmiała się perliście i cała zwrócona do niego pochłonięta była tym, co mówił.



Widziałam tylko jego nogi założone jedna na drugą i obute w „traktory” niezbyt efektownie wyglądające spod granatowych dzinsów. Rzeczywiście, przy tym miłym stworzeniu przydałyby się buty bardziej eleganckie.

Nagle doszedł do mnie znajomy głos. Niemożliwe! Tramwaj znów szarpnął, ludzie się cofnęli i nagle zobaczyłam mojego syna.

Zobaczył mnie, wziął dziewczynę za rękę i podeszli.

— Pozwól mama, to jest Jadzia, koleżanka ze szkoły dentystycznej!

I teraz dopiero ją sobie przypomniałam, to znaczy jej śmiech, któremu z przyjemnością przysłuchiwaliśmy się z drugiego pokoju, kiedy młodzież z tej szkoły tańczyła u nas.

160

Jak tylko zobaczyłam Olgierda, zaraz mu to wszystko opowiedziałam.

— To znaczy, że jest nią chyba zajęty? — pytał Olgierd.

— Wygląda na to. Mówię ci, bardzo się tym ucieszyłam. To rozstanie z Ewą dużo go kosztowało, taki poważny się zrobił od tamtej pory.

— No, co chcesz.

— W każdym razie, potrafi siłą woli przytłumić w sobie ból, a to wiele; nie każdy umie swoje myśli kierować w zamierzoną stronę. Pamiętasz, jak było po śmierci Pe-luta? Przecież nic nie mówiłam, chodziłam z wami po leśnie, ale bardzo to przeżywałam. Wtedy Miś podchodził nagle, stawał przede mną i mówił zmarszczywszy brwi:

— Przestań, znów o tym myślisz, nie myśl o tym, nie wolno!

— Tak, on potrafi się tak przestawić. A to bardzo ważne w życiu.

— Słyszałam, że i Ewa ciężko przeżyła ich rozstanie. No, ale chwała Bogu wszystko minęło.

Po powrocie do domu Michał mnie zapytał:

— Podobała ci się?

— Tak, przyjemna i pięknie się śmieje. Uśmiechnął się lekko.

— Zaprosiła mnie na Wielkanoc do siebie na wieś. Minęło parę tygodni. Michał miał wiele zajęć w szkole

i rano, i po południu. Wracał zmęczony i milczący. Aż raz przyszedł późno i widząc, że się u mnie świeci, wszedł. Odłożyłam książkę — ostatnio przyzwyczaiałam się przed snem trochę poczytać, odchodziły wówczas wszelkie kłopoty, myśl się uspokajała i sen był dobry.

Michał podszedł, usiadł i bez słowa popatrzył na mnie.

— Co się stało? — spytałam, bo umiałam czytać w jego twarzy.

— Byłam u Jadzi. Bez przerwy płacze. Cała zapuchnięta. Rodzice są przeciwni, żebyśmy chodzili ze sobą, wiesz. Kiedy zapytałam, czy to z tego powodu, że nie słyszę, zaczęła jeszcze więcej płakać. Powiedziała, że to ona decyduje, a nie rodzice. Ale ja już zaczynam to w sobie tłumić. Nie chcę. Potrafię nakazać to sobie. Nie chcę wbrew woli rodziców. Teraz jest mi ciężko, ale później byłoby coraz trudniej — pochylił głowę. — Nie chcę, żeby było jak z Ewą.

11 — Los w rękach twoich

261

Moment mobilizacji wszystkich sił? Tak, sił i uczucia. W tej chwili przyszło moje dziecko, moje małe dziecko, po pomoc.

Na wiosnę Michał ukończył szkołę techników dentystycznych z wynikiem dobrym.

Wręczając ojcu dyplom, przypomniał mu:

— Tatsu, obiecałeś mi, że będę mógł studiować dalej!

— Pamiętam i nie wycofuję się! — Tata promieniał i wyciągając portfel dodał: — Pamiętam też i o drugiej obietnicy. O nowym motorze! Chodź, zaraz kupimy. Uszczęśliwiony Michał jeździł więc na nowym czystym motocyklu (poprzedni, wysłużony, poszedł na złom).

— U nas sporo kolegów ze szkoły dentystycznej idzie na stomatologię. Mówią, że będzie łatwiej na studiach, a potem lepiej się pracuje będąc technikiem i stomatologiem jednocześnie!

— Misiu, ale to są ciężkie studia! — mówiliśmy.

— Wiem o tym. Aale, co jest łatwe? — patrzył i śmiał się. — A gdybym był stomatologiem, mógłbym leczyć głuchych. Wszystkich! A zwłaszcza głuche dzieci, które mnie by się nie bały i miałyby do mnie zaufanie, i... rozumiałyby mnie, i ja bym je rozumiał, nie tak, jak lekarz słyszący. Bardzo ciekawa jest ortodoncja, pomyśl, wszystkie dzieci miałyby piękne zęby... — marzył.

Niestety jednak nasze starania w Krakowie nie dały rezultatu, bo kiedy zgłosiliśmy się z Michałem u rektora Akademii Medycznej w sprawie przyjęcia Michała na studia — odpowiedziano nam, że to niemożliwe, bo dotychczas nie było precedensu.

Michał martwił się.

— Zrozum, Misiu, że to jest zupełnie normalne; jeżeli rozpoczynasz coś nowego, z czym się ludzie jeszcze nie zetknęli, to zawsze napotkasz opór, ludzie będą się przed nowym bronili, będą się piętrzyć trudności, to już tak jest. A ty nie upadaj na duchu!

Starłam się pokazać drugą stronę zagadnienia, a tym samym złagodzić przykrość.

Tłumaczyłam mu, jak umiałam, podkreślając konieczność wyrabiania w sobie cierpliwości. W końcu powiedział:

— Trudno. Ten rok trzeba przeczkać. Będę pracował

262

i jednocześnie przygotowywał się do egzaminu na przyszły rok. Zwrócę się do ministerstwa, tam są ludzie o sześciu horyzontach, może pozwolą na taki „precedens” — zakończył.

Tymczasem życie toczyło się dalej. Na monotonię nie mogliśmy się uskarżać. Sukcesy i upadki przeplatały się w zawrotnym tempie, nie pozwalając nam zaznać uczucia nudy.

Tworzyliśmy zespół rodzinny, w którym każdy z nas co pewien czas obejmował prowadzenie; na zmianę mobilizowaliśmy się i usiłowaliśmy wzajemnie „nałado-wywać się” spokojem i optymizmem. Rzadko się zdarzało, że cały dom był oklapnięty, a i to wtedy nagle przychodziło coś, co stawiało wszystkich na nogi.

Wykorzystywałam te dobre chwile, podkreślając w rozmowach, że życie jest ciekawe, bo po ciężkich dniach przychodzą piękne, i że właśnie trudne koleje losu są interesujące, przez to, że zmuszają do zmierzenia swoich sił i pozwalają smakować zwycięstwo.

A we wrześniu — Michał zmierzył swoje siły.

W tym roku rozpoczęłam pracę w Ośrodku Szkolenia Zawodowego Inwalidów i nie miałam urlopu, więc gdy Olgierd dostał wczasy w Zawoi, pojechali beze mnie, z Michałem. Wrócili do domu pełni sił i humoru, wypoczęci, odprężeni.

— Czuję, że mam świetną kondycję. To dobrze, bo niedługo zawody międzynarodowe w Dreźnie! — cieszył się Misiu.

— Na pewno przywieziesz jakiś medal — powiedziałam przyzwyczajona do jego dobrych wyników w sporcie.

Ale Michał miał większe aspiracje.

— Spróbuję pobić rekord świata. Od dawna o tym marzyłem. Mam formę — zwierzał się ojcu.

Nie potraktowałem tego zbyt poważnie, choć wiedziałam, że każdą wolną chwilę poświęca na treningi i że „liczą na niego” w klubie.

Pojechał.

Już w sobotę dwudziestego szóstego września, w dzieńniku sportowym radio podało: W Dreźnie odbył się międzynarodowy mityng lekkoatletyczny głuchych z udziałem zawodników NRD, Węgier i Polski. Podczas zawodów reprezentanci Polski ustanowili trzy nowe rekordy świata głuchych. Autorem dwóch jest Michał Domań-

11\*

163

ski, który przebiegł 100 m w 10,9, a 200 m w 22,4. Trzeci rekord ustanowiła polska sztafeta szwedzka (400 X 300 X 200 X X 100 m) uzyskując wynik 2,03 i poprawiając dotychczasowy wynik o 3 sek).

Poniedziałkowa prasa potwierdziła tę wiadomość, a Michał po powrocie opowiedział nam oczywiście wszystko ze szczegółami.

Ekipa polska została serdecznie powitana przez sportowców NRD. Michał był zachwycony stadionem, a zwłaszcza bieżnią, która była starannie przygotowana.

W sobotę po południu przy pięknej, słonecznej pogodzie rozpoczęły się zawody.

Wśród Polaków była opinia, że przeciwnicy są mocni: mieli startować finaliści z poprzednich Igrzysk Olimpijskich w Helsinkach, świetni sprinterzy. Gospodarze liczyli na łatwy sukces swoich faworytów. Michał był podekscytowany i przejęty. Rozgrzewkę zrobił dobrą. Zbliżał się start do biegu na 100 metrów.

Wzrastające napięcie, które trzeba opanować, podporządkować woli. Skupiona uwaga.

Maksymalna koncentracja. W pozornym bezruchu mięśni sprężona gotowość skoku. Myśli ucichły, a cała uwaga skierowana na postać startera.

W zawodach organizowanych dla głuchych starter musi być widoczny i zawodnicy nie spuszczać głów w oczekiwaniu na huk wystrzału. Michał patrzył na pistolet w wyciągniętej ręce startera. Na widok obłoczka dymu wyskoczył naprzód jak puszczone po naciągnięciu sprężyna. Reszta zawodników z miejsca pozostała w tyle. Była w nim jedyna myśl, jedyne dążenie: jak najszybciej być na mecie. Była w nim tylko szybkość. Był pierwszy. Wygrał. Po biegu z napięciem patrzył na tablicę, gdzie ogłaszano wyniki. Jaki ma czas? Kto za nim?

Na zawodach dla głuchych czas biegu na 100 metrów nie był nigdy lepszy niż 11 sekund, na tablicy zostało więc wpisane: 11. Czekano na dokładny wynik. Po chwili Michał zobaczył, że sędzia zmazuje cyfrę 11 i wpisuje 10,9!

Gratulacjom nie było końca, Polacy cieszyli się niezmiernie, a przeciwnicy uprzejmymi uśmiechami pokrywali swój zawód. Michał był bardzo szczęśliwy: w historii lek-

164

koatletyki głuchych — jako pierwszy na świecie zszedł poniżej 11 sekund.

Po czterdziestu minutach przerwy następny start na 200 metrów. I znów Michał wygrał z dużą przewagą nad współzawodnikami. Uzyskał czas 22,4 bijąc tym swój rekord życiowy.

(Poprzedni rekord świata należał do Amerykanina — 22,7.)

To już była sensacja. Michała otoczyli reporterzy, zaczęli go fotografować i przeprowadzać wywiad. Próbował z nimi mówić po angielsku, trochę po niemiecku, dogadali się w każdym razie. Opowiedział im o swoim marzeniu, o studiach medycznych.

Na zakończenie zawodów była sztafeta szwedzka. Michał biegł jako drugi zawodnik, na 300 metrów. W sztafecie był bardzo mocny zawsze, miał więc i tu swój udział, gdy padł trzeci rekord.

Wieczorem był bankiet. Nagrody czekały na specjalnym podium, dla zwycięzców piękne puchary. Najpiękniejsza była statuetka dyskobola, duża, srebrzysta, i Michał z radością na nią patrzył, bo dotąd za zwycięstwo otrzymywał tylko dyplomy i plakietki. (Chociaż raz, na Kalatówkach za zwycięstwo w zawodach narciarskich otrzymał szklaną śmietany!)

A teraz będzie miał prawdziwą nagrodę! Tę statuetkę albo któryś z pucharów. Skończyły się przemówienia, oczywiście w mowie migowej, jako jedynie zrozumiałej dla zawodników różnych narodowości.

Przewodniczący ogłosił wyniki, pogratulował Michałowi sukcesu, a statuetkę wręczył... zawiedzionemu faworytowi. Na pocieszenie. Nastąpiła konsternacja, wszyscy popatrzyli na siebie. Michał szybko stłumił zawód i pomyślał: „Niech się pocieszą, ja mam rekordy!” Wręczono mu małą drewnianą talerzyk z emblematem Drezna. Z drużyny Węgier szybko wyskoczył impulsywny kierownik i ofiarował Michałowi na pamiątkę zwycięstwa węgierską regionalną buteleczkę w skórzanej oprawie. Czarne oczy, czarne wąsiki i wyciągnięta prawica — razem mnóstwo życzliwości plus odwieczna polsko-węgierska przyjaźń.

A w Krakowie WKS „Wawel” na uroczystym zebraniu w kasynie oficerskim ofiarował Michałowi piękny, ogromny puchar z wyrytą na nim dedykacją:

265

Koledze Michałowi Domańskiemu

za ustanowienie dwóch rekordów świata w Dreźnie:

100 m — 10,9 sekundy i 200 m — 22,4 sekundy

WKS „Wawel” 20.X.1964

Była radość!

Oczekiwaliśmy ciągle odpowiedzi na podanie Michała, które wysłał jeszcze szóstego sierpnia. Kierując je do Wydziału Zdrowia WRN, prosił o etat technika dentystycznego w Krakowie, gdyż tu ma możliwość odbywania stałych ćwiczeń artykulacji. Dołączył również zaświadczenie o swoim braku słuchu. Ponieważ trzeba było dołączyć jeszcze zaświadczenie o grupie inwalidzkiej, poszli razem z ojcem na komisję.

Po powrocie Michał opowiadał:

— Dziwne to, że na tej komisji rozmawiali ze mną zupełnie normalnie, dopóki się nie dowiedzieli, że nie słyszę. Dopiero jak przeczytali zaświadczenie z kliniki laryngologicznej, że jest obustronna głuchota, przestali do mnie mówić i zaczęli mi wszystko pokazywać na migi. Ja tego nie rozumiem!

— Tak, Michał się nawet obraził na tego lekarza z komisji. — Olgierd wzruszył ramionami. Przyznawał rację synowi, że dziwnie ich potraktowano.

Michał złożył jeszcze kilka podań do różnych instytucji i cierpliwie czekał trenując w tym czasie lekkoatletykę i czytając mnóstwo książek. Zdobył pamiątki generała de Gaulle'a i wieczorami zawzięcie dyskutowali z ojcem.

Bardzo lubił czytać o autentycznych zdarzeniach i o „prawdziwych ludziach”. Z zapałem pochłaniał książki o wielkich uczonych, jak: Salk, Oppenheimer, Pauling, Rutherford i inni.

Wielkie wrażenie wywarła na nim wiadomość, że 25 kwietnia 1960 roku Pierre Gorman, człowiek dotknięty od urodzenia głęboką głuchotą, w Domu Senatu w Cambridge otrzymał stopień doktora filozofii.

— To jest najwyższe osiągnięcie! — powtarzał Michał, przejęty bardzo. — Mamo, to wzór dla mnie. To mi daje otuchy.

Ale bywała i inna lektura, zdarzało się, że jedną po drugiej pochłaniał książeczki z serii „Tygrysa”. Kiedyś we-

szłam do jego pokoju i zobaczyłam, że był cały nimi obłożony, a spory stosik leżał jeszcze obok na stoliku

Pomachałam ręką, dając znak, że chcę coś powiedzieć. Założył palcem miejsce, które czytał, i niechętnie podniósł wzrok na mnie.

Wyraziłam „druzgocącą krytykę” tego rodzaju lektury i dodałam swoje ubolewanie na temat Michałowyczn zainteresowań. Odłożył spokojnie książkę i patrzył. Kiedy skończyłam, pokiwał przecząco głową.

— Nie masz racji, mamsiu kochana. To ciebie nje interesuje, aale mnie bardzo. To jest cjeakaawe.

— Ale poziom tej lektury...

— Są różni autorzy, mamsiu — przerwał mi — aale

ja szukam treści. To jest wszystko autentyczne, oparte na nieznanym dotąd dokumentach.

Wszystko jest historyczne, prawdziwe. Bardzo lubię o tym czytać, zawsze lubiłem historię, wiesz przecież.

Wziął znów książkę do ręki.

— Mama, pójdziemy dziś z tatusiem do kina, i^am dwa bilety.

— A ja? — spytałam zawiedziona.

— To nie dla ciebie film, mamsiu. Tatuś pójdzie ze mną, bo film jest w polskiej wersji. Dubbing.

— No, proszę, to moje dziecko będzie decydowało czy film nadaje się dla mnie, czy nie, coś podobnego!

Olgierd chichotał, ale nie zabierał głosu. Wygocjnyf

— A zrób nam dobrą kolację — powiedział ty]fe0 wy-  
chodząc i zmrużył jedno oko.

Filmy bez napisów były utrapieniem Michała. Ruchy warg aktorów były nieczytelne, a dźwiękowej wersji nie odbierał przecież. Z kroniką filmową było lepiej, DO wzro-kowo była bardziej czytelna. Poza tym Michał zawsze był na bieżąco zorientowany w tym, co się dzieje w świecie czytał codzienną prasę, prenumerował tygodniki i czasopisma, interesował się polityką, a kronika pokazywała aktualne zdarzenia w tydzień po wiadomościach prasowych. Z łatwością rozpoznawał rejony, w których odbywały się zbrojne konflikty, czytelny był dla niego wygląd wojskowych, charakterystyczny ekwipunek } sylwetki. Był to jakby serwis fotograficzny znanych mu zdarzeń.

167

Kiedy byliśmy razem w kinie, podawałam mu skrótowo treść słownego komentarza.

Wysuwałam twarz nieco ku przodowi, w trzech czwartych zwrócona w stronę Michała.

Odblask ekranu padał na usta mówiące bezgłośnie, telegraficznym stylem.

Nieraz zatrzymywał mnie jednym wyrazem: „Wiem!” i uważnie śledził akcją. Czasem zwracał twarz w moją stronę, a wtedy szybko padało wyjaśniające słowo. Ale nie tylko ja i ojciec byliśmy jego „tłumaczami”. Chodził też na filmy z dziewczętami, które bardzo chętnie podawały mu w ten sam sposób treść oglądanych filmów dubbingowanych. Zawsze się świetnie rozumieli.

Posady Michał nie dostał. Otrzymał odpowiedzi, że nie ma etatów. Wreszcie pewien pan na kierowniczym stanowisku szczerze mi powiedział:

— Po co państwo posłali syna do szkolnictwa normalnego? Gdyby skończył szkołę specjalną, już by pracował!

Nie zdobyłam się na odpowiedź, bo mówił to w dobrej wierze...

Wczesną wiosną Michał zaczął kołatać do ministerstwa o zezwolenie na studia na stomatologii. W Krakowie był już nowy rektor Akademii Medycznej.

Michał bardzo starannie obmyślił i napisał podanie do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, podkreślając swoje dążenie do objęcia w przyszłości opieką pacjentów głuchych, których rozumiałby lepiej niż lekarze słyszący i cieszyłby się ich zaufaniem.

Podanie osobiście zawiózł do Warszawy.

Tymczasem szykował mu się jeszcze jeden wyjazd, i to bardzo atrakcyjny. W lipcu 1965 roku miały się odbyć Igrzyska Olimpijskie Nieśłyszących w Waszyngtonie.

Michał został powołany do kadry narodowej, trenował na razie w swoim klubie WKS „Wawel”, a czekały go jeszcze obozy kondycyjne Polskiego Związku Głuchych.

Trenerzy i zawodnicy wojskowego klubu darzyli go sympatią, doceniali jego talenty sportowe i bardzo dbali o jego rozwój jako zawodnika. Michał zaprzyjaźnił się z kolegami i dobrze się czuł między nimi. Byli wśród nich zawodnicy tej klasy co Ożóg, Stawiarz i Szordykowski. Życzliwa, przyjacielska atmosfera wpływała korzystnie na samo-

168

czucie Michała, był pełen wiary w swoje siły. Nie marnował też czasu i gorliwie trenował sprinty.

Stadion WKS „Wawel” był na Bronowicach, tylko jeden przystanek od naszego domu, i często z mężem spacerowaliśmy w tamtym kierunku, aby popatrzeć, jak trenuje Michał. Lubiłam przyglądać się, jak ćwiczył starty. W czasie zawodów ze słyszącymi zawsze tracił cenne ułamki sekund, bo nie słyszał wystrzału startera, widział dopiero dym po wystrzale, na treningach więc ćwiczył szybkie zrywy. Szczególnie pilnie to właśnie trenował, a ja patrzyłam, jak pochylony w pozycji startowej kierował uważny wzrok na trenera i zastygał w bezruchu.

Patrzyłam na regularny profil i wysokie czoło. Był jak posąg na tle zielonej murawy boiska i kwitnących za nim kasztanów. I nagle — silny wyrzut całego ciała, krótki bieg i powrót. Trener szlifował formę Michała, ażeby, jak mówił, osiągnęła swój szczyt na koniec czerwca, na olimpiadę w Ameryce. Czasy osiągnięte przez Michała potwierdzały te nadzieje. Pierwszy start po okresie zimowym przyniósł 11,1, potem było coraz lepiej. W maju biegnąc w barwach „Wawelu” na stadionie „Cracovii” uzyskał na 100 metrów czas 10,8 — swój nowy rekord życiowy. Cieszył się z rosnącej formy i spodziewał się nowych rekordów na Igrzyskach Olimpijskich. Ale następnego dnia, na tymże stadionie, kiedy minął kilku zawodników i dobiegał czołówki — poraził go nagle ostry szarpiący ból w prawym udzie. Gwałtownie usiadł. Kolejno mijali go ci, których przedtem wyprzedził. Kontuzja uniemożliwiła mu skończenie biegu. Był zrozpaczony. Przez boisko, na ukos biegł ku niemu trener.

W poradni sportowej chirurg po zbadaniu Michała zastośował blokadę nowokainową i zalecił przerwę w treningach co najmniej dwutygodniową.

— To jest kontuzja mięśnia dwugłowego i noga musi mieć teraz spokój — powiedział. — Jak się do tego zastosujesz, to nogę wyleczysz i pojedziesz na igrzyska do Ameryki.

— Na mnie tak liczą! Mówili w Związku, że powinienem przywieźć trzy medale! — biadał w domu Michał.

Tymczasem we Wrocławiu miał się wkrótce odbyć międzynarodowy mityng i Michał tam pojechał na polecenie PZG.

169

dzynarodowy mityng i Michał tam pojechał na polecenie PZG. '

Lekarz sportowy zezwolił na jeden tylko start, w biegu na 100 metrów, gdyż obawiał się o nie zaleconą nogę.

Były fatalne warunki atmosferyczne, deszcz, zimno i wiatr, a w czasie samych zawodów rozpięta się ulewa. Michał startując nie czuł żadnego bólu w nodze, blokada zrobiła swoje. Wygrał. Ale po biegu zwrócił się do niego trener-koordynator z żądaniem, aby startował również w biegu sztafetowym. Michał się opierał przypominając zalecenie lekarza. Nie pomogło to jednak; przekonywano go, że sprawa jest prestiżowa i musi pobic.

Pobiegł.

Miał ostatnią zmianę. Wygrywając, już na ostatnich metrach przed metą poczuł narastający ból w nodze, pomimo znieczulenia blokadą.

Z Wrocławia wrócił osowiały i bez humoru. Trener Kowalski z WKS-u wzruszał ramionami mówiąc:

— Nie rozumiem, co za krótkowzroczność. Chyba bardziej „prestiżowa” jest stawka olimpijska niż jakiś tam miting. Ja tu szlifuję pracowicie jego formę na początek lipca, a oni mi psują robotę — mówił z goryczą. — Jeżeli Michał w maju osiągnął 10,8 — to na koniec czerwca powinien ten czas poprawić o 0,2 sekundy; chłopak ma duże możliwości, ale boję się, czy nie zostaną zaprzepaszczone.

W tym czasie przyszło pismo z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, wyrażające zgodę na dopuszczenie Michała do egzaminu na pierwszy roku studiów na wydziale Stomatologii Akademii Medycznej w Krakowie.

A potem Michał wyjechał na obóz kadry do Wrocławia.

Byliśmy niespokojni o niego, toteż kiedy Olgierd był w Poznaniu, wracając wysiadł we Wrocławiu, by go odwiedzić. Do domu wrócił z niedobrymi nowinami.

— Wyobraź sobie — mówił — przy ostrym treningu kontuzja się odnowiła. Nie rozumiem, po co było forsować niepotrzebnie tę nogę. Nie wypadłby tak szybko z formy. Na te sprawy to tylko spokój i ostrożność, tak jak mówił lekarz. Czasu było dość, chłopak ambitny, nadrobiłby tę przerwę. Ale nie, mówili, że próżnuje, że się objaja, że nie trenuje gorliwie i że umyślnie to robi. A teraz to naturalnie jakiś diadynamic się stosuje i parafinę i licho wie co.

170

muTw °.; y +prZerazony J'eg° wyglądem, tak ściągnęło ^1 f PrZeZ tG nerWy- Chł°Pak Jest citóle w niepewności, grożą mu, że go nie zadowolą na olimpiadę, a przecież

Z ^ Przygotowywał d° niej przez dwa lata! A mało to

onowfarfairaP7rTrZił?~01gierd °dsaPnał chwile i z™w ^adaŁ'~ Z takie;i atmosfery niepewności i zdenerwo-

zlwSńw L f ""^ 77chodzl Zm^Ui go do kontrolnych ™Y.fZ7LI ał Się bl6C ostroż™> co doprowadziło do spięć między nim a trenerami. Mówił im, że najważniej-

SotLTkoniec3 k°ntUZJa' ale °ni Są nieubł^ani- ^si — Dobrze, że tam pojechałeś.

mó7wMok° d°brZe! NaWgt niS WieSZ' jak Się ucieszył na

nriZhT\* ^^ JUZ Dle WrÓdł' razem ze ^^Powaniem pojechał do Warszawy. Na igrzyska poleciecieli samolotem.

Zaczęły przychodzić kolorowe pocztówki. Pierwsza z Bu-dapesztu: Jesteśmy na lotnisku, mamy godzinę przerwy

sTe na\TT? -T"" ^^ Z BeIgradu: »P"esiadaZ-\T\* i"Sosłowski samolot, polecimy przez Alpy" Nad Alpami Michał przeżył wiele emocji. Daleko w dole

w%ZTi tasiemkfh serpentyn pięty się mozolnie

X 7oę+ t°Te PVnkciki aut Był0 ich wiele i wydawało, się, że tak wolniutko pełzną, z takim wysiłkiem! Wsadził nos w szybę i chłonał oczami rozległy widok. Roztaczały się przed nim góry, jeziora błękitne, ciemnozielone, płaskie obszary zalesienia, a potem już śnieg, śnieg i długie paśma lśniących lodowców. Na szczytach czysta biel. Dotychczas piękna pogoda nagle się zmieniła i samolot wpadł w burzę. Kazano zapiąć pasy. Głusi koledzy przerwali uWłrtwr°ZmOW^W -jęlyku ^g0^. ^dna z dziewcząt M l \ Z Z dłomach> osunięto zasłony na oknach. Michał nie cofnął twarzy od szyby - widok był fascy-nujący. Przy świetle błyskawic wyłaniały się szczyty gór i pędzące chmury, samolot rozchybotany i wstrząsany gwałtownymi podmuchami przemykał się między szczy-

Nad kanałem La Manche rozwidniło się i przez strzępy uciekających chmur zobaczył pełno płynących statków napadał zmierzch i widać było tylko kontury brzegów

171

Anglii. Wylądowali w Shannon w Irlandii, gdzie w porcie lotniska zjedli kolację. Przed nocą samolot wystartował i polecieł w ciemność, przez Atlantyk.

Dworzec lotniczy w Waszyngtonie zadziwił Michała. Zupełnie odmienny świat, rozważał obserwując ogromne lotnisko, niezliczoną ilość pasów startowych i najnowo-cześniejszych samolotów.

Przywitani przez przedstawicieli amerykańskiego Ko-mitetu Olimpijskiego, pojechali do Gallaudet College. Jest to duży kompleks budynków mieszczący w sobie uniwer-sytet dla głuchych studentów.

Dokuczał upał, treningi były na uniwersyteckim stadio-nie. Michał trenując próbował oszczędzać nogę, ale wywo-łał tym znowu niezadowolenie trenera. Denerwował się bardzo. Wiedział, że liczyli na niego i bardzo chciał nie zawieść, ale zdawał sobie sprawę, że z nogą jest źle, a tre-ningi pogarszają sytuację.

Eliminacje odbyły się na stadionie uniwersytetu Mary-land i Michał doszedł do finału w konkurencji na 100 me-trów. Niestety, pomimo opaski elastycznej czuł mocny ból. Napięcie nerwowe nie pozwalało mu spać.

Przed finałem nogę obejrzał lekarz amerykański.

— Ależ to zaawansowana kontuzja! Wyraźny obrzęk przy naderwanym mięśniu — lekarz obejrzał się na stoją-cych obok amerykańskich trenerów. Kiwali głowami za-skoczeni stanem nogi Michała. — To trzeba leczyć, a nie biegać, bo inaczej koniec kariery sprintera!

Och, czuł to, wiedział, czym to grozi, gdy pokonując ból walczył o dojście do finału.

W finale na 100 metrów przybiegł na metę ostatni. Le-żał na trawie czekając, aż przejdzie ostry ból. Nikt nie podszedł, byli z niego bardzo niezadowoleni.

Następnego dnia sam prezes PZG prosił Michała, aby zdobył się na wysiłek i uratował sytuację sprinterów w sztafecie, bez względu na kontuzję, bez względu na ból. Podał przykład Józefa Schmidta, ubolewał, że Michał za-wiódł pokładane w nim nadzieje. Medal musi być za wszel-ką cenę! Niech zrobi to dla Polski! Nie żałowano wielkich słów.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — odpowiedział.

Czuł jednak wielki ciężar. Pod wieczór poszedł opodal na wzgórze pod lasem. Usiadł na trawie. Nie było to so-

172

czyście zielona murawa polskich wzgórz; rdzawoczerwona ziemia i suche, spalone słońcem żdźbła traw potęgowały uczucie obcości. Czuł się ogromnie samotny. Ból w nodze był ostry, kłujący. Ogarniała go rozpacz. Czy potrafi iutro



pobiec, przezwyciężyć ten piekielny ból i osiągnąć szybkość? Bliski kompletnego załamania, zmobilizował całą siłę woli. Nie, trzeba przestać rozpaczać, odrzucić od siebie te sprawy, trzeba pomyśleć o czymś dobrym, miłym be? piecznym... o domu! .!

W tym czasie byłam sama w mieszkaniu. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, tchu brakło, dławiło w piersiach nogi miałam jak z waty. Byłam jak czuły odbiornik re' agujący na najlżejsze sygnały. Dławiący ciężar podcho-dził do gardła. Położyłam się bezwładnie na tapczanie i odległość między nami przestała istnieć.

Startował na ostatniej zmianie. To był prawdziwy bieg przez mękę. Minawszy metę upadł na ziemię. p0 pięciu minutach z trudem wstał i pokonując zawrót głowy noku stykał na bok, aby zdjąć kolce. ^

Zdobyli brązowy medal.

Ambasada polska przysłała zaproszenie na bankiet dla całej naszej ekipy. Na wystawnym przyjęciu Michał poznał Martę, córkę wysokiego urzędnika z Polski. Studiowała psychologię i w Waszyngtonie spędzała wakacje, aby—jak mówiła —nabyć wprawy w języku angielskim. Wieczór minął na miłej rozmowie i Michała zaproszono na wspólny weekend. J

Po uzyskaniu zgody kierownictwa polskiego obozu Mi—chał pojechał na całodzienną wycieczkę. Marta przyjecha—ła z towarzyszką autem, a ponieważ Michał miał między—narodowe prawo jazdy, zaproponowano mu prowadzenie wozu. W odległości pięćdziesięciu mil za miastem było je—zioro w lesie z pięknie urządzoną plażą i basenami kąpie-Jowymi. Tam właśnie się wybrali. Po ciężkich przeżyciach na stadionie było to fantastyczne odprężenie. Wracając do Waszyngtonu Michał wpadł w srogie opały

173

z powodu odmiennej sygnalizacji świetlnej. U wylotu bo—cznej drogi na skrzyżowaniu z autostradą zatrzymał się widząc czerwone światło. Przed nim było jedno, a nieco dalej aż trzy, i to na zmianę: czerwone i zielone! Zatrzy—manie się było błędem, o którym przypomniały donośne trąbienia długiego szeregu aut stojących na głównej dro—dze. Siedząca za nim pani przechyliła się szybko i powie—działa wskazując ręką: „Dla nas są te zielone, trzeba szyb—ko jechać!”

Aż się spocił z emocji. I tak jednak wzbudził podziw kolegów, że dał sobie radę w tak ogromnym ruchu w ob—cym wielkim mieście.

Po zakończeniu olimpiady zwiedził ze swoją grupą Waszyngton, obejrzał rzekę Potomac, Biały Dom, Capitol. W Arlington zobaczył groby wybitnych Amerykanów, a między innymi grób Kennedy'ego. Spotkał tu turystów różnych ras z całego świata.

Do Nowego Jorku grupa polska pojechała autokarem pę—dzącym szeroką autostradą z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Mijali mosty i tunele, przejechali pod zatoką, omijali większe miasta, wreszcie Michał zoba—czył z dala charakterystyczną panoramę Nowego Jorku, znaną mu z filmów i pocztówek. Oprócz zwiedzenia samego miasta mieli też okazję obejrzeć trwającą tu właśnie Wy—stawę Światową.

Choć pobyt na drugiej półkuli był pełen wrażeń, Michał wracał przygnębiony. Dawano mu ciągle odczuć, że nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Jak gdyby to była jego wina!

Na lotnisku w Warszawie z radością i ulgą zobaczył cze—kającego ojca. Natychmiast odłączył się od grupy i wrócili sami do Krakowa.

A w domu Olgierd mówił:

— Gdyby trening Michała pozostawiono w rękach jednego trenera, to miałby duże szanse uzyskania nowego rekordu światowego. Wiesz, jakie były wyniki dwóch pierwszych sprinterów? 10,7! A na to było Michała stać. Trzeba tylko było rozsądnie leczyć kontuzję.

#### NA EGZAMIN DO AKADEMII MEDYCZNEJ

Ze względu na udział Michała w olimpiadzie w Ameryce, która odbywała się w lipcu, wyznaczono mu termin egzaminu na stomatologię na dzień dwudziesty piąty sierpnia, a zdawać miał w Lublinie.

Sierpień spędzaliśmy całą naszą trójką w Krościenku. Był to pracowity urlop. Ja kończyłam pisać broszurkę dla PZWL, a mąż pomagał Michałowi powtarzać fizykę i chemię.

Czas upływał przy pracy nieubłaganie szybko i aniśmy się spostrzegli, kiedy trzeba było wybierać się na egzamin. Postanowiliśmy, że ja pojedę z Michałem.

Zbliżał się wieczór, słońce stało nisko nad górami, kończył się upalny dzień. Siedziałam na werandce i przepisywałam pilnie ostatnie rozdziały. Michał z ojcem majstrowali coś jeszcze koło motoru. Nagle usłyszałam tupot na schodkach i syn wbiegł na górę, a za nim wszedł ojciec.

— Mama, ubieraj się, pojedziemy lepiej teraz, jest chłodniej, będzie się nam dobrze jechało.

— Teraz, na noc? — zdumiałam się. — Jeszcze nie zdążyłam przepisać!

— Michał upiera się, żeby już jechać, może to i lepiej — poparł syna Olgierd. — Zyskacie na czasie, a przepisywać możesz i na miejscu.

Oponowałam jeszcze, ale moje argumenty nie przekonały nikogo. Przegłosowana, musiałam w szybkim tempie pozbierać się i być gotowa.

— Trzymajcie się, wszystko będzie dobrze! — żegnał nas Olgierd i jeszcze napominał Michała: — A nie strasz matki i nie jedź zbyt szybko! Piszcie! Telefonujcie! Dajcie jakiś znak!

Michał pewnie i szybko zjeżdżał połą ścieżką w dół. Na tym odcinku drogi zawsze przymykałam oczy, żeby nie widzieć stromizny i wybojów. Parę podskoków i chy-

175

botnięć, aż wreszcie włączony motor zagrał równo i wjechaliśmy na drogę. Od Krościenka skręciliśmy do Tylmanowej.

Piękna to trasa, po prawej stronie Dunajec różował od zachodzącego słońca, po lewej ciemna ściana Księżego Lasu. Od wysokich jodeł wiało chłodem.

Michał jak zwykle obracał głowę w prawo i w lewo, pokazując mi piękne widoki, a ja, jak zwykle, naprosto wywałam mu głowę, żeby patrzył przed siebie i uważał na drogę.

Jechał szybko, pewnie, przyśpieszając w miejscach, gdzie była dobra widoczność, zwalniając przy mijaniu osiedli. Spieszył się. Przed nami było do pokonania grubo ponad trzysta kilometrów.

Za Nowym Sączem zasygnalizowałam Misiowi, że warto by było zrobić przystanek, ale on nie zwalniając powieźdzał: — Poczekaj, zatrzymamy się w ładniejszym miejscu. Przed Rożnowem włączył drugi bieg i motor zaczął mierzwiście wspinać się pod górę. Droga wiała się ostrymi serpenżynami, co chwila odstawiając gładką taflę Jeziora Rożnowskiego. Na szczycie Michał się zatrzymał. Po obu stronach góry stały świeżo postawione stogi, rozciągał się widok daleko, na jezioro i pola.

Nogi mi zdrętwiały, więc z przyjemnością się rozprostowałam, zdjęłam hełm i zrobiłam parę kroków po zboczach. Od pół bił zapach ziół, jezioro miało barwę mlecznoopaliżującą, fiołkowe cienie ścieliły się przy brzegach. Był nierealny wprost spokój.

Wróciłam. Michał stał oparty o motor i pożywiał się bobem, który przezornie zabrał do nylonowej torebki.

— Już? Możemy jechać? — zapytał z pełnymi ustami i zaraz ruszyliśmy dalej.

W Tarnowie zatrzymaliśmy się tylko, żeby kupić ben-zynę. Szosa była prawie pusta, ściemniło się. Reflektor oświetlał mijane drzewa przydrożne, szybko ginące w mroku. Zaniepokoiłam się, że jedziemy środkiem drogi, i zaczęłam pokazywać ręką przed nosem Michała, żeby skręcił na brzeg szosy, ale on tylko pokręcił głową i krzy-knął:

— Spokojnie, mama!

Jechałam więc spokojnie, ale zaczęły mi marznąć palce,

176

o się coraz chłodniej. Skuliłam się na siodełku, cho-i»Jnc za plecy Misia. Po chwili, jakby odczuł, co się ze na dzieje, wyciągnął rękę do tyłu i otulił moje zięble pn l n> swoją wiatrówką.

- Zimno! — krzyknął.

- dawało mi się, że długo tak jechaliśmy, bo i głód za-łłał dokuczać. Przed nami pojawiły się światła.

- Dębica! — zawołał Michał — może tu coś dostanie-my do jedzenia.

Air to nie było takie proste. Rozgrzaliśmy się tylko her-ptą i ruszyliśmy w drogę. Do Sandomierza wjechaliśmy t dobrze zmęczeni i zmarznięci. Było pół do pierwszej, Hlanowiliśmy tu przenocować. Odpoczywając z rozkoszą I łóżku miałam jeszcze w uszach warkot silnika, a w mo-' '.cnych myślach przewijały się ciągle obrazy z po-Swoją drogą, czy marzyło mi się kiedy, że będę jechać k nocą, daleko na motorze, że będzie mnie wiozło moje !Jecko, które porywa się na kolejną, ciężką próbę?

! Rano Michał pozwolił wypić tylko herbatę, zjeść mieliś-

Wf gdzieś po drodze, bo szkoda było czasu. Znalazł jednak u" li<; tego czasu na pokazanie mi murów i baszt sta-hg<> Sandomierza — objeżdżając miasto dookoła.

i • ień zapowiadał się upalny, niebo czyste, bez chmur, bndomierz w słońcu i w kwiatach, które wychylały się ażdego ogrodzenia, zostawił miłe wrażenie.

ochaliśmy przez Annopol, minęliśmy Kraśnik —! to szmat drogi! szeie Lublin!

Wjeżdżaliśmy nowoczesną arterią komunikacyjną. Sze->ku szosa wylotowa przedzielona była pasem zieleni, po i jej stronach wznosiły się wysokie, kolorowe domy P«Jnicy akademickiej.

ł

tny jest Lublin, myślałam patrząc na zalane jaskra-słońcem domy, zieleń i kwiaty. Po lewej stronie te-e wznosił i jakaś roślinność spływała tarasami w kie-< I rogi. i my kompleks białych gmachów Uniwersytetu i ii Curie-Skłodowskiej i wjechaliśmy w natłoczone ni nim. Ruch był duży i chociaż bardzo nie lubię t na motorze przez miasto, tu było mi już wszystko

JO\* w rękach twoich

177



- To nadzwyczajne - mówił - &E!L^ . \*L?"
- trudności zwiowvcn
- cema sio, energią w pokonywaniu w\* n • ""
- Jednego się obawiam, wie pa\*\* f\*\*^1, w cza?f egzaminu spotka się z niechęcią lub \*\* ,J, w>SC1.ą. WP Y nie to na jakość jego odpowiedzi; ie0t^vdzo ^razhwy na atmosferę środowiska, które go otacza?^ \_ \_...
- Wiem, wiem, znam to! Przeci^/.^f^m P^ez szkolnictwo normalne. Wiem, jak utr^TM^ zy^e meprze-myślane wypowiedzi lub zachowani^
- Tak, ale ludzie nie zdają sobie z ^J^ełnie f^TM" wy. A potem wydają mylne sądy. <L>\* S\*fL\* Przykład: Michał może umieć i pny życzliwyf1 P^L^ do m?&> które nieomylnie wyczuje jakimś <\*^&^Zl^ ^em, bez żadnych zahamowań potrafi się ^Z^ T" pując temat. Ale z chwilą, kiedy \*?y a^ ^^fe zadane przez kogoś, kto sceptyczne się »^a??fte^Lfakt ^kl głuchego na wyższej uczelni - wp&\*? "o^TM na ^ kość odpowiedzi, jak na artykulacji A czySc0Sc wymowy.

- Tak, nerwy mają duże znaczenie - 116 w 2? „PraWa<\*, na pewno większe niż u ludzi pe^^h^ zmysłowo - zgodził się prezes. - Ale u ^Z^u\*\*' naukowa, jak słyszałem, odznacza się humanitarnym podejściem do studentów. Mam nadzieję, że spotka się z niezyczliwością w czasie wroby..

- Daj Boże — westchnęłam. . , ,  
Kawa była świetna, pan Sękowski był Plz^miłym roz-  
ir  
279

mówcą, wyszłam od niego podniesiona na duchu i obiecałam, że odwiedzimy go z Michałem. Zapraszał do domu. Chętnie poznam żonę i synów tego miłego człowieka.

- Mama, a jeżeli ja nie zdam?
- Przestań, Michał! Bez przerwy o tym mówisz i myślisz. Po co?
- Muszę myśleć, bo jeżeli nie zdam, będzie straszny wstyd.
- Nie będzie żadnego wstydu. Mało to twoich kolegów oblało egzaminy? A zresztą, już samo to, że ty stajesz do tak trudnego egzaminu konkursowego, jest twoim sukcesem! I to niezależnie od wyniku! Pomyśl, nie każdego stać na taką próbę. A czy powiesz się, czy nie — zobaczymy. Ty zrobiłeś swoje, nie szczędziłeś wysiłku, włączyłeś ambicję, wytrwale pracowałeś, cóż można więcej? A jeśli się nawet nie uda, bądź spokojny, nikt ci tego za złe nie weźmie. Zresztą, dlaczego ma się nie udać? Jesteś przecież przygotowany. Siedział dalej przy nie malowanym sosnowym stoliku i wbijał sobie w głowę wzory chemiczne.

— Słuchaj, czy nie lepiej byłoby pouczyć się razem z kolegami z męskiego baraku? Z tymi felczerami?

- Nie ma ich, gdzieś poszli, a dwóch śpi.
- Głodny już pewno jesteś. Pójdziemy na obiad, trochę odpoczniesz.
- Nie mam czasu, zjem tu cośkolwiek, nie przeszkadzaj, mamusi — powiedział niecierpliwie i znów wrócił do książek.

Po pewnym czasie namówiłam go jednak, abyśmy dla odprężenia poszli z obiecaną wizytą do państwa Sękowski. Obawiałam się nieco, w jaki sposób będzie przebiegała rozmowa między moim synem i prezesem, gdyż Michał nigdy jeszcze nie rozmawiał z niewidomym. Drzwi otworzył nam sam prezes.

— Cieszę się, że mogę pana poznać, panie Michale! Proszę bardzo, chodźmy — trzymając go oburącz za ramiona poprowadził do pokoju. Usiedli na tapczanie, a ja z panią Zofią, żoną prezesa, przy stole.

— Zosiu, czy moja twarz jest dobrze oświetlona? — za-troszczył się gospodarz.  
180

— Doskonale, panie prezesie — powiedział Michał.

— No więc, panie Michale, niechże pan mi opowie... — i potoczyła się rozmowa wartka, żywa, której my, ko-biety, przysłuchiwałyśmy się z podziwem i wzruszeniem. Obaj byli całkowicie sobą zajęci. Pan Sękowski uważał, aby jego twarz była zwrócona w stronę okna, dobrze wi-doczna, a Michał starał się mówić bardzo wyraźnie. Roz-mawiali o sobie, a mieli o czym mówić. Prezes był czło^ wiekiem, który mimo swego kalectwa osiągnął wyższe wy-kształcenie i sukcesy życiowe, Michał dopiero wstępował w życie, pokonując szczebel za szczeblem kolejne trudno-ści.

Nasza rozmowa z panią Zofią nie kleiła się, wymienia-łyśmy przyciszonymi głosami krótkie zdania, obie pochło-nięte rozmową, która toczyła się obok. Cała nasza uwaga skoncentrowana była na tych dwóch: niewidomym męż-czyźnie i głuchym chłopcu.

Weszli dwaj starsi synowie państwa Sękowskich i roz-mowa stała się bardziej ogólna.

Chłopcy opowiadali o me-czu piłki nożnej, z którego właśnie wrócili, potem zaczęli wymieniać uwagi na temat najnowszych modeli samo-cho-dów. Godzina naszej wizyty szybko minęła, wypadało się pożegnać. W drodze powrotnej dzieliliśmy się wraże-niami.

— Wiesz, mama, pod koniec zupełnie już nie pamięta-łem, że to niewidomy!

— Patrząc na ciebie, też nikt by nie powiedział, że nie słyszysz — uśmiechnęłam się. Michał wziął mnie pod rękę i przeszliśmy jezdnię. Upał był już mniejszy, zbliżał się wieczór. Przeszłam na lewą stronę, żeby syn nie patrzył na mnie pod światło, gdyż nie widziałaby wówczas ruchu warg, i mówiłam dalej: •

— I prezes, i ty żyjecie pełnym, normalnym życiem, nie czujecie się w niczym gorsi od słyszających czy widzących. O was można powiedzieć, że jesteście naprawdę zrehabi-towani.

Michał przystanął.

— Wiem — powiedział — że mamy niemałe osiągnięcia w dziedzinie rehabilitacji, ale wydaje mi się, że dużo h\*-dzi ma niewłaściwy stosunek do tych spraw. Sama wiesz, jak często ułomne dziecko budzi sensację, a wśród rówie-śników staje się przedmiotem drwin i prześladowań. Na  
182

własnej skórze przekonałem się, jak to smakuje. Ja co prawda w tych wypadkach argumentowałem pięścią. Na szczęście byłem silniejszy — zaśmiał się. — Ale to chyba nie jest właściwa metoda! A kto wie, czy nie gorsza je-szcze od drwiny jest litość... Żeby tak ludzie czasem spró-bowali postawić się w położeniu tego „innego”. Zrozumie-liby może, ile codziennego wysiłku trzeba włożyć w prze-zwyciężanie takich trudności, które dla zdrowych nie są w ogóle trudnościami, zrozumieliby też, jaką pomocą może być przyjazna zachęta i uznanie.

Nazajutrz była niedziela. Michał pojechał dla odpoczyn-ku na motorze za miasto, a ja wybrałam się do Warszawy zawieźć swoją broszurę do wydawnictwa.

Oddawszy maszynopis wstąpiłam do swojej koleżanki Maryli, która miała akurat dyżur w szpitalu.

— Patrz, kochana — powiedziała po przywitaniu się — znalazłam coś, co ciebie zainteresuje. Przejrzyj to sobie, a ja niedługo będę wolna.

Wyszła na oddział, zostawiając mnie samą. Zajrzałam do książki, była pisana po angielsku. Cóż ta Maryla? Za-pomniała, że nie znam angielskiego? I choć tego żałuję, za stara jestem na

naukę, zniecierpliwiałam się. Za stara? A nie tak dawno mozoliłam się nad matematyką, kiedy trzeba było pomóc Misiowi. „Niech się pani podciągnie z-ułamków, pani Domańska!” — stało mi jak żywo w pamięci. Już lepszy byłby angielski niż ułamki, pomyślałam trochę rozweselona, choć zła na siebie, że nie mogę znaleźć tej ciekawej dla mnie informacji. Tymczasem Maryla wróciła rzeczywiście szybko. Usiadła obok mnie na kozetce i otworzyła książkę.

. — Słuchaj, kochana, tu jest taka wiadomość, że w Manchester studiuje stomatologię głucha dziewczyna. Przypadek podobny, bo tam też matka tak pracowała nad dzieckiem i prowadziła je przez szkolnictwo normalne, jak ty to robiłaś z Michałem. Więc jak o tym przeczytałam, pomyślałam zaraz, że można by to pokazać sceptykom. Jak myślisz? Co? Zawsze co napisane, to napisane! Bardziej przemawia — dodała energicznie. — Czeka, już jest kawa, napijemy się.

Sięgnęłam po cukier i mimo woli jęknęłam: ostry ból

182

przeszył mi okolicę łędzwiową. Przeraziłam się, a Maryla pokiwała ze współczuciem głową i powiedziała:

-^ Korzonki, moja droga. Wątpię, żebyś mogła dziś wra-cać..

— Muszę dziś jechać! Trudno, wytrzymam.

— Słuchaj, ja też kiedyś to miałam, więc wiem, jak to wygląda: ruszyć się nie można, a ten ból nie jest łatwy do opanowania. To ta jazda motorem w nocy tak cię urzą-dziła. Ja wiem, że jesteś młoda — żartowała chcąc mnie rozweselić — ale bądź co bądź masz troszkę więcej niż dwadzieścia lat i takie wyczyny już nie dla ciebie. Skończ z tym, mówię ci to jako lekarz — zakończyła poważnie.

— Z Lublina będę wracała pociągiem — rzekłam od-wracając się w stronę Maryli, która wstała po coś od stołu. Znów zabolalo tak, że wydarł mi się okrzyk.

— I ty chcesz naprawdę dziś jechać? A to co?

— Nic, ćwiczę głos, artykulację! — zażartowałam.

Długo jeszcze rozmawiałyśmy. Maryla nie kryła swych

obaw, że Michał może mieć poważne trudności idąc w tym kierunku, który sobie obrał.

—: Ludzi nie jest łatwo przekonać, a studia medyczne są ciężkie.

— Wiem o tym. Tłumaczyliśmy, przedstawialiśmy jas-

no sprawę Michałowi, ale nie dał się przekonać, wierzy w swoje siły i jest pełen zapału.

Zamyśliłyśmy się obie.

-\*—' Cóż, niech próbuje — podjęłam. — Przecież są ta-kie przypadki na świecie, ot, choćby ten — uderzyłam ręką po książce. — No i w Kalifornii jest też praktykują-cy stomatolog.

— Wiem — odrzekła. — Próbujcie, może właśnie wyj-dzie.

Wracałam wieczornym pociągiem. Ławka była twarda, siedziałam z trudem, bo trzęsło i bolało. Zaciskałam zęby starając się myśleć o czymś innym. Jakoś tam dotarłam do Lublina i z ulgą położyłam się w łóżku.

Najtrudniej było rano wstać. Po wielu próbach, przy akompaniamencie niezamierzonych okrzyków udało się; zastosowałam skuteczny sposób: przewracając się z boku nn bok (jak związany Zagłoba w chlewie!) i tak poziomo spuszczać nogi stanęłam na podłodze. Gorzej było z wy-

183

prostowaniem się. Przestałam jednak myśleć o swoich dolegliwościach, bo Michał pod wieczór zaczął się bardzo de-nerwować. Żeby go oderwać od złych myśli, przypomniałam o telefonie do ojca.

— No, jak tam? — zabrzmiał w słuchawce niecierpliwy głos Olgierda. Zdałam mu szybko relację. — Powiedz Michałowi, żeby był dobrej myśli, powiedz, że ja jestem najzupełniej spokojny o niego. Niech sobie tylko powtórzy jeszcze prawa termodynamiki.

Michał w napięciu śledził ruch moich warg i wyraz twarzy w czasie rozmowy. Powtórzyłam mu jeszcze raz to, co mówił ojciec. Wydawało mi się, że mięśnie jego twarzy rozluźniły się, uspokoił się nieco.

— Olgierd, egzamin rozpoczyna się jutro o dziewiątej rano, biologia! W środę język, w piątek fizyka i chemia, w sobotę rozmowa i zakończenie. Zadzwoń jutro o osiem-nastej — informowałam go szybko.

— Powiedz Michałowi, żeby się nie spieszył, niech się zastanowi i napisze mniej, ale dobrze. Powiedz mu, że wszystko pójdzie jak najlepiej, ja o tym nie wątpię, umie to wszystko. Powiedz mu: „Michał, trzymaj się!”

Rzeczywiście ojciec swymi rzeczowymi uwagami i pewnością dodał mu otuchy. Michał uspokoił się nieco i wrócił do książek.

Nazajutrz, dwudziestego piątego sierpnia, poszliśmy razem. Padał drobny deszcz. Michał był skupiony, milczący i bardzo poważny. Odprowadziłam go aż na schody i przystanąłam na półpiętrze. Wysoko na ścianach wisiały portrety dawnych profesorów.

Po kilku godzinach zaczęli wychodzić ci, którzy już napisali. Stałam na dole, kiedy podszedł do mnie jeden z nich. Był to wysoki, tęgi felczer.

— Czy pani jest matką tego głuchego? — zapytał.

— Tak.

— Co za sens, żeby on szedł na stomatologię! Jakże będzie się porozumiewać z pacjentami? Będzie do nich pi-sał liściki czy jak?

— Nie, on przecież mówi — odpowiedziałam spokojnie.

— Jeżeli zda, niepotrzebnie zabierze miejsce innym — burknął pod nosem i odchodząc wzruszył ramionami. Odwróciłam się i zobaczyłam Michała.

— Pytania były trudne — powiedział. — Wiesz, kiedy

184

przeczytałam, zrobiłem się cały mokry, spociłem się! Ale potem starałem się uspokoić i zacząłem pisać. Chyba do-rZ^7~PrZerWał' bo zobaczył, że obok, chowając twarz w dłoniach, płacze szczupła blondynka. Łzy sypały się gradem, miała mokrą od nich bluzkę.

— O Boże, Boże, chyba źle wypadłam, co to będzie, jeśli się me dostanę... — jęczała. Wysoki, czarnooki felczer zaczął ją uspokajać rzeczowo.

— No i czego płakać? Nic się nie stanie, a w każdym razie nic takiego, po czym trzeba rozpaczać. Pani pierwszy raz zdaje? Tak? A ja szósty i wszystko przemawia za tym, że na przyszły rok będę zdawał po raz siódmy, a nie martwę się i me płaczę. Powiedziałem sobie, że do dziesięciu razy sztuka. Będę cierpliwy.

ko?iZ^SCy Się zaśmieli' a dziewczyna powiedziała już spo-

— Ale pan pracuje, to może sobie zdawać, a ja muszę szybko skończyć i zacząć pracę...

Potem Michał zaczął z nią rozmawiać i uspokoiła się zupełnie.

Wieczorem w naszym baraku zebrała się młodzież, by razem powtarzać materiał. Na stoliku rozłożone notatki



Włosem włożyła Marysia \* Ewa tuż obok siebie, a Michał co chwila nachylał się, uważnie śledząc ruchy ich warg. Ewa, ta, która niedawno tak płakała, miała jeszcze spuchnięte oczy, ale już była w lepszym na-  
Dobrze im się razem pracowało, ale byli wszyscy zmęczeni, więc gdy przyniosłam jakieś jabłka i cukierki, zaczęli rozmawiać. Patrzyłam na Marysię, która właśnie mówiła o sobie. Proste czarne włosy miała szesane za uszy, a ciemne oczy nie były podkreślone Kredką. Zdaje w późniejszym terminie, bo w czasie pierwszych egzaminów tatuś mi umarł — opowiadała. — uwzględnili mi to i pozwolili teraz zdawać. Muszę koniecznie dostać się na studia i prędko zostać lekarzem, bo u nas w domu ciężkie warunki. Mam dużo rodzeństwa, siedmioro, a matka niezbyt zdrowa. Bardzo chcę być lekarzem. Zostałabym na wsi, u nas lekarz jest tak potrzebny! A ja — mówiła Ewa — na wiosnę skończyłam technikum farmaceutyczne i myślałam, że będzie mi łatwiej dostać się teraz na farmację.

185

— To tak jak ja — włączył się Michał. — U nas w szkole też mówili, że stomatologia jest łatwiejsza po szkole dentystycznej, i sporo kolegów od nas zdawało na wiosnę w Krakowie. Nie wiem, jak im poszło, bo byłem wtedy w Waszyngtonie — rzucił na pozór obojętnie, ale zerknął przy tym, jakie to zrobiło wrażenie na panienkach. Obie się zainteresowały.

— Byłeś w Waszyngtonie? — Ewie z wrażenia grzywka opadła na oczy.

— Tak, na igrzyskach sportowych, i dlatego zdaję teraz, a nie w lipcu.— Pomilczał chwilę i dodał: — Marysia mówiła, że chce być lekarzem w swojej wsi, bo tam czułaby się bardzo potrzebna. Ja ją rozumiem. Każdy chciałby robić to, co uważa za najszlachetniejsze. Jeżeli o mnie chodzi, to chciałbym zdobyć takie wykształcenie, aby pomagać głuchym. Gdybym skończył stomatologię, leczyłbym ich i pomagał im. Głuchoniemi mają duże trudności w porozumiewaniu się z ludźmi słyszącymi, a ja te trudności pokonałem i mam już dużo doświadczeń za sobą. Rozumiem głuchoniemych i rozumiem ludzi słyszących, przydałbym się chyba. Teraz mnie ciągle przestrzegają przed studiami medycznymi, że są trudne i że głuchota jest przeszkodą nie do pokonania. Wydaje mi się, że do leczenia zębów słuch nie jest konieczny, tu potrzebny jest wzrok i odpowiedzialność. Zresztą, teraz coraz powszechniej pracuje się w zespole, więc i ja bym się przydał, choćby na przykład w chirurgii szczękowej. Ręce mam sprawne, a interesowałem się tym od dawna. Jeszcze przed maturą często myślałem o tym zawodzie, o niesieniu pomocy innym, a przede wszystkim inwalidom.  
: Wypowiedziawszy to swoje „credo” umilkł i spojrzął na dziewczęta.

— To jest piękne, co mówisz — szepnęła Ewa.

Profesor Benedykt Dylewski udzielił mi wielkiego moralnego poparcia wyrażając swoją opinię o możliwościach studiów Michała na stomatologii.

Kiedy mu ze wzruszeniem dziękowałam, stary laryngolog popatrzył na mnie dobrymi, wiele rozumiejącymi oczami i rzekł:

— Syn zawdzięcza to pani przede wszystkim, ale i sam

186

zasłużył na to. Uprzedzam jednak — dodał po chwili — że studia medyczne są bardzo ciężkie i będą wymagały ogromnego wysiłku ze strony chłopca.

— Zdajemy sobie z tego sprawę, panie profesorze, i Michał nie będzie szczenił pracy, ale wydaje mi się, że wiele też będzie zależało od wykładowców i ich podejścia do tak niezwykłego przypadku. Zostały już chyba zresztą przełamane najgorsze opory, skoro ministerstwo zezwoliło na studia Michała. Mamy nadzieję, że syn nasz nie napotka ludzi, którzy by chcieli utrudniać mu i tak niełatwą drogę.

Myślę, że będą mu raczej pomagać i zachęcać do dalszych wysiłków...

Profesor jeszcze raz uśmiechnął się do mnie.

— Należy mieć nadzieję. Chciałbym pani syna pokazać moim asystentom i studentom, bądź co bądź, to nie jest częsty przypadek, by głuchy chłopiec osiągnął tak wysoki stopień rozwoju intelektualnego.

Wychodząc obrzuciłam spojrzeniem szczupłą sylwetkę i pogodną twarz profesora. Zachowam w pamięci spokojne spojrzenie siwych oczu i prostotę obejścia cechującą ludzi tej miary co on.

Stałam przed dużym szarym gmachem, na którego fasadzie widniał napis: „Collegium Anatomicum”.

Egzamin odbywał się na piętrze i godziny oczekiwania wlokły się nieznośnie. Czekać na Michała schroniłam się przed upałem w cieniu drzew. Przy wejściu stało dwóch studentów mieszkających w naszym baraku. Jeden z nich podszedł do mnie.

— Michał jeszcze nie wychodził? — zapytał, a kiedy pokiwałam przecząco głową, dodał: — Proszę pani, ja nie wiedziałem, że Michał jest głuchy, nawet mi to nie przyszło do głowy! Przecież z nim się zupełnie swobodnie rozmawia. A parę dni temu, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy i odezwał się do mnie, myślałem, że to cudzoziemiec, może Czech. Mówi jakby z obcym akcentem, ale wyraźnie. A wczoraj do późna w noc rozmawialiśmy z sobą w baraku. To taki fajny chłopak i ma dużo wiadomości.

— Mówił mi syn, że kilku kolegów wam spać nie dało.

— A tak, bo ze strachu przed dzisiejszym dniem za  
187

długo przy kieliszku się zabawiali i nie mogli się do domu dostać.

Słuchając nie przestawałam myśleć o Michale. Nagle zobaczyłam go. Uśmiechnięty szedł w moją stronę.

— Trudno było, mama. Zmęczyłem się.

Podeszli koledzy, zaczęli omawiać tematy egzaminacyjne. „Jaka ilość chloru jest potrzebna do tej reakcji i jaką zajmuje on objętość” — dochodziło do mnie. „Czy chlor rugował jod?” „Rugował, ale jod nie może rugować chloru!” — mówił Michał, a ja go pociągnęłam za rękaw, żeby popatrzył na mnie. Kiedy spojrział, powiedziałam z udanym gniewem:

— Michał, mów wyraźniej, przecież trudno cię zrozumieć!

Ale on spojrział na mnie i uśmiechnął się pobłaźliwie:

— Nie udawaj, ty mnie zawsze rozumiesz, wiem, że chodzi ci o kolegów, ale teraz ledwo żyję, zmęczyłem się. Tyle dni się denerwowałem, a teraz spokój.

Tak, ale nie na długo.

W sobotę każdy ze zdających stawał przed komisją egzaminacyjną i odbywała się rozmowa: był to jakby sprawdzian inteligencji.

Stałam na dole, przechadzałam się przed gmachem, uciekałam znów przed słońcem do zimnego hallu. Na krzeselku siedziała portierka pilnując, aby nikt z niepowołanych nie przedostał się na schody prowadzące do sali egzaminacyjnej. Na pozór odpychająca i skrzywiona, znalazła jednak parę słów ciepłych, a w mojej sytuacji i to dodało mi ducha.

Te słowa były oczywiście o Michale, o jego wyglądzie i zachowaniu. Znało go wiele osób i interesowano się jego sytuacją. Zrewanżowałam się mówiąc o naszych miłych wrażeniach z Lublina, o ludziach, których tu spotkaliśmy.

— Nawet w biurze, w dziekanacie, kiedy syn składał papiery, spotkał go uśmiech i życzliwość ze strony kierowniczkę, tej młodej, ładnej pani.

— Pewnie — przytaknęła woźna. — To sekretarka rektora, ona rozumie ludzi, bo sama ma trudne życie.

Nie dopytywałam się, ale pomyślałam, że to prawda, że

188

tylko ludzie, którzy sami coś przeszli lub borykają się z jakimiś trudnościami, znajdują zrozumienie dla innych. Tymczasem Michał stanął przed komisją egzaminacyjną, ogromnie stremowany. Wieloosobowy zespół wyglądał bardzo dostojnie, obecny był również delegat Ministerstwa Zdrowia, chyba ze względu na zdającego Michała.

— Mama, wiesz, wszyscy uprzedzali mnie, że przewodniczący komisji niewyraźnie mówi, i wyszło zabawnie, bo właśnie mówił za wyraźnie. Zadał mi pytanie, a ja się spieszyłem, bo on starał się mówić już zbyt powoli, dzieląc wyrazy, żebym lepiej zrozumiał, i tak szeroko otwierał usta, że z początku nie mogłem zrozumieć: więc jak zobaczył, że patrzę na niego przestraszony, zwrócił głowę do profesora, który siedział obok niego, i powiedział, żeby on mnie zapytał, powtarzając pytanie. A ja oczywiście wszystko wtedy rozumiałem, bo powiedział już normalnie, choć zwrócony bokiem do mnie. No, to powtórzyłem za nim pytanie, a on wtedy się zdumiał i zawołał:

— Patrzcie, to on tak odczytuje z ust, nawet bokiem! — wszyscy się uśmiechnęli i wytworzyła się tak przyjemna atmosfera, że przestałem się denerwować i odpowiadałem. Patrzyli na mnie z życzliwością, a nie tak krytycznie, jak to czasem, wiesz...

Ale to opowiadał już później, a wtedy, zaraz po egzaminie, kiedy zszedł ze schodów i zobaczył mnie czekającą na dole, powiedział tylko:

— Zdałem. Jestem przyjęty na Akademię Medyczną.

Tydzień spędzony w Lublinie zmęczył nas. Wielkie napięcie psychiczne, codzienne upały, siedzenie po nocach, wszystko to sprawiło, że Michał czuł się jak pijany, był podniecony, a jednocześnie wyczerpany. Szalał z radości, że zdał egzamin. Chciał nawet od razu jechać w nocy motorem do ojca, do Krościenka, ale go uprosiłam, żeby najpierw się przespał, odpoczął, tłumacząc, że po tych wszystkich trudach miałby osłabiony refleks. Ja oczywiście miałam jechać pociągiem, ze względu na swoje korzonki nerwowe, o których wprawdzie nie chciałam pamiętać, ale które dawały mi się nadal we znaki. Michał odprowadził mnie na stację, ale nie czekał do odejścia pociągu, pożegnał się wcześniej.

189

— Taki jestem wyczerpany, nie gniewaj się, mama. Za raz idę spać! — mówił, ale jednocześnie śmiał się i widać było, jak bardzo jest szczęśliwy.

W pociągu tłok był niesamowity, a na tak zwaną kuzetkę nie starczyło mi pieniędzy.

W Krakowie zabawiłam tylko godzinę i zaraz wsiadłam do autobusu, by dostać się do Krościenka. Zostało nam jeszcze kilka dni urlopu, które miały być wreszcie prawdziwym odpoczynkiem dla nas trojga.

Byłam wciąż oszołomiona i przejęta ubiegłymi zdarzeniami, toteż po radosnych powitaniach z Olgierdem chciałam mu wszystko od razu opowiedzieć. Dopytywał się o szczegóły, kazał sobie powtarzać niektóre rzeczy i od czasu do czasu wtrącał:

— No, no, ale zuch chłopak, no, no...

Ledwie zdążyłam rozgościć się w domu po podróży, opowiedzieć o egzaminach Michała gospodarzom, którzy go bardzo lubili, gdy nieoczekiwanie siedząc z mężem na we-randce i podziwiając panoramę Krościenka z błyszczącym w słońcu Dunajcem usłyszeliśmy znajomy

warkot motoru. To Michał pokonywał drugim biegiem ostatni, najbardziej stromy odcinek drogi.

— Jakim cudem tak prędko? — wołałam zbiegając do niego po krętych drewnianych schodkach. Witaa go już tu gospodyni, a on zdjawszy hełm stał przy motorze ocierając twarz. Przeraziłam się: był do niepoznania spuchnięty, tak że nawet oka nie było widać.

— Osa mnie ugryzła, przejdzie, nie martw się — powie-dział to jednak odwracając się bokiem, tak aby widać było tylko nie spuchniętą część twarzy: mijała nas właśnie wy-soka dziewczyna schodząca ścieżką od strony ogródka. -"

Wiesia była prawie tego samego wzrostu co Michał, rysy miała nieregularne, lekko zadarty nosek i czarne, modnie uczesne włosy w wysoką, okrągłą fryzurę z grzywką na oczy. Była też po egzaminie: zdała na polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim.

— W tej dziewczynie jest coś niepokojącego — mówiłam do męża widząc, jak Michał odprowadza ją długim spoj-rzeniem. — Żeby znów nie było zmartwienia.

— liii, zaraz zmartwienie — zbagatelizował Olgierd. —

190

Dziewczyna klasa i ma dużo seksu, to fakt. — Tu mrug-nęła porozumiewawczo w stronę Michała.

Faktem też było, że młodzi podobali się sobie i ostatnie dni przed rozpoczęciem studiów spędzali razem na wycie-ckach, spacerach i na plaży.

Mój urlop już się kończył, niestety, i trzeba było wra-cać do Krakowa. A szkoda, bo w pobliskim lesie zaczynały się. opieńki, idąc zaś stromo pod górę można była znaleźć w trawie mnóstwo maślaków, małych, twardych i żółciut-kich.

— To jest wspaniała dziewczyna — mówił Michał. — Je-  
den jest tylko kłopot, że wszyscy mężczyźni oglądają się za nią, ona ma w sobie „coś”!

Tak, dziewczyna była ciekawa i wyjątkowo inteligentna, zauważyłam, że wypowiedzi jej były nie tylko błyskotliwe, ale i przemyślane. Czułyśmy do siebie sympatię i rozma-wiała ze mną szczerze o wszystkim.

Wyjeżdżając z Krościenka zaprosiliśmy Wiesię, aby w drodze do Warszawy odwiedziła nas w Krakowie.

Dwudziestego dziewiątego września, w dniu imienin Michała, jak zwykle mieli być goście. Przyjechała też i Wiesia.

Kiedy po pracy przybiegłam do domu, Wiesia i Michał mieli niewyraźne miny.

Wyładowywałam z siatki zakupy zabierając się natychmiast do przygotowywania imienino-nych specjałów, gdy do kuchni weszła Wiesia zaofiaro-wując mi swą pomoc.

— Była tu dziś Ewa, przyniosła róże i złożyła życzenia Michałowi — powiedziała nieoczekiwanie.

— O, to bardzo miło, że pamiętała. Czy długo była?

— Nie bardzo, ja zresztą wyszłam do drugiego pokoju.

Osuszyłam listki sałaty i zaczęłam układać wianuszkami na półmiskach, jako tło dla kanapek. Wiesia uniosła głowę i spojrzała na mnie.

— Myślałam, że to jakaś piękność — przeciągnęła osta-  
tni wyraz — ale ona wcale nie jest ładna!

Uśmiechnęłam się lekko. — No, nie jest też chyba brzyd-ka, a oczy ma bardzo ładne. — Nie zauważyłam tego — zaoponowała chłodno. Po obiedzie Michał opowiedział mi na osobności, jak był

IM

skonsternowany w obecności tych dwóch dziewcząt, wyraźnie wrogo do siebie nastawionych.

— Mamsiu — mówił tłumiąc śmiech, żeby nie było sły-chać— odwróciły się do siebie plecami i nie rozmawiały, a ja czułem się okrrroponie. No, powiedz mi, dlaczego tak jest, przecież Ewa ma chłopca, i jesteśmy już z nią tylko przyjaciółmi?

— Dlaczego tak jest? Jak by ci to wyjaśnić... Życie ci to samo wytłumaczy, synku — powiedziałam wymijająco.

## NIERÓWNA WALKA

Uroczyste rozpoczęcie roku akademickiego miało się od-być trzeciego października.

Zwolnię się z biura, żeby chociaż popatrzeć z daleka, obiecywałam sobie. Ten dzień będzie ukoronowaniem wie-łoletnich wysiłków. Nie, nie dam się z tego wyłączyć...

Obudziłam się wcześniej niż zwykle, bo usłyszałam ja-kiś szurania i zobaczyłam, że Olgierd skulony usiłuje przenieść się z łóżka na krzesło. Zerwałam się, ale zanim dobiegłam do niego, mąż zwałił się na podłogę. Ściągnęłam kołdrę z Michała budząc go gwałtownie i razem przenie-śliśmy Olgierda na łóżko.

Wezwałam pogotowie. Lekarz stwierdził, że to serce, i kazał wieźć męża do szpitala.

Pakując piżamę i drobiazgi toaletowe do walizeczki wy-syłałam jednocześnie Michała na inagurację roku akade-mickiego.

— Potem mi wszystko opowiesz, Misiu, i nie martw się o tatusia, będzie wszystko dobrze, idź spokojnie.

## Z BRULIONU MICHAŁA

3.X. godz. 11. w nocy

Zostałem nagle obudzony i wyrwany z łóżka przez ma-mę o piątej trzydzieści rano.

Oprzytomniałem natychmiast; ojciec leżał na podłodze! Podniosłem go i zaniósłem do łóżka. Był bardzo blady. Czy to znów serce? Mama była przerażona, ale opanowana. Staralem się też opanować. Zawsze w groźnych sytuacjach byłem spokojny i mówiłem sobie, że wszystko musi być dobrze.

Mama zatelefonowała po pogotowie. Zabrano ojca do szpitala.

Poszedłem na otwarcie roku akademickiego. Przed wej-

13 — Los w rękach twoich

193

ściem do Akademii stali studenci, w bramie i na chodniku, a naprzeciwko, na schodach kościoła Świętej Anny też dużo stało, bo stamtąd lepiej było widać. Wszyscy bardzo młodzi i tak jak ja lekko podnieceni. Rozmawiali między sobą i obserwowali z ciekawością ulicę. Podjeżdżały auta. z których wysiadali profesorowie, wszyscy odświętnie ub~ rani i bardzo poważni. Później nastąpił pochód grona pro\* fesorów z Akademii Medycznej do Uniwersytetu Jagiellon <! skiego. Towarzyszyliśmy im. Przyszli w strojach narado wych Murzyni, było ich dwudziestu pięciu i wyglądali bardzo egzotycznie.

W auli było już pełno i nie chcieli mnie wpuścić. Kilka razy próbowałem wejść, ale bezskutecznie, porządkowi byli nieubłagani. Podszedłem wtedy do jednego pana, który wyglądał bardzo poważnie i poprosiłem go, aby po-wiedział porządkowemu, by mnie wpuścił na salę, bo bar-dzo chciałem zobaczyć. Ten pan nie pytał mnie, kim jestem, widocznie wziął mnie za cudzoziemca i dzięki temu mogłem wejść.

Na dziedzińcu Akademii przy ulicy Świętej Anny 12 tłumy nowo przyjętych studentów zaległy dziedziniec. Składaliśmy przysięgę. Zajęcia się zaczną w poniedziałek o 7.30

Theatrum anatomicum

Jeszcze zostało 15 minut do pierwszego zajęcia. Czuję się bardzo uroczyście, jestem wzruszony. Naokoło pełno studentów, sporo Murzynów, u wszystkich wyczuwam podniecenie. O, teraz autem przyjechała pani docent (ładny wartburg) i idziemy na wykład. Godz. 12.30

Co za ulga! Skaczę jak dziecko z radości! Pani dziekan mój wyraźnie, ma dobry układ warg i wszystko rozumiałem! Jestem szczęśliwy, bo pojąłem, że dopnę swego celu! Wiem, że to będzie gigantyczny trud, ale czuję się na siłach. Dokonam tego.

Gnałem co sił na motorze do domu. Chciałem się uczyć anatomii, a początek nauki idzie mi zawsze powoli. Sta-

194

ram się przystosować do szybszego tempa, bo chcę, chcę być dobrym studentem. Tak chciałbym być przodującym studentem. Im więcej ma się wiedzy, tym świat jest ciekawszy, ciekawsi wydają się ludzie, większy zapał do odkrycia czegoś, czego jeszcze nawet nie potrafię określić. Wiem, że tylko loytrwałością i ambicją dopnę swego celu, ale czasu jest cholernie mało. Jest godzina 23.35.

4.X. godz. 8.10

Jestem w auli Theatrum Anatomicum, wypełniałem rozkład zajęć na cały tydzień. Profesor jeszcze nie przyszedł, więc czekamy, a ja tymczasem oglądam swoją legitymację ZSP. Jest mi przyjemnie. Nie, jestem szczęśliwy.

Wykład z propedeutyki lekarskiej prowadził docent H. Nie loszystko rozumiałem, ale to nie szkodzi. Mam przecież książkę.

Poznałem Anię. Siedziałem obok niej, pisze bardzo wyraźnie, jeszcze nie wie, że nie słyszę. Mówi wyraźnie, choć szybko, wszystko rozumiałem, dosłownie wszystko rozumiałem. Nie jest ładna. Dobrze, że jest koleżanka, która może mnie informować.

Godz. 12 w nocy.

Będę się tak uczył na medycynie: najpierw przeczytam całość, tak żeby mieć pojęcie i zrozumieć, a potem będę się uczył na pamięć potrzebnych terminów. Bardzo dużo jest nowych słów, coraz więcej.

6.X. Środa.

Ania jest idiotką. Zmieniła się. Już wie, że nie słyszę. Siedzę obok drugiej koleżanki. Uczymy się razem anatomi.

7. X. Czwartek.

Profesor na wykładzie histologii uprzedzał nas, że to najtrudniejszy przedmiot i że bardzo dużo studentów go oblewa. „Aby wyzwolić się od strachu — spójrz mu prosto iv oczy”.

Dobre.

Zajrzałem do ojca, czy jest wszystko w porządku. Czuje się lepiej, chociaż nie śpi. Serce bije nieco lepiej niż po przednio, palcami wyraźniej wyczułem.

Niedziela.

Zostałem umieszczony w VII grupie pod kierunkiem •./.- rc/o asystenta, doktora J. Jest to męczyzna średniego

wzrostu, szczupły, z krótko przystrzyżonymi włosami, na jeża. Oczy niebieskie, podkrążone, w ogóle bardzo blade, ale raczej przystojny. Pierwsze wrażenie w prosektorium bardzo dobre. Nowe twarze, zupełnie mi nie znane. Razem ze mną dwunastu studentów, w tym dwóch Murzynów z Ghany. Staliśmy dookoła stołu prosektoryjnego, na stole kości. Na szczęście asystent mówi tak wyraźnie (choć szybko), że rozumiałem każdy wyraz. Bardzo mi się podołał. Naturalnie nikt nie wiedział, że nie słyszę i znowu myśleli, że jestem cudzoziemcem. Pierwsze ćwiczenie trwało trzy godziny.

No, do roboty, do nauki. Co miesiąc mamy przerobić jeden tom, a jeden tom to 600—700 stron. Ładnie? Muszę przyspieszyć tempo. Nauki dużo, bo cały pierwszy tom. Tylko stopniowo, etapami i spokojnie.

Po nauce byłem „Pod Jaszczurami”. Był tłok i pełno dymu, ludzie w ciągłym ruchu, rozmawiali — sądząc po ich twarzach — „refleksyjnie i melancholijnie”.

Spotkałem Monikę. Lubię z nią rozmawiać, ona jest taka, że potrafi mnie wprowadzić w spokojny nastrój. Poza tym to jest dobry przyjaciel, zawsze mi mówi, że jestem zdolny, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą, a to mi daje pewność siebie. To dobra dziewczyna.

— Misiu, bardzo cię proszę, nie jedź na motorze, przecież jesteś przeziębiony.

— Nie mogę, mama, mam mało czasu, nie mogę spóźnić się na ćwiczenia. Asystent jest bardzo surowy — tłumaczył mi wkładając wiatrówkę i zasuważąc zamek błyskawiczny pod szyją.

— No to weź choć szalik! — biegłam za nim.

Już był za drzwiami, ale szalik złapał w locie i założył biegnąc po schodach. Po chwili doszedł już do mnie warkot motoru. Tak, od samego początku tempo nauki było ostre.

Wieczorem cały czas słyszałam pokastywanie syna, ale nie podchodziłam do niego, nie chcąc przeszkadzać. Wkuwał z zapalem, powtarzając na głos łacińskie nazwy kości. Nazajutrz jednak widać było, że z trudem wstał i patrzyłam z niepokojem, jak starał się stłumić suchy kaszel. Na zapytanie moje odpowiedział, że to nic, że przejdzie. Mu-

196

siałam wyjść wcześniej tego dnia, bowiem rozpoczynał się kurs rehabilitacyjny dla niewidomych w ośrodku, gdzie byłam kierownikiem pedagogicznym, i jak zwykle brak było personelu pomocniczego.

Otwierając kurs, wprowadzając wykładowców i omawiając z nimi tematykę zajęć myślałam z niepokojem o obydwu moich chłopcach. Na szczęście opieka w szpitalu była dobra i Olgierd czuł się lepiej, był spokojny. Pójdę do niego zaraz po pracy, myślałam. Żeby tylko przyszła na czas instruktorka zajęć pozalekcyjnych, to będę mogła wyjść spokojnie z ośrodka!

— Nie jest źle, proszę pani — mówił doktor w szpitalu. — Musi tylko leżeć i nie mieć żadnych zmartwień. W chorobach sercowych spokój jest najważniejszy.

To i ja wiedziałam, oczywiście. Cieszyłam się, że jak na razie nic nowego nam nie zagraża. Olgierd może zdrowieć spokojnie. Wróciłam do domu i zajęłam się gospodarstwem. Od czasu mojej pracy w ośrodku szwankowało ono bardzo. Może rzeczywiście zbyt gorliwie pracowałam i zbyt wiele czasu poświęcałam ludziom oddanym pod moją opiekę? Ale nie! Sprawy inwalidów zbyt mi leżały na sercu, aby je traktować urzędowo.

Wieczorem chciałam sobie jeszcze przygotować wykład na dzień następny, ale warkot motoru zatrzymującego się przed domem usłyszałam trochę wcześniej, niż się spodziewałam. Trzasnęły drzwi i wszedł Michał.

— Mamsiu, daj coś wypić. Gorące mleko — szepnął.

Twarz miał spoconą. Dotknęłam ręką jego czoła, było zimne. Patrzył na mnie zmartwiony. — Mama ratuj, ja nie mogę chorować, jutro mam kolokwium.

Uwinęłam się szybko, domowe środki pomogły nieco, ale martwiłam się wiedząc, że nawet katar u niego powoduje trudność w odczytywaniu z ruchu warg i rozumieniu mowy innych. Jakże to będzie? Tak chciał dobrze wypaść na tym pierwszym kolokwium...

Następny dzień szybko minął, a kiedy Michał wieczorem wrócił, pierwsze jego słowa były: „Zdałem, zaliczyłem”.

Chciałam go pocałować, ale odsunął się nieco.

— Jestem chory, mam falę w głowie... — powiedział jak dawniej, kiedy był mały. Zmierzyłam temperaturę: było  $37,6^{\circ}$ . — To nic — uspokajał mnie — to przejdzie, to musi

197

prędko przejść. Dobrze, położę się, ale muszę się jeszcze dziś pouczyć, daj mi skrypt anatomii.

Naturalnie nauka przy takiej gorączce nie mogła trwać długo i Michał wkrótce zapadł w niespokojny sen.

Wezwany lekarz przepisał asprocol i witaminy i powiedział, że to prędko przejdzie, jeżeli Michał położy trzy dni; na tyleż dni dał zwolnienie.

Rano zostawiłam Michała śpiącego i pobiegłam do ośrodka. W czasie przerwy przyjechałam do domu zajrzeć, jak się czuje, i dać lekarstwa. Wykład o rehabilitacji nie wypadł tak, jak bym sobie życzyła; bardzo trudno było mi skupić myśli. Po pracy załatwiłam szybko zakupy i ugotowałam posiłek zaniosiłam Olgierdowi do szpitala galaretkę i owoce. Oczywiście nic mu nie wspomniałam o chorobie syna.

Tymczasem u Michała wieczorem gorączka wzrosła i wzmógł się kaszel. Nie podobał mi się: był suchy, jakby szczekający. Może lekarz w tym pierwszym dniu nie rozpoznał choroby? Zadzwoeniłam do przyjaciół, wiedziałam, że mają znajomego lekarza.

Po pół godziny rozległ się dzwonek i wszedł lekarz. Wydał mi się na pierwsze spojrzenie młodym chłopcem, niewiele starszym od Michała, tak że nawet z trudem opanowałam zdziwienie. Sposób badania i stawiane pytania wzbudziły jednak moje zaufanie. Zapisał nowe leki. Zmartwiło mnie tylko jego rozpoznanie.

— Obawiam się, proszę pani, że to może być wirusowe zapalenie płuc, ale utwierdzić się w tym możemy dopiero w piątym dniu choroby, to znaczy za dwa dni. To jest młody, silny organizm, nie dawałbym za wcześnie antybiotyków, poczekamy kontrolując przebieg. W odpowiednim momencie pomożemy odpowiednio mocnym lekiem. Te lekarstwa proszę jednak kupić, niech będą w pogotowiu.

Michał śledził oczyma naszą rozmowę.

— Phoszę pana — wtrącił swoje — czy ja będę mógł się uczyć, ja nie mogę chorować!

— Naturalnie, ale jak nie będzie dużej gorączki. — Lekarz uśmiechnął się, szare oczy rozświeciły się i znów wydał mi się bardzo młody. — Proszę być ze mną w kontakcie telefonicznym — powiedział zegnając się.

— Ile jestem winna, panie doktorze? — zapytałam.

— Nic, proszę pani — a na widok mego zaskoczenia

198

dodał: — Przecież to zwykła koleżeńska konsultacja, bądź co bądź Michał to mój młodszy kolega!

Nazajutrz miotalam się między ośrodkiem, szpitalem i domem. Mężowi powiedziałam, że Michał nie przyszedł, bo jest trochę przeziębiony. Olgierd przytaknął, że zauważył pokaszływanie syna i że dobrze mu robi, jak wiecezami posiedzi w domu. Z niepokojem śledziłam ciągle skoki temperatury u Michała. Trzymała się jednak około  $39^{\circ}$  i nie chciała opadać. Nie czuł się dobrze i z trudem czytał skrypt, bolały go oczy.

— Widzisz, mamsiu — mówił mi smutno — gdybym słyszał, czytałabyś mi osteologię, a ja leżałbym z zamkniętymi oczami...

— Prędko wyzdrowiejesz — pocieszałam — dogonisz!



— Aale ja zawsze muszę dłużej uczyć się od innych — przerwał mi i zamykając oczy odgradzał się od świata.

W czasie następnej wizyty doktor S. długo badał nasłu-chując, aż wreszcie wyprostował się i powiedział:

— Jest tak, jak przewidywałem. Damy teraz uderzenie-wą dawkę oxytetracyliny. Proszę brać co sześć godzin.

Wieczorem temperatura podniosła się do 40°. Michał nie mógł zasnąć, serce mocno mu biło, leżał cały rozpalony. Przypomniałam sobie, jak mnie mama w dzieciństwie na-cierała podczas choroby wodą ze spirytusem, i zaczęłam to samo robić. Zimny okład na czoło nie przynosił ulgi. Piżama była mokra od potu. Zmieniałam, ale to starcza-ło na krótko. Co parę minut siadał i widziałam, jak trud-no mu było oddychać. Zmierzyłam znów temperaturę: by-ło 40,7°. Przeraziłam się. Zadzwoiłam do lekarza. Powiedział, (by dać środek nasercowy i nie przeoczyć następnej daw-ki antybiotyku.

— Proszę do mnie dzwonić w razie potrzeby, nie krę-pując się godziną — dodał.

Przeoczyć podanie leku! W jaki sposób? Byłam trzeź-wiuteńka, bez śladu senności.

— Mama, idź do łóżka — prosił mnie Michał — musisz ię choć trochę przespać.

Dwie piżamy wisiały na kaloryferze, wyciągałam coraz nowe, gorączka i poty nie ustępowały, a moje przera-żenie rosło. O drugiej w nocy wytarłam Michała i podałam mu le-  
199

karstwa. Niepokój i troska stały się nie do zniesienia; żeby choć Olgierd był w domu, myślałam z rozpaczą. Zda-wało mi się, że Misiek zapadł w drzemkę, przeszłam do swojego pokoiku. Upadłam na kolana koło tapczanu i cis-nąc dłonie do ust w najwyższym napięciu zwróciłam się do Boga błagając Go o ratunek. Czułam, że szale się ważą i los się rozstrzyga, usiłowałam swoje przerażenie przesta-wić na ufność i wiarę. Przypadłam wreszcie twarzą do pościeli i trwałam chwilę nic już nie czując. Po pewnym czasie wróciłam do pokoju. Michał patrzył na mnie.

— Całą noc nie śpisz — szepnął — przecież idziesz nie-długo do biura... mama, mama kochana...

Zmierzyłam temperaturę: ku mojej uldze było już tyl-ko 39°.

Kurs miał się już tego dnia skończyć, ale godziny wlo-ły się nieznośnie. Siedziałam nad dziennikiem lekcyjnym. Nie przespane noce dawały znać o sobie, z trudem sumo-wałam godziny wykładów, po wielokroć sprawdzałam li-sty wypłat. Myśl moja była bez przerwy przy Michale: muszą wpaść do niego w czasie pracy, trzeba będzie może znowu czuwać przy nim w nocy. Nie dam rady odwie-dzić Olgierda. Zresztą, gdyby mnie zobaczył, zaraz by wyczytał z mojej twarzy, że coś się stało w domu.

Poprosiłam przyjaciółkę, żeby poszła zamiast mnie do szpitala, wymyśliwszy coś prawdopodobnego na moje usprawiedliwienie.

Zgodziła się chętnie. Olgierd niczego się nie domyślił.

W domu, kiedy przybiegłam na chwilę, aby podać le-karstwo, Michał drzemał. Dałam mu pić wody z sokiem z poziomek. Napój radował oczy samym kolorem, był ró-żowy, klarowny i wonny.

— Jaki dobry — smakował Michał. — To z Krościenka, mama? Prawdziwe lekarstwo!

— Spij teraz, staraj się spać i nie wstawaj, ja niedługo już wrócę — i znów biegłam do tramwaju.

— Czemu pani nie weźmie opiekuńczego zwolnienia? Mając męża i syna tak chorych?

— wzruszyła ramionami pani pracująca w jednym z sąsiednich pokoi, ale w innej instytucji.

— Wzięłabym, gdyby ten kurs składał się ze zdrowych ludzi, a nie z niewidomych —  
odpowiedziałam. — Nie

200

mogę tak zostawić wszystkiego, jeśli nie ma odpowiedniego zastępstwa.

Starsza pani spojrzała na mnie przeciągle.

— Nikt tego nie oceni — mruknęła. — Nie ma sensu tak się zabijać, mordować. Ma pani prawo brać zwolnienie, żeby pani nie żałowała potem!

Nie dyskutowałam. I tak nie zrozumie, że dla mnie nieważne jest to „prawo do zwolnień”.

Po prostu nie mogę zostawić tych ludzi, którzy mnie potrzebują.

Skończył się wreszcie ten kurs, ale zaraz zaczął się następny. Identyczny. Udało mi się zaangażować dorywczo na krótki okres studentkę psychologii jako opiekę poza-lekcyjną.

Wywiązywała się dobrze z podjętego zadania, tak że po południu nie musiałam zostawać w biurze. Michał na szczęście zdrowiał, ale potrzebował opieki.

Pierwszego dnia po wyjściu z domu Misiak odwiedził ojca. Był akurat na wykładzie przy ulicy Kopernika i w czasie przerwy przyszedł do szpitala. Ja byłam tam również i siedząc obok łóżka męża patrzyłam z przyjemnością, jak w białym fartuchu, wysoki, wchodził do sali. Olgierd rozjaśnił się cały na widok syna.

— No, dobrze, żeś już zdrowy — powiedział.

Weszła siostra z termometrami, a za nią nasza znajoma, która pracowała w tym szpitalu. Na widok Michała podeszła bliżej i zapytała ze zdziwieniem:

— Co, Michał już chodzi? Tak wcześnie, po zapaleniu płuc?

Olgierd szeroko otworzył oczy, ale ja szybko się włączyłam:

— Skąd taki pomysł! To było zwykłe przeziębienie. Zapalenie płuc nie przechodzi tak gładko i szybko, a on już tu jest, o, proszę, i zdrow jak ryba — zaoponowałam ze śmiechem, nie tracąc głowy.

Pani zorientowała się i umilkła skonsternowana, a Michał wkrótce pożegnał się i poszedł.

— Ale zmizerniał chłopak, taki blade — ubolewał Olgierd.

— Rzeczywiście, za dobrze nie wygląda. Uczy się dużo, mało śpi, a teraz to przeziębienie. Nie dziw się — powiedziałam.

201

— I ty coś nietęgo wyglądasz...

— Nic mi nie jest, zdaje ci się — zbagatelizowałam i zmieniłam temat.

Położyłam się do łóżka i postanowiłam poczytać sobie trochę przed snem, gdy do pokoju zajrzał Michał i powiedział:

— Przyjdę na chwileczkę, coś ci pokażę.

Usiadł obok mnie na tapczanie i położył na kołdrze, tuż pod moją brodą... ludzką czaszkę.

Wstrzymałam oddech z wrażenia, ale starałam się nie dać nic poznać po sobie. Z trudem przywołałam na twarz wyraz zainteresowania.

Michał patrzył na mnie roziskrzonym wzrokiem.

— Popatrz, mama, to jest cranium, czaszka! A tu jest kość skroniowa, os temporale! To jest strasznie skomplikowana kość, trudno sobie wyobrazić, ile tu jest jam i kanałików, wszyscy studenci mówią, że to najtrudniejsza kość do nauczenia się! Oni ją tak brzydko nazywają, ale ci nie powiem — zaśmiał się. — Widzisz, tu jest otwór słuchowy zewnętrzny — porus acusticus externus — objaśniał dalej z zapalem. — Ta kość jest związana ze słuchem, bo tutaj mieszczą się wszystkie narządy słuchowe; będę się tego uczył, ale później. A tu, popatrz — i Michał dotknął jedynym palcem kości za moim uchem, a palcem drugiej

ręki postukał w żółtą kość czaszki — o, tu jest wyrostek sutkowa ty — processus mastoideus, porównaj, prawda, zupełnie takie same! Maama, dlaczego nie dotykasz? Boisz się?... — popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Ależ skąd, Misiu! Interesuje mnie to wszystko. I wiesz, chcę ci coś powiedzieć. Połóż na chwilę obok tę głowę, o, tam, na krześle. — A kiedy to zrobił posłusznie, powiedziałam: — Ja tak słucham, jak wymieniasz te nazwy, i wydaje mi się, że tobie łatwiej wymawiać je po łacinie niż po polsku! No, mówię ci, że wypowiadasz je bezbłędnie, zupełnie dobrym głosem! — Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Tak, sam już o tym myślałem. W łacinie jest więcej samogłosek, jakoś mi to dobrze wychodzi.

— Misiu, a skąd masz tę czaszkę? — zapytałam ostrożnie.

202

— A, to sekret, mama. Ofiarodawca powiedział mi tylko; żebym uważał, bo to pamiątka rodzinna.

— Jakiś kawalarz — mruknęłam, a Michał mówił dalej:

— Widzisz, na ćwiczeniach wszyscy oglądają te kości i jednocześnie słuchają, co mówi asystent, co odpowiadają inni studenci, i każdy z nich utrwała sobie materiał przez ciągłe powtarzanie, a ja „słyszę” tylko raz, kiedy mówi asystent, i to w dodatku, jeśli widzę jego usta! A żeby były równe szanse między nami, powinno być odwrotnie, ja mam tylko wzrok, więc muszę wiele razy oglądać i to, co mówią, i to, co pokazują. Bardzo się cieszę, że mam tę czaszkę! Ładna, w bardzo dobrym stanie i ja teraz zapoznam się z tymi wszystkimi kośćmi podczas nauki w domu, a na ćwiczeniach asystent nie będzie mógł krzyknąć: „Panu to potrzebny jest osobny asystent!”

— Tak ci powiedział?

Michał pokiwał głową i zmienił temat. Wziął znów czaszkę do ręki i dalej objaśniał, jak się nazywają poszczególne części.

Nie dopytywałam więcej, ale pomyślałam sobie, że chyba na tych ćwiczeniach jest niedobra atmosfera.

— Nie zgadza się na przełożenie kolokwium — powiedział Michał po powrocie z uczelni. Był bardzo zmartwiony.

— Może jednak uda się, przecież masz zaświadczenie lekarskie, że przebyłeś zapalenie płuc.

— Nie wiem, nie rozumiem, aale na anatomii jest tak inaczej... nieprzyjemnie... — Trzeba poprosić o to kierownika katedry.

Myślałam, że nie będę musiała interweniować na wyższej uczelni, zwłaszcza medycznej, gdzie chyba w sposób szczególny powinno się brać pod uwagę całą sytuację studenta.

Trudno, muszę spróbować, może uda mi się spowodować przesunięcie tego kolokwium. Imponujący wygląd Collegium Anatomicum dodawał jakby jeszcze ważności sprawie, którą miałam załatwić. Wchodziłam powoli po schodach. Nie czekałam długo i po kilkunastu minutach weszłam do gabinetu.

Obrzuciłam pobieżnie wzrokiem wysoki pokój o dużych

203

oknach, stylowe meble obite skórą, ale uwagę moją przykuła od razu twarz siedzącej kobiety. Tyle od niej zależy... Była w średnim wieku, o ciemnych, wyrazistych oczach, które natychmiast utkwiała we mnie.

Przedstawiłam się i powiedziałam, co mnie tu sprowadza.

— Jak państwo mogli wysłać syna na studia medyczne?

Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, jaką odpowiedzialność

bierzecie na siebie?

Nie spodziewałam się takiego pytania i zdziwiona odpowiedziałam:

— Nie namawialiśmy syna. On od dawna marzył o stomatologii i sam wybrał ten kierunek.

— Przecież głuchy nie może być lekarzem! — rzuciła gwałtownie.

— Przepraszam, o ile mi wiadomo, była konferencja w ministerstwie na ten temat, gdzie autorytatywnie stwierdzono, że głuchota nie jest przeszkodą w wykonywaniu zawodu stomatologa.

— Nikt mi nie zareczy, że zakończy na stomatologii, może zechce uczyć się dalej, może będzie leczyć ludzi, a wtedy kto będzie odpowiadać za ich życie, pani?

Zdumiona gwałtownością sprzeciwu, zaczęłam cierpliwie rozstrzykać swoje argumenty:

— W Anglii głucha dziewczyna jest stomatologiem, w Kalifornii praktykuje głuchy stomatolog, mam artykuły na ten temat i adresy... — Machnięcie ręki przerwało moje wywody.

— Ale u nas jest inna sprawa, u nas jeszcze tego nie było. Poza tym przeprowadzamy reformę studiów lekarskich i syn pani nie będzie miał żadnych ulg.

— Ja nie proszę o ulgi, ale jedynie o przesunięcie terminu zaliczenia z anatomii, gdyż chorował na wirusowe zapalenie płuc i nie mógł przyjść; są na to zaświadczenia lekarskie.

— To cóż z tego? Mógł się uczyć w czasie choroby.

— Nie mógł, bo miał wysoką gorączkę, ponad 40 stopni...

Nie, nie przekonam jej, pomyślałam z rozpaczą. Czemu jest taka twarda? Czy tak bardzo wierzy w swoje racje?

204

— Panie profesorze, może by pan zechciał jako neurolog pomóc mi w sprawie mego syna na Akademii. Przekonać pewnych ludzi, jak wielką rolę przy egzaminach odgrywa sposób zadawania pytań, atmosfera, klimat... nawet wśród normalnych, pełnosprawnych ludzi, a cóż dopiero w przypadku Michała. Przecież to przypadek nietypowy. Pan, panie profesorze, jest autorytetem w tej dziedzinie, z pana głosem będą się liczyli.

— Niestety, niektórym ludziom jest bardzo trudno coś wytłumaczyć, czasem jest to wręcz niemożliwe. Zresztą, to wszystko rzeczywiście nie jest takie proste... Czemu pani nie namówi syna, by się przeniósł do Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego? Mógłby wybrać jako specjalizację rehabilitację leczniczą.

Twarz profesora wyrażała współczucie.

— Panie profesorze, spotykaliśmy się tak często na sesjach rehabilitacyjnych, a ostatnio w Dniu Otiatrii Dziecięcej w Warszawie, gdzie wygłosił pan referat. Przyszłam tu do pana, aby jeszcze raz zapytać, czy głuchota może być przeszkodą w studiach stomatologicznych? Czy głuchy może być stomatologiem?

Siedział z nieruchomą twarzą. Nie można było z niej wywnioskować, co myśli.

— Może — rzucił na mnie krótkie spojrzenie i czekał, co powiem dalej.

— Jeżeli chodzi o rehabilitację głuchych, zdanie pana, panie profesorze, jest na pewno autorytatywne. Czy pozwoli pan, że powołam się na pańską opinię? A może sam pan profesor zechciałby wspomnieć o tym osobom, które się sprzeciwiają studiom Michała. — Lekki uśmiech przeświadczył się po szerokich wargach i zgasł natychmiast.

— Moje wstawiennictwo nie na wiele by się zdało. A moje zdanie jest takie, że syn mógłby być nie tylko stomatologiem. Mógłby być dermatologiem, neurologiem, okulistą; jest wiele dziedzin, w których słuch nie jest konieczny.

Słowa padały pewnie i stanowczo, opinia była jednoznaczna.

— Czy mogę powołać się na pana zdanie, panie profesorze?  
— Proszę.

205

Stary naukowiec smutno pokiwał głową. Poważne, żywcze spojrzeie przesunęło się po mnie.

— Rozumiem, proszę pani. To jest piękne, co mi pani opowiedziała o swoim dzielnym chłopcu. Ale ja pani nie wiele mogę pomóc w tej sprawie. — Uśmiechnął się do mnie. — Widzi pani, niektórzy ludzie chodzą tak — przyłożył obie suche, pomarszczone dłonie przy skroniach, osłaniając oczy — tak jak konie, żeby nie widzieć po bokach, rozumie mnie pani? Wolą chodzić znanym, utartym szlakiem, boją się nowego. A studia pani syna to przecież jakiś eksperyment.

Milczałam.

— Może by jednak pani sama porozmawiała z dzieckiem, wyjaśniła mu te sprawy. Pani bardzo sugestywnie mówi i jeżeli go przekona...

Nie przekonałam...

Że też właśnie w tym dniu wypadła inwentaryzacja — zżymałam się wewnętrznie, wszystkie moje myśli były Michale, który zdawał swój pierwszy egzamin, biologię.

W moim gabinecie w ośrodku wszędzie rozstawione i rozłożone były pomoce naukowe, tabliczki brajlowskie, białe składane laski, papiery. Na podłodze leżały książki z małej biblioteczki. Przy moim biurku siedział dyrektor ośrodka i usiłował dodzwonić się do swego biura.

Jego nieruchoma, różowa twarz o regularnych rysach nie wyrażała żadnych uczuć, nawet wtedy, gdy unosząc górną wargę pozorował uśmiech.

Młodziutka sekretarka stuknęła na maszynie. Po pokoju chodził energicznym krokiem kierownik internatu naszej centrali, pan Karol M., inwalida wojenny. Unosząc ramieniem nieco w górę protezę prawej ręki połykiwał czarnymi oczami i przynaglał sekretarkę:

— Prędey, prędey, pani Nino, musimy się śpieszyć, taak, tu jeszcze były dwie mapy ścienne, taak, gdzie one są, pani magister? — zwrócił się do mnie.

— Są w sali wykładowej, wiszą na ścianie — odpowiedziałam, a sekretarka korzystając z chwili przerwy zapaliła papierosa.

Dyrektor uzyskał wreszcie połączenie i matowym głosem wydawał jakieś polecenia. Ten głos nieraz mylił słu-

206

chaczy, którym się wydawało, że mówi kobieta, i powstały z tego zabawne nieporozumienia. Odłożył słuchawkę i zaczął omawiać ze mną sprawy przyszłego, styczniowego kursu.

— Tu jednak są naprawdę trudne warunki przy tak małym składzie osobowym — mówiłam.

— Pani Barbara ma kłopoty domowe i, jak panu wiadomo, trudno na niej polegać obecnie, jakkolwiek na początku pracy zapowiadała się bardzo dobrze.

— Ależ tu nie ma nic do roboty! — dyrektor zwrócił się do mnie zdziwiony.

Lekka wada wzroku myliła mnie, nie wiedziałam, w które oko patrzeć, spojrzałam więc na fotogram wiszący na ścianie. Zdjęcie przedstawiało jednego z moich niewidomych kursantów, który uczył się naciągu szcrotek.

— Panie dyrektorze, jesienią były tutaj stale kursy dla najciężej poszkodowanych inwalidów, nie tak jak u was, a przepisy nakazują zapewnienie jednego przewodnika na grupę pięciu niewidomych... — nie skończyłam, bo zadzwieczał telefon. Podniosłam słuchawkę. Usłyszałam głos męża:

— No, pogratuluj, mama, Michał zdał biologię na „dobrze”! Uszczęśliwiona, podzieliłam się tą wiadomością z obecnymi. Pan Karol szeroko się uśmiechnął i z uznaniem powiedział:

— To duży sukces, taak, proszę ode mnie synowi pogratulować, taak.

A dyrektor uniósł górną wargę:

— Żeby się też tak przejmować egzaminem...

Po pracy biegłam do domu jak na skrzydłach.

Piliśmy herbatę po obiedzie. Siedziałam w środku i patrzyłam na te dwie najbliższe mi twarze. Olgierd bardzo zeszczuplał ostatnio i skronie mu posiwiały, ale niebieskie oczy błyszczały młodo, kiedy siedząc jak zwykle wyprostowany patrzył na Michała opowiadającego o dzisiejszym egzaminie.

Młodszy mój chłopiec dzielił się z nami swoją radością, opowiadał dokładnie, jakie miał pytania i jak na nie od-

powiadał. Mrużąc oczy o dużych źrenicach szukał w pamięci słów, aby niczego nie pominąć.

— Kiedy wszedłem, patrzyli na mnie tak życzliwie, że od razu przestałem się denerwować. Było dość dużo pytań, chyba dziewięć! A kiedy mówiłem o teorii chromosomowej Morgana, to ta pani doktor, która siedziała obok docenta, zaczęła z zadowoleniem potakiwać głową i to mnie pobudzało do jeszcze dokładniejszej i lepszej odpowiedzi.

— A jak wygląda ten docent?

— Szczipły, w okularach, skronie lekko siwe, ale wygląda młodo i jest chyba trochę podobny do tatusia.

— No, to już najwyższa pochwała! — zaśmiałam się, a Olgierd uniósł kąćki warg do góry.

— Pytał mnie tak spokojnie, poważnie, o mutację, o działaniach genów, o prawa Mendla, a kiedy odpowiedziałem, to widać było, że wszyscy są zadowoleni. To był bardzo przyjemny egzamin!

Olgierd i Michał omawiali jeszcze szczegóły egzaminu, a mnie przyszło na myśl, że oto ci naukowcy zdają sobie sprawę z ogromu wysiłku Michała i z tych niezwykłych rezultatów, jakie osiągnął. Życzliwość ich, ludzkie podejście i zrozumienie jego trudności dały w efekcie pomyślnie zdany egzamin. Myślałam o nich z gorącą wdzięcznością.

Przypomniałam sobie, że i inni studenci mi opowiadali o dobrej atmosferze panującej w katedrze biologii. No, tak. W takich warunkach nauka daje satysfakcję i radość.

Musiałam tego dnia pójść do dyrekcji, zebrałam więc akta do teczki i wyszłam z biura. Był mróz i ślisko. Ostrożnie mijałam wybrzuszyiny gruntu pokryte lodem, nie opodał budowano garaże. Spojrzałam w bok, na bawiące się w śniegu dzieci i nagle pośliznęłam się i upadłam mocno na plecy. Dzieci pomogły mi wstać.

Zdjęcie wykazało, że w kręgosłupie ułamał się kawałek kręgu. Zostałam na długo unieruchomiona w łóżku.

Olgierd miał jechać do Warszawy o piątej rano ekspresem i starałam się leżeć cichutko, aby się nie obudził. Jechał na jeden dzień tylko, na konferencję, i powinien był

208

choć parę godzin się przespać. Straszliwie mnie jednak bolał kręgosłup i musiałam zaciskać zęby, żeby nie jęczeć. Deska była twarda, a wyciągnięte płasko nogi sprawiały dodatkowy ból, bałam się poruszyć, nie wiedząc, czy można nogi ugiąć lekko w kolanach. Zapaliła się lampka i wszedł Michał. Pochylił się nade mną i szepnął cichutko:

— Nie możesz spać? Boli bardzo? — pogładził mnie po włosach i wytarł czoło z potu. Przyłożyłam palec do ust, pokazując wzrokiem tapczan, na którym spał mąż.

Michał wrócił do łóżka, lecz w ciągu nocy kilkakrotnie wstawał i podchodził do mnie, a widząc, jak moja głowa porusza się miarowym ruchem z boku na bok, siadał pełen troski obok i gładził moją rękę leżącą na kołdrze.

Rano, kiedy po rozmowie telefonicznej z lekarzem przyjęłam proszek przeciwbólowy i trochę mi było lżej, Michał przyniósł swoje atlasy anatomiczne i rozłożył na stole. Po chwili znalazł to, czego szukał, i kładąc na kołdrze przede mną zielony foliak zaczął objaśniać:

— O, widzisz, mamsiu, tu jest ten trzon kręgu lędźwiowego: corpus vertebrae lumbalis, a tu, popatrz, tu, tak blisko, znajdują się najważniejsze arterie i żyły, patrz, jakie to było niebezpieczne i jak szczęśliwie się skończyło!

Ale ja tym razem nie wykazałam żadnego zrozumienia i kazałam mu szybko zabierać z powrotem całą anatomię. Zdziwił się.

— Chciałem ci wytłumaczyć, że wszystko jest w porządku, mama, chciałem uspokoić...

— Potem, potem obejrzymy, kochanie, teraz mi niemiło patrzeć na to, co jest we mnie w środku.

— Aale to jest takie ciekawe, szkoda! — nie mógł zrozumieć, odniósł jednak na stół atlasy i znowu siadł przy mnie. — Dobrze, że akurat mam przerwę w zajęciach — mówił — mogę teraz opiekować się tobą. Pamiętasz, jak całą noc siedziałas przy mnie? Teraz on czuwał nade mną. Wymyślił nawet zabawne urządzenie sygnalizacyjne. W zasięgu mojej ręki na krześle obok tapczanu leżała szpulka, z której przeciągnął długi sznurek aż do swojego pokoju. Kończył się on nad jego wezłowiem, umocowany do drewnianego niedźwiadka. Niedźwiadka tego Michał mozolnie wyrzeźbił szczyrykiem

14 — Los w rękach twoich

209

dla mnie na imieniny, kiedy był w siódmej klasie a teraz na moje wezwanie miał on go budzić stukaniem w czoło. Bardzo rzadko z tego korzystałam, choć w czasie bezsennych nocy, gdy leżałam płasko wyciągnięta na wznak na twardej desce, chętnie bym kogoś przy sobie widziała. Nawet jeżeli ból się przyczaił, i tak trudno to było wytrzymać.

Michał miał pełne ręce roboty. O szóstej rano przynosił miskę z wodą i mył mnie, stawiał obok śniadanie (przeważnie kaszę przykrytą grubą serwetką, żeby nie ostygła).

Obok przysuwał telefon, tak, by był w zasięgu mojej ręki, i wylatywał po zakupy. Wróciwszy stawiał przy mnie wszystko, co mi mogło być potrzebne w czasie jego nieobecności, i zajmował się już sobą.

Wychodząc pochylał się nade mną, całował w policzek i uśmiechnięty upominał mnie:

— Leż spokojnie, mama, ja prędko wrócę!

Leżałam całymi godzinami pogrążona w myślach. Koło drugiej przybiegał Michał, znów mnie szybko karmił, a kiedy pytałam, czy on sam coś zjadł, odpowiadał:

— Dziś nie chce mi się, po tych ćwiczeniach nie mam apetytu. Inni chłopcy także! A jeden to był zupełnie zielony.

Szybko się związał, pakował książki do torby i biegł na wykład. Wieczorem rozkładał atlasy anatomiczne i uczył się głośno. Skrypt anatomii nie był łatwy i nieraz przychodził z nim do mnie, aby wspólnie się pogłowić i pouczyć. Zadziwiała mnie jego pasja, zaciętość, z jaką zabierał się do nauki. Wydawało mi się, że nie należy uczyć się aż tak dokładnie wszystkiego, a tylko najważniejszych rzeczy, ale on odpowiadał:

— Mama, ja się muszę czuć pewny, mieć przekonanie, że umiem wszystko, wtedy się nie denerwuję. To chyba tylko ci słyszący, normalni studenci mogą sobie pozwolić na ryzyko, liczyć na szczęście. Poza tym mnie asystent pyta bardzo dokładnie, bardzo!

— Niemożliwe!

— Możliwe, możliwe. Ale już nie traćmy czasu. Uważaj, mama, a więc mięsień dwugłowy, wiesz, to ten, co zawsze mam z nim kłopoty.

210

Kolokwia z anatomii były częste. Michał wracając do domu starał się uśmiechać, ale coraz częściej padało słowo: oblałem.

— Jak powtarzaliśmy, wydawało się, że wszystko umiesz — mówiłam. — Jakie miałeś pytania?

— Wiesz, powiedziałem musculus palmaris i dostałem niedostatecznie, bo trzeba było powiedzieć: musculus palmaris brevis.

Hm. Czy byłoby to naprawdę ulgowym traktowaniem Michała ze strony asystenta, a nie objawem zwykłej ludzkiej życzliwości rzucić dodatkowe krótkie pytanie: „Jaki?” Na pewno Michał by wtedy szybko odpowiedział: brevis! Interesowało go to i umiał chyba. Siedział nocami i wkuwał obce terminy, a przecież z dotychczasowej nauki wiem, że jest zdolny. Ile w tym chłopcu było zapału i wiary w siebie i... w ludzi. Nie załamywał się mimo chwilowych niepowodzeń, bo byli na uczelni i tacy, którzy życzliwością swoją podnosili go na duchu. Na przykład z lektoratu języka angielskiego wrócił kiedyś ożywiony i w dobrym nastroju.

— Bardzo przyjemne były dziś zajęcia — zaczął. — Ten pan, który prowadził lektorat, jest taki bezpośredni i naturalny! Rozmawiałem z nim, a on na każde moje pytanie odpowiadał bardzo wyczerpująco. Potem się jeszcze dziwił, że tak wszystko rozumiem. I wiesz, wyraził mi swoje uznanie!

Na zajęciach w Studium Wojskowym Michał również czuł się dobrze. Z początku, jak zwykle, myślano tam, że jest obcokrajowcem, ze względu na jego akcent, gdy jednak wyjaśniło się, że nie słyszy, potraktowano to rzeczowo, nie zmieniając stosunku do niego, nie czyniąc mtt żadnych utrudnień i nie dając przywilejów.

Po tych zajęciach Michał wracał do domu wyprostowany wewnątrz. Tak, był bardzo wrażliwy na stosunek do niego. Egzamin ze Studium Wojskowego wypadł dobrze i pytający go pułkownik postawił czwórkę.

Michał często teraz przychodził do domu z kolegą, swoim nowym przyjacielem, Witkiem. Był on jeszcze wyższy od Michała, szczupły, czarnowłosy, o spokojnym spojrzeniu piwnych oczu. Uczyli się razem.



Żałowałam tylko, że Michał był na anatomii w innej grupie niż Witek, bo ten miał bardzo miłego asystenta,

14.

211

u którego zawsze można było poprawić zły stopień, jeżeli student się później nauczył i dobrze odpowiedział. Dla czego Michałowi tego nie wolno? Dziwiłam się.

Najtrudniejszym przedmiotem była histologia, o czym zresztą z miejsca uprzedzała pani profesor.

Początkującym studentom preparaty oglądane pod mikroskopem wydawały się bardzo zagmatwane. Żalili się na to wszyscy.

Na ćwiczeniach Michał nie mógł uchwycić tego, co mówi asystentka, i powiązać z tym, co widzi. Czuł się zagubiony w mnogości preparatów. Podniósł kiedyś głowę znad mikroskopu i powiódł bezradnym spojrzeniem po sali. Ten wzrok uchwycił asystent prowadzący zajęcia z inną grupą i natychmiast podszedł.

— Ma pan jakąś trudność? Coś jest niejasne? — zapytał, a następnie kilkoma kreskami ołówka szybko wyjaśnił to, co oglądali pod mikroskopem. Michałowi natychmiast się rozjaśniło w głowie i z wdzięcznością spojrzał na asystenta. Był on bardzo młody i pewny siebie, a niebieskie oczy patrzyły życzliwie na Michała. Twarz miał o żywej mimice, pełną energii, a układ warg przy mówieniu był bardzo zrozumiały, mimo że objaśniał szybko. Kolorowym ołówkiem rysował jeszcze, jak przebiegają w przestrzeni różne elementy oglądanego preparatu.

A potem przeszedł do innych studentów, którzy potrzebowali jego wyjaśnień.

— Jaki sympatyczny ten asystent, jaki ma życzliwy stosunek do studentów! — zachwycił się w domu Michał. — Jak myślisz, czy pani profesor pozwoli, żebym przeniósł się do jego grupy? Tak go świetnie rozumiem, a to bardzo ważne na ćwiczeniach.

Prośbę Michała z całym zrozumieniem uwzględniono.

— Misiu, a jak wygląda pani profesor? — pytałam z ciekawością.

— Jest elegancka, ma młodzieńcze ruchy, ładnie uczesana, dystygowana, widać, że profesor!

— Dziś był u nas w prosektorium doktor G., miał jakieś ćwiczenia. Był taki poważny, milczał, ale co za spokój! — relacjonował mi w domu Michał. — Wiesz, przy nim to i cała nasza grupa była spokojniejsza. Asystent zapytał

212

TE

mnie o zmysły, wymieniałem wszystkie. Doktor G. słuchający z boku podniósł głowę i powiedział do asystenta: „Przecież wszystko mówi, jak trzeba!” i znów zaczął preparować.

— Wszystko powiedziałeś? — pytałam uszczęśliwiona.

— Naturalnie, dwanaście zmysłów po polsku i po łacinie i, wiesz, tak się cieszyłem. Jakie to ważne: spokój! Wiesz tak... tak... psyjemnie jest znów się uczyć...

— Mów wyraźniej — wtrąciłam, jak zawsze gdy zniekształcił jakieś słowo, i chwilę poćwiczyliśmy spółgłoski.

Podziwiałam go; nigdy się nie niecierpliwił, gdy mu zwracałam uwagę na prawidłowość wymowy, choć nieraz robiłam to i przy obcych ludziach. Teraz jednak mieliśmy bardzo mało czasu na ćwiczenia wymowy. Michał ciągle biegał na zajęcia lub uczył się w domu.

Nazajutrz znów wrócił uśmiechnięty.

— Dziś u nas była pani docent. Weszła, popatrzyła, po-  
słuchała, jak asystent pyta, i sama zadała kilka pytań.

Ona bardzo wyraźnie mówi. Mnie też pytała, odpowiedzia-  
łem na wszystko.

Chwilkę się zastanowił.

— Tylko, wiesz, odniosłem takie wrażenie, jakby była  
czegoś niezadowolona, nie wiem. Ale ja umiałem!—roz-  
promienił się znowu. — Koledzy mi gratulowali, bo to wa-  
żne, że przy niej tak dobrze powiedziałem...

Zbliżał się bal medyków i chłopcy byli nim bardzo prze-  
jęci. Wybierali się oczywiście i już  
nawet umówili się z dziewczętami, gdy nagle Witek przyszedł jak struty, oznajmiając, że nie  
może iść, bo przyjechał ojciec i nie pozwala.

Spojrzałam znacząco na Michała, a on już wiedział, że chodziło mi o zwrócenie jego uwagi  
na wychowawcze zna-  
czenie tego zakazu i poczynienie pewnych porównań. Na to nam nie  
trzeba było słów.

Niemniej jednak zaczęliśmy się we trójkę naradzać, jak zmiękczyć surowe ojcowskie serce i  
jakich argumentów użyć, żeby Witek mógł pójść. Skończyło się na rozmowie telefonicznej,  
miłej zresztą dla mnie, bo ojciec Witka na zakończenie powiedział:

— Cieszę się, że syn mój zaprzyjaźnił się z Michałem,

213

nabrałem przez to lepszego mniemania o Witku, że umie sobie tak dobierać przyjaciół.

Ponieważ Witek mieszkał daleko, idąc na Akademię przyniósł swoje ubranie do nas i po  
nauce zaczęli się wy-  
bierać na ten pierwszy studencki bal z niemałym prze-  
jęciem. Przyszli  
do mnie, aby się pokazać. Wyglądali na-  
prawdę przystojnie, żartowałam, że spodobają się  
dziew-  
czętom.

— Nie możemy się spóźnić — przynagłał nerwowo Witek.

— Spokojnie, babki się zawsze spóźniają! No, idziemy, do widzenia, mamsiu.

— Do widzenia pani.

— A bawcie się dobrze!

Szczęknął zamek w drzwiach i po chwili Michał wszedł do pokoju.

— Nigdzie nie mogę kupić czapeczki lekarskiej, byłem  
wszędzie, we wszystkich sklepach. Nie ma! Co robić?

Muszę jutro przyjść na ćwiczenia w takiej czapce, a jak  
nie będę miał, asystent mnie wyrzuci. Dziś już krzyczał,  
on jest bardzo nerwowy.

Co robić? Taka byłam unieruchomiona na tej desce... Ale błysnęła mi dobra myśl.

— Daj, Misiu, igłę i białe nici, są przy lustrze w pudełku.

Wyjęłam jasek spod głowy, zdjęłam powłoczkę i prze-  
darłam ją na pół. Podwinęłam brzegi i  
zmierzyłam na głó-  
wie Misia. Pasowało. Przesunęłam jeszcze „czapkę” na bakier i posłałam  
go ze śmiechem do lustra, aby się prze-  
rzał.

— No, jak czapka? — zapytałam nazajutrz.

— Asystent bardzo się przyglądał, ale nic nie powie-  
dział.

— Zaciekała go pewnie mereżka z boku — śmiałam się.

Sprzykrzyło mi się bardzo leżenie w łóżku i zadowolona byłam, kiedy doktor pozwolił mi już  
wstawać.

Ubrana, siedziałam w fotelu, kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi. Była to Krystyna, moja przyjaciółka. Wstąpiła  
214

po książkę, którą pożyczyłam dawno i ciągle nie oddawałam.

— Wybacz, ale Myśli Pascala nie czyta się jednym tchem  
— tłumaczyłam się.

Uśmiechnęła się z wyrozumiałością. Krótkowzroczne, łagodnie oczy naukowca przeniosły się ze mnie na Michała, który siedział nad histologią i usiłował się przegryźć przez zawilosci tkanki nerwowej. Odsunął z hałasem krzesło i zaraz po przywitaniu się poprosił:

— Może mi pani doktor powie, jak zbudowana jest  
osłonka Schwanna.

Krystyna usiadła, obok niego i po chwili usłyszałam ławinę niezrozumiałych dla mnie wyrazów: otoczka mieli-nowa, akson, mikroskop polaryzacyjny i jakaś „anizotropia optyczna lipidów dwułomnych”.

— Dziękuję bardzo! Już rozumiem. To jest bardzo ciekawą kawę!

Michał wrócił do nauki, a my przeszliśmy do mojego pokoiku porozmawiać.

— Z jakim on zapalem zagłębia się w ten przedmiot —  
mówiła Krystyna. — Histologia jest naprawdę trudna, wymaga dużej spostrzegawczości i inteligencji, nie wystarczy tu tylko dobra pamięć, jak to ma miejsce przy anatomii.

Taki zapal i zainteresowanie rzadko się zdarzają u studentów.

Ucieszyłam się ogromnie tą opinią. Krystyna nie była skłonna do pochwał, a jako naukowiec orientowała się w tej dziedzinie. Opowiadałam przyjaciółce o trudnościach Michała na uczelni.

— Nie można się dziwić — powiedziała. — To wszystko jest ogromnie skomplikowane. Przy tym nie chodzi mi tylko o to, że on nie słyszy...

— Masz na myśli, że jest bardziej od innych wrażliwy, że łatwiej go zranić, dotknąć?

— Tak, i nie tylko. Nie zapomnij, że wychowywał się w pewnej izolacji. Głuchota w jakimś stopniu uchroniła go od brudnej strony życia, ale jednocześnie wydelikaciła, wysubtelniła, powiedziałaabym, jego odbiorczość, a to jest czasem utrudnieniem.

— Na pewno — zamyśliłam się. — Wiesz, mówi się wiele, że głuchota sprzyja powstawaniu egocentryzmu, ale mnie

215

się wydaje, o ile potrafię być obiektywna, że on nie jest egocentrykiem. Krystyna poprawiła okulary.

— Moja kochana, a powiedz mi, czy wśród tak zwanych zdrowych ludzi mało jest egocentryków? — Uśmiechnęła się łagodnie i dodała: — Pokaż mi kogoś bez tej cechy.

Po odejściu Krystyny myślałam jeszcze długo nad „mechanizmem” powstawania konfliktów Michała z otoczeniem. Może starając się mu stworzyć idealną atmosferę w domu za mało uodporniliśmy go na przeciwności życia? Ale jakże mogliśmy chcieć, by rósł w przekonaniu, że świat jest zły i okrutny? Myśmy właśnie pielęgowali w nim tę ufność, że ludzie są dobrzy, a życie może być piękne.

Kiedyś Michał nadrabiając miną przyznał się:

— Wiesz, dziś asystent tak wrzeszczał na mnie, że słyszałam

chać było we wszystkich salach, chłopcy wsuwali głowy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Za to, że nie odpowiadałem natychmiast, że się podobno za długo namyślałem. Ja już przestałem wierzyć, że on mi postawi kiedykolwiek dobry stopień.

Widziałam, że jest bliski załamania. Sama zrozpaczona, zaczęłam go namawiać:

— Misiu, przenieś się do Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego! — Milczał, więc mówiłam dalej idąc za nim, zachodząc mu drogę, by patrzył na mnie, aby widział to, co mówię. Zmuszony, podnosił na mnie udreżone oczy i przywoływał uśmiech, który mnie nie mógł zmylić. — Kochanie, przecież ty nie masz zupełnie teraz czasu na sport, a w WSWF mógłbyś świetnie jedno z drugim połączyć, pogodzić, i kto wie, może byś miał nawet większe możliwości, ciekawszą pracę...

— Daj mi spokój, jeszcze nie zrezygnowałem.

— Ale sam mówiłeś, że teraz całe życie spędzasz wśród trupów i nawet słońca nie widzisz, pamiętasz?

— Żartowałem.

— Tam też jest anatomia, fizjologia, jest jeszcze psychologia... Poza tym jest bardzo ciekawy dział rehabilitacji leczniczej. Rehabilitacja ma wielką przyszłość.

Nieoczekiwanie się roześmiał.

216

— Właśnie — powiedział z goryczą — właśnie, przyszłość to może ma, ale w moim życiu spotykam się na każdym kroku z ludźmi, którzy o rehabilitacji nie mają pojęcia i nie wierzą w nią. Ale nie mówmy o tym. Szkoda czasu nie namawiaj, mam jeszcze dziś dużo nauki.

Zdenerwowałam się i powiedziałam:

— Idziesz zawsze pod prąd, wybierasz najtrudniejsze drogi, kto wie, czy nie lepiej byłoby zostawić cię w szkole specjalnej. Miałbyś mniej problemów, a za to więcej radości życia.

Poczerwieniał i rozgniewał się.

— Mama, nigdy tak nie mów. Wiem, że sama myślisz inaczej.

Opuścił oczy, wyizolował się. Rozmowa była skończona.

Wkrótce przyszedł Witek i zamknęli się w pokoju Michała. Po chwili zaczęły do nas dochodzić ich monotonne głosy. Wkuwali.

Zamartwialiśmy się oboje z mężem.

— Zmarnuje się chłopak. — Olgierd wzburzony chodził po pokoju. Wodziłam za nim oczyma nic nie odpowiadając.

Mówię ci, ja też pięciu takich lat nie wytrzymam, zawał murowany. Przecież się denerwuję razem z nim. Co z tego, że większość profesorów wykazuje zrozumienie i życzliwość, jeśli wystarczy jedna osoba, która go doprowadzi wreszcie do ciężkiej nerwicy swoją niechęcią i wymaganiami. Przypomnij sobie, jaki on był radosny, pełen życia, a teraz...

Przyznawałam Olgierdowi całkowitą słusność.

Wszedł do pokoju i jego pozornie obojętne spojrzenie zatrzymało się na liście leżącym na stole.

List był w kolorowej, zagranicznej kopercie. Michał spoj-rzał znacząco na mnie i uśmiechnął się blado.

— Wiedziałem, że w domu będzie list. Już się nawet nie dziwię — powiedział.

Aha, domyśliłam się, znów było źle. Podeszłam do stołu.

— Chodź, przeczytamy razem!

Pisała niesłysząca dziewczyna z Kijowa.

Zdrowstwu Michaił! Nie wiem, czy rozumiesz po ro-syjsku, ale po przeczytaniu o Tobie w naszej gazecie, po-

217

stanowiłam napisać ten list. ...Kończę szkołę laborantów chemicznych... wiele czasu siedzę nad książką; nie wiem jak Tobie, ale mnie bywa ciężko. W życiu jednak nic się nie robi łatwo, jeśli spotykasz jakąś przeszkodę, to trzeba śmiało z nią walczyć. I otóż ta właśnie myśl dodaje mi sił i ratuje w trudnych chwilach. I jeszcze ten artykuł o To-bie dodał mi więcej siły i wiary, że ja nie jestem jedna, że takich jak ja jest więcej i oni też walczą ze swym upośle-dzeniem i chcą stać się pełnoprawnymi obywatelami swo-jego kraju.

Badzo Ci dziękuję, Michale, za to moralne podtrzy-manie. Natura nas pozbawiła słuchu, a my winniśmy zwyciężyć naturę, dowieść, że człowiek jest silny, że czło-wiek może wszystko pokonać, wystarczy tylko chcieć.

— Wiesz, mama, ja jestem głupi, taki prawdziwy głupi Misio. Nie powinienem się smucić, martwić, bo zawsze, kiedy wydaje mi się, że już trudno wytrzymać, przychodzi list z daleka od kogoś nieznanego, a jednocześnie bardzo bliskiego! Przecież to jest pomoc, prawda?

To już nie był poważny, obojętny Michał sprzed paru minut. Teraz patrzył na mnie oczyma pełnymi blasku, z uśmiechniętej twarzy promieniowała siła i ufność.

— Tak — powiedziałam wzruszona. — Świat" to jedna ro-dzina i wygląda to tak, jakby były nici wiążące ciebie z ludźmi idącymi tą samą drogą. Tak, ten list to pomoc, to zachęta, dobrze, że to rozumiesz.

— Mam ciekawe życie — śmiał się. — W dół i w górę, nigdy spokojnie! Aale te listy... — kręcił głową. Usiadł i zaczął głośno marzyć. — Chciałbym spotkać taką dziew-czynę, z którą mógłbym o wszystkim mówić. Ale one chcą mówić tylko o głupstwach — westchnął.

— No, nie wszystkie — wtrąciłam.

— Chciałbym mieć w niej przyjaciela, który bjr mnie rozumiał, któremu mogę wszystko powiedzieć...

— Mógłbym powiedzieć — poprawiłam z nawyku, a Mi-chał nie zrażony ciągnął dalej.

— ...mógłbym powiedzieć wszystko, co myślę; żebyśmy mogli dyskutować, ale tak przyjemnie, wiesz...

— To znaczy, żebyś ty mówił, a ona słuchała? — zażar-towałam.

— Mama, ja mówię poważnie — zniecierpliwił się. — Bo

228

widzisz, w towarzystwie, kiedy jest więcej osób, ja nie mogę brać udziału w ogólnej rozmowie; patrzę na jednego, a drugi mówi i ja nie słyszę; śmieją się, a ja nie wiem, z czego, a pytać się nieprzyjemnie, i ja czasem nudzę się po prostu i jest mi przykro. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

— Przesadzasz — rzuciłam tylko, a on dalej snuł swoje myśli.

— Dobrze byłoby mieć taką dziewczynę, dla której warto by pracować, uczyć się, być lepszym, mądrzejszym...

— Na pewno spotkasz taką.

— Aale widzisz, tyle razy się już zawiodłem.

— Może wymagasz za dużo?

— Nie wiem, czy to jest za dużo... ale jeżeli jestem z sympatią w towarzystwie i ona ciągle rozmawia z innymi... i ja po pewnym czasie delikatnie ją pytam, o co chodzi... a ona mówi: „Potem, potem ci powiem” i znów gada i gada z innymi, no to ja już zaczynam patrzeć na nią trochę inaczej. — Naraz zmobilizował się, odrzucił te myśli (on to potrafi) i spojrzał na mnie pogodnie. — Aale to jeszcze nic straconego, prawda, mama? A teraz dosyć, szkoła czasu, pora do nauki.

Wstał, przeciągnął się i zaczął wyjmować skrypty.

— Dziś przyjdzie koleżanka. Powiedziała, że ma dobre wykresy układu nerwowego i chętnie mi to wytłumaczy, bo to bardzo trudne. — Michał z przejęciem rozkładał na stole skrypty i atlasy anatomiczne.

— Jak się nazywa? — zainteresowałam się, pełna wdzięczności dla niej.

— Marysia.

Marysia była drobna i szczupła. Niepretensjonalnie uczesane do tyłu włosy, prosto patrzące ciemne oczy, miła buzia i cały sposób jej bycia wywarły na mnie przyjemne wrażenie. Zostawiłam dwie pochylone pilnie głowy nad kolorowymi rysunkami rozłożonymi na całym stole i cichutko wyszłam, żeby nie przeszkadzać. Gdy zrobili małą przerwę, podałam kawę i ciastka, zostając z nimi na chwilę. Marysia zaczęła opowiadać, że pochodzi z Sosnowca, że jej

229

tatus, kiedy przyjechała na święta do domu, pokazał „Przekrój” z artykułem o Michale i jak duże wrażenie to na nich zrobiło.

— I wie pani — mówiła — my nieraz z kolegami na uczelni rozmawiamy o tym, że Michał dużo umie, i dziwiemy się, że ma trudności z zaliczeniami.

— Mamsiu, idź już, Marysia ma mało czasu — powiedział Michał, więc znów zabrałam się do wyjścia.

Dziewczyna zwróciła twarz w kierunku Michała i wyraźnie wymawiając słowa tłumaczyła dalej. Już byłam w drzwiach, kiedy odwróciła się do mnie i z żywością powiedziałam:

— Wie pani, po Michale zupełnie nie można poznać, że nie słyszy. Na wykładach nieraz chcemy mu coś powiedzieć na ucho i dopiero, kiedy on zaczyna się śmiać, opamiętujemy się!

Zbliżała się sesja. Michałowi groziło niedopuszczenie do egzaminu. Trudno. Postanowiłam znów interweniować.

Kierownik katedry ma wiele zajęć i niełatwo jest trafić na wolną chwilę, ale jednak udało mi się to, choć sporo czasu trzeba było czekać. Zostałam przyjęta w innym gabinecie niż poprzednio.

Kiedy weszłam, pani skierowała na mnie mocne spojrzenie swoich wyrazistych oczu. Ruchem ręki wskazała mi krzesło.

Uprzejmy wyraz twarzy nie przeszkodził mi odczuć jej nieprzejednania. Zaczęło mnie ogarniać zniechęcenie i brak wiary w rezultat rozmowy. Myślałam szybko: jest to bez wątpienia uczciwy człowiek, ma szczere, proste spojrzenie, chyba tylko nie rozumie zagadnienia. O Boże, jak ją mam przekonać?

— ...nie umie. Proszę, mogę to pani udowodnić. — Wstała i podeszła do papierów rozłożonych na drugim stole. —

Niech pani zobaczy, same niedostateczne z odpowiedzi u asystenta.

Rzuciłam okiem.

— Przepraszam, z układu kostnego i z szyi miał zaliczenia w indeksie; collum, to przecież szyja? Tak? O, tu!

— Zaraz sprawdzę — podeszła do drugiego stołu — rze-

220

czyście, musiał się zakraść błąd podczas przepisywania, aie i tak za dużo niedostatecznych. Nie dałam się opanować zniechęceniu. Prosiłam gorąco o zezwolenie na możliwość zdawania i poprawienia not z poprzednich kolokwiów, o danie szansy chłopcu, który tak bardzo chce się uczyć. Mówiłam, że niezależnie od tego D\$dei namawiać syna, żeby się zdecydował na zmianę kierunku studiów. Wydawało mi się, że ciemne, wyraziste oczy nabrały łagodniejszego wyrazu... ale nie, padły stańnowcze słowa:

~ Nawet jeśli w drodze wyjątku będzie próbował użyć zaliczenia, to i tak nie potrafi zdać w ciągu tygodnia pięciu! To niemożliwe!

Obudziłam się w środku nocy. Czułam niepokój. Wstałam i cicho przeszłam do pokoju Michała.

odział przy stole trzymając oburącz głowę, krąg światła przysłoniętej abazurem lampy padał na rozłożone skrypty i atlasy.

~\*~zyłam mu lekko rękę na ramieniu. Drgnął i podniósł twarz?;. Nie zdążył zmienić jej wyrazu i widząc jego po-ciem\*iałe, udręczone oczy zrozumiałem swój niepokój.

. Już bardzo późno, kochanie, zrób przerwę, prześpij się-^ powiedziałam łagodnie.

Patrzył na mnie — milczeliśmy chwilę.

Mam takie wrażenie — zaczął z trudem dobierając sło-Tt- ~"~ zt\*aJe mi siC> ze te wszystkie lata, że cały nasz wysiłek, wszystko jest na próżno. Oni mnie nie chcą. Ja czuję, ja wiem, że oni mi chcą powiedzieć: to jest świat sły-szących... głuchy niech idzie do głu-c y c h... — głos mu się podniósł i załamał.

Panie rektorze, nie proszę o ulgi czy specjalne trakowanie...

Siedziałam przed rektorem Akademii Medycznej. Energetyczna władcza twarz, poważne, rozumne oczy wpatrzone we mnie. Z wolna ogarniał mnie spokój i pewność, że ten człowiek mnie zrozumie. Nie chcąc przedłużać rozmowy starałam się w najkrótszym czasie, najbardziej treściwie ulać to, co skłoniło mnie kołatać tak wysoko.

Chodzi mi tylko o klimat, o ludzkie podejście i zro-

221

zumienie dla jego wysiłku. On nie umie mniej niż wielu jego kolegów, a już na pewno nie mniej niż obcokrajowcy, choć trudności ma na pewno większe niż tylko... opanowanie języka. Panie rektorze, proszę o życzliwą atmosferę dla mego syna.

W uchylonych drzwiach pokazała się uśmiechnięta, kłaniająca się głowa. Rektor uniósł dłoń i powiedział:

— Proszę, proszę, wejdźcie, kolego, to coś dla was. Postarajcie się podejść bardziej wnikliwie do tej sprawy...

Dziekan, całą twarzą uśmiechnięty, pochylił jeszcze raz głowę, z ukosa rzucając na mnie spojrzenie.

— Ależ naturalnie, panie rektorze, znamy tę sprawę, naturalnie.

Michałowi pozwolono zdawać i użykiwać zaliczenia.

W sali prosektoryjnej było dużo osób i Michał odpowiadł w obecności dwóch grup studentów. Pytała pani do-cent, obok której siedzieli asystenci. Czuł że musi zdać. Był

zdecydowany walczyć do ostatka, nie kapitulował. Pomocny tu był spokój pytającej, nie było tej atmosfery nerwowości i strachu, który go paraliżował w czasie odpowiedzi u asystenta. Starając się o poprawną artykulację — mówił. Czasem się mylił, wiedział to, ale nikt mu nie przerywał, a twarze były poważne, bez wyrazu. Po każdym pytaniu widział, jak doktor K. pisze: dost., dost., dostatecznie!

Uzyskał wszystkie zaliczenia, ale termin egzaminu z anatomii wyznaczono na dziewiętnasty wrzesień.

Byliśmy już wszyscy zmęczeni sytuacją na Akademii i namawialiśmy syna na zmianę kierunku studiów. Któregoś dnia zadzwieczał telefon.

— Dzień dobry pani — mówiła matka małego Witusia. — Pan Michał ma zdaje się trudności w anatomii. Otóż pomyślałam sobie, że mój brat, Zygmunt, mógłby mu pomóc, on jest teraz na drugim roku i ma to dobrze poukładane w głowie, dobrze jeszcze pamięta.

— Bardzo pani dziękuję, rzeczywiście byłaby to dla nas duża pomoc... Powtórzyliby razem materiał przed egzaminem i może brat zwróciłby uwagę, co jest najważniejsze,  
222

bo obawiam się, że Michał zbyt szczegółowo się uczy. Myśleliśmy już o jakiejś pomocy dla niego, ale jak do tej pory nie znaleźliśmy nikogo. Jestem bardzo wdzięczna. Ale, pani Haneczko, potraktujemy to jako korepetycje.

— Proszę mi nawet o tym nie wspominać — przerwała. — Ja nie zapomniałam, ile jestem pani winna, ja i mój Wituś. Brat pomoże panu Michałowi bezinteresownie.

— Ale, kochana moja, tak nie można. Cóż ja zresztą dla pani zrobiłam? Nie przesadzajmy.

— A kto mnie ratował, kiedy byłam tak załamana wtedy, po śmierci tatusia, gdy jednocześnie lekarze powiedzieli, że Wituś jest głuchy, że nie będzie słyszał? Ile czasu nam pani poświęciła i u siebie w poradni, i w klinice, i w domu? I też bezinteresownie! Niech ja choć w tak drobnej części spłacę dług. Nie, brat nic nie weźmie.

Milczałam wzruszona. W dodatku okazało się, że Zygmunt zrezygnował z wyjazdu na wycieczkę i co dzień przychodził do Michała. Jeśli była pogoda, jechali motorem za Kraków, do Łasku Wolskiego, i tam na świeżym powietrzu powtarzali wspólnie.

— Ależ Michał umie anatomię, nie ma zaległości — dziwił się Zygmunt. — Nie rozumiem, dlaczego ma trudności.

— Kiedy ze mną powtarzał, też wydawało mi się, że umie — potakiwałam.

— Słuchaj, Michał, najważniejsza dla ciebie głowa! Głowę musisz umieć na sto dwa!

— tłumaczył Zygmunt. — Stomatologów pytają najwięcej z tego. Wszystko inne możesz umieć mniej, tylko same najważniejsze rzeczy, ale głowę — perfektnie! Zresztą, mówią, że pani docent pyta łatwo.

Świeciło piękne słońce, kiedy dochodziłam do ulicy Kołopernika. Dzisiaj Michał miał zdawać. Studenci-medycy akurat wyszli z prosektorium i przechodzili do drugiego gmachu.

Michał był między nimi. Przystanął na mój widok.

— Idę na histologię — rzucił tylko i poszedł z kolegami.

I Olgierd przyszedł. Chodziliśmy w obrębie ogrodzenia, spoglądając w milczeniu na wysokie budynki mieszczące Zakłady Biologii i Histologii.

Na egzaminie z histologii Michał bezbłędnie rozpoznał

223

i omówił wszystkie preparaty. Nie na próżno tyle czasu poświęcił ślęcząc nad mikroskopem, ale też i atmosfera tego egzaminu pomogła mu się skoncentrować i wykazać przygotowanie. Pytania padały spokojnie, wyraźnie, i Michał odczuwał życzliwe podejście. W pewnej chwili włączyła się profesor A.:



— Dobrze się pan nauczył i widzę, że pan to rozumie.  
Michał uśmiechnął się i spojrzał na nią z wdzięcznością.  
Dobrze zdał, bo był spokojny.

Ale na egzaminie ustnym z anatomii nie było tego spokoju i Michał nie wyczuwał życzliwości dla siebie. Z trudem formułował odpowiedzi. Zauważył, że profesor A. pochyła się ku egzaminującej mówiąc, że Michał zbyt szczerogółowo się uczył, że zdał. „Dajcie mu...” Dalej już nie odczytał nic z ruchu jej warg, bo za duży był kąt pochylenia twarzy. Rozumiał, że wstawia się za nim, i wstrzymał oddech, ale odpowiedź była wyraźna i stanowcza: „Nie mogę!”

Tydzień potem stanął do egzaminu komisyjnego — przy ulicy Świętej Anny 12. Sypały się kasztany, ale na ścieżce żadnego nie widziałam. Jak znajdem, pomyślałam, to znaczy będzie wszystko dobrze. Planty już się kończyły, dochodziłam do kościoła Świętej Anny. Nie ma kasztanów, trudno. Przeszłam przez ulicę. Stawiając krok na przeciwległy chodnik, pod samym krawężnikiem dojrzałam maleńką, połyskliwą kulczkę; schyliłam się, aby ją podnieść. Jakiś pan śpiesząc omal nie wpadł na mnie. Trzymając kasztanek w dłoni rozglądałam się, czy nie zobaczę Michała przed Akademią.

Z bramy wyszła grupa studentów. W środku podskakiwała dziewczyna z rozwianymi włosami. Na widok pana, który szedł za mną, podbiegła i rzuciła mu się na szyję.

— Tatusiu, zdałam, zdałam! Boże, jaka jestem szczęśliwa!

Poznałam ją, to ona była w towarzystwie naszych chłopców na balu medyków. Następna wyszła wysoka blondynka, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała ze śmiechem:

— Jest tam Michał, czeka. Powiedziałam mu, że ten egzamin to tylko formalność, dwie minutki, parę pytań i do widzenia! Proszę się nie denerwować. A dziekan jest  
224

miły, uśmiechnięty, pyta tak łatwo stomatologów, tylko głowa.

Podziękowałam jej, ale kamień mi nie spadł z serca i z niepokojem weszłam do Akademii. Przed drzwiami pałac papierosa stał Zygmunt. Przywitaliśmy się.

— Michał już wszedł?

— Tak.

— Jak miło, że pan przyszedł — powiedziałam.

— Chciałem być przy nim — rzekł po prostu.

Rozmowa się rwała. Czekaliśmy. Wbiegło kilka koleżanek i jedna z nich zajrzała przez dziurkę od klucza do sali egzaminacyjnej. Druga odsunęła ją i też zajrzała.

— Michał zdaje, odpowiada — szepnęła.

— Co go tak długo pytają? — zdziwiła się pierwsza i znów zajrzała przez dziurkę.

Wszedł woźny i dziewczęta się wyprostowały.

— Minęło już pół godziny — odpowiedział na moje pierwsze pytanie Zygmunt. — Długo.

Po trzech kwadransach Michał wyszedł. Był blady i na mój widok uniósł tylko kąciki warg. Zygmunt żywo do niego podszedł.

— Co tak długo? — zawołały dziewczęta.

— Z czego cię pytali? — spytał Zygmunt.

— Stawy. Kości palców. Iii... — Michał mówił prawie szeptem.

— Tego się obawiałem — powiedział Zygmunt — że pytania będą nietypowe. A co ci powiedzieli?

— Kazali czekać.

— A jak odpowiadałeś?

— Z początku dobrze, ale pod koniec już się bardzo zmęczyłem i nie na wszystko odpowiedziałem; kilka razy wtrącała się profesor A., mówiła, że dość, że wystarczy, że pytania są zbyt drobiazgowe — machnął ręką — ale to nic nie pomogło.

Teraz ogarnęło go wielkie zmęczenie i obojętność. Nie chciał mówić nic'więcej. Czekaliśmy. Minęło dużo czasu. Wreszcie drzwi się otworzyły i ukaźzała się w nich głowa dziekana.

— Egzamin został przerwany — powiedział.

Po godzinie zameldowałam się u dziekana.

15 — Los w rękach twoich

225

— Przyszedłam się zapytać, gdyż nie rozumiemy, co to znaczy przerwany egzamin, czy syn nie zdał?

— Skorzystałem z przysługującego mi prawa i przerwałem egzamin, bo widziałem, jak się syn pod koniec de-nerwował. Może zdawać jeszcze raz, w ciągu kilku dni, ale ja radziłbym państwu zastanowić się czy warto, czy on to wytrzyma nerwowo.

Michał nie skorzystał z następnego terminu.

— Za dużo straciłem tu sił. To była nierówna walka — powiedział z goryczą.

Wniósł podanie do Przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki w Warszawie o zezwolenie na przyjęcie go na studia w Wyższej Szkole Wycho-owania Fizycznego w Krakowie.

A podanie tak uzasadnił:

... Pragnę pracować wśród głuchych i inwalidów jako jeden z nich, znający ich psychikę i umiejący łatwo z ni-mi porozumiewać się. Chciałbym być organizatorem życia ortowego głuchych, ich trenerem oraz specjalistą dziale rehabilitacji leczniczej — przy zdobyciu jak naj-ych kwalifikacji w tym zakresie. Te mogę nabyć \w WSWF, przy życzliwym ustosunkowaniu się ^ificencji Rektora i Profesorów tej Uczelni.

mf lec. oma

rozgl.

/A

z, \*\*>;•

^orzyszła odpowiedź z Warszawy — wyra-^ichała wstąpiła nowa nadzieja.

&

wała d? <fi który sz> /

r

<f

— Tato-

wa!

Poznałarś" .' ców na balu J>^ ka, uśmiechri^

— Jest tam \*^.

egzamin to tylr

i do widzenia! P\*

&'

224

## PRZYJDZIE RADOŚĆ

Przyszedł, usiadł przy mnie na tapczanie i rzekł:

— Motor wygląda jak nowy! Pomalowałem nawet białą gaźnik. Wiesz, nikt nie pozna, że to ten sam.

Popatrzył na mnie z uśmiechem, pochylił głowę i jak dawniej przytulił policzek do mojej ręki.

— Pamiętasz, jak mi zawsze mówiłaś, gdy miałem zmartwienie, że należy tylko przeczekać trudny okres a zmiana musi przyjść. I może teraz właśnie nadchodzi?

— Może!

— Mówiłaś, że niepowodzenia i ból są też potrzebne. Pozwalają potem mocniej przeżywać chwile pomyślne. Teraz już wiem, mamsiu, że miałaś rację. Tyle razy mi to powtarzałaś, a ja nie wierzyłem, ale teraz, to już wiem na pewno!

— Tak się cieszę, Michał, że to mówisz. Widzisz, z nikim innym nie rozmawiałam tak jak z tobą, bo powie-działyby, że „truję”...

— Ale Misio jest kochany — zażartował całując mnie na dobranoc.

Chciał rozładować ten patetyczny nastrój, który sam wprowadził. Jednocześnie przypomniał mimo woli całe dzieciństwo, kiedy to w każdej chwili byliśmy razem i dla siebie.

Poszedł, a ja myślałam, że ani jednego dnia nie cofnę-łabym z tamtych, minionych dni.

Przeszło dwadzieścia lat temu, na samym początku, kiedy byłam tak pogrążona w smutku, że nie widziałam przed sobą ratunku, nie przy-szłoby mi nawet do głowy, że po latach przyjdzie radość, jeżeli pójdę wyznaczoną sobie drogą.

Z tej drogi nie wolno się cofnąć. I sił musi wystarczyć.

Warto!

227

## SPIS TREŚCI

Części

Michał w czepku urodzony .....	5
Cios .....	10
Tułaczka . . . . .	15
Narasta troska . . . . .	20
Część II	
Trudna decyzja . . . . .	45
Improwizacje . . . . .	56
Do Krakowa po pomoc . . . . .	63
Eksperyment . . . . .	84
Wyznaczać nowe ścieżki na mapie życia . . . . .	136
„Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli...” . . . . .	142
Część III	
Sukcesy i porażki . . . . .	151
Na egzamin do Akademii Medycznej . . . . .	175
Nierówna walka . . . . .	193
Przyjdzie radość . . . . .	227

A jak to o było możliwe, do-wiadujemy Się z relacji matki z jej prostego, bezpretensjonalnego sprawozdania. Mamy dziś na pewno wielu głuchych, którzy do-šli do czegoś w życiu, ale przy-padek Michała jest nietypowy, można śmiało powiedzieć: ekspe-rymentalny. Głuche dziecko wy-chowywane w rodzinie, nauczone mówić i ukształtowane przez ma-łkę, która w trudnych powojen-nych czasach nie miała facho-wej pomocy. | jeszcze stać ją było na to, że nazbierawszy w swej pracy z synem doświad-czeń udzielała rad matkom pot-rzebującym

pomocy, prowadziła kursy dla ociemniałych, stała się jak gdyby pionierką rehabilitacji kalekich dzieci wychowywanych nie w zakładzie, ale w domu rodzinnym, w atmosferze troski i miłości ułatwiającej znoszenie upośledzenia, zwycięstwo nad nim poprzez osiągnięcie pełnego człowieczeństwa.